



Maria Rodziewiczówna

Jaskórczym szlakiem

Maria Rodziewiczówna

Jaskólczym szlakiem

I

Granica! Paszporty!

To hasło, rzucane do wnętrza wagonów przy wtórowaniu otwieranych drzwiczek, gwarze stacji o szarym, letnim świetle, budziło brutalnie pasażerów.

Wpadło też z kolei do przedziału drugiej klasy, gdzie jakby czatowała na nie kobieta niemłoda, wyzieraająca oknem na piaski krajobrazu, rozbudzona dziwnie, uśmiechnięta, szczęśliwa.

Zwróciła się żywo i poczęła trącać śpiącego na przeciwległej ławce mężczyznę.

-- Kostuś, granica! Teraz ci spać więcej nie dam. Otwieraj oczy i uszy. Jesteśmy u siebie.

Mężczyzna usiadł, źle jeszcze rozbudzony, przetarł oczy, wyjrzał oknem i podniósł wzrok na kobietę.

-- Aha, to granica. Bardzo dobrze. Będą nas znowu rewidowali, po raz piąty pono! -- rzekł powstając.

Już urzędnik stał z torbą u drzwiczek.

-- Czego ten chce? -- zagadnął mężczyzna nie rozumiejąc żądania.

-- Paszporty nasze oddaj!

Rozmawiali po francusku. Urzędnik odszedł. Stara zbierała drobiazgi, które tragarz porywał śpiesząc się. Ruszyli za nim na stację.

-- Ohydna dziura! A brudy! -- mruknął mężczyzna. -- Ciocia zostanie w bufecie, aż ja załatwię.

Pokiwała głową roztargniona, oglądając ludzi, nastawiając uszu, uśmiechając się z wewnętrznym zadowoleniem.

On się z tłumem zmieszał, a jednakże wyróżniał się wśród niego. Odgadywano w nim cudzoziemca.

Przy rewizji kufrów urzędnik zadał mu parę pytań, na które odpowiedzieć nie potrafił; ruszył ramionami.

Wtedy jakiś towarzysz losu powtórzył mu pytanie po francusku i wytłumaczył urzędnikowi odpowiedź.

Z tej racji zawiązała się rozmowa.

-- Pan do Warszawy?

-- Tak.

-- Z Paryża?

-- Nie. Z Algieru.

-- Oho! Kawał drogi. Ja tylko parę stacji. Wracam z Krakowa.

Kufry zamknięto. Ruszyli razem do bufetu.

-- Będzie panu trudno porozumieć się na drodze nie posiadając języka.

-- Umiem po polsku.

-- Ach, tak! -- rzekł tamten tonem podziwu.

Spojrzał po nim uważnie.

Śmieszny Francuz umiejący po polsku.

Był to młody człowiek, pięknie zbudowany, przystojny, o ruchach zdradzających wojskowość.

Twarz miał mocno śniadą, rysy ściągłe, włos tuż przy czaszce ścięty. Dziwnie przy tej ciemnej cerze odbijały jasne wąsiki i szare oczy, patrzące hardo i swawolnie spod płowych brwi i szerokiego czoła. Ubiór wskazywał zamożność.

U drzwi pożegnali się, ale obywatel nie stracił go z oczu. Dopilnował, gdy wychodził pod rękę z jakąś staruszką i w ślad za nimi podążył. Zajęli miejsca w jednym przedziale. Stara ulokowała się przy oknie i kazała młodemu usiąść naprzeciw.

-- Tylko uważaj teraz! Jesteśmy u siebie! -- rzekła pieszczotliwie, gładząc go po głowie.

Żandarm wracał z paszportami.

-- Paszporty dwa francuskie: Konstanty i Felicja Jamont -- rzekł młody człowiek.

-- Aha, już wiem! -- mruknął do siebie obywatel z drugiego kąta, odbierając swój bilet.

Milczał jednak, aż pociąg ruszył. Wtedy dopiero uchylając panamy spytał staruszki:

-- Czy pani dobrodziejce dym nie szkodzi?

Drgnęła i odwróciła się gwałtownie. Sekundę była bez głosu, czerwona, z oczami pełnymi łez, zasłuchana. Potem wyciągnęła do niego rękę drobną, suchą i rzekła walcząc ze wzruszeniem:

-- O, pal pan cygaro i powiedz co jeszcze po naszymu!

-- Pani dobrodziejka z daleka, jak to od syna słyszałem! -- uśmiechnął się obcy łagodnie.

Przysiadła się do niego zapominając o oknie.

-- To nie mój syn, to synowiec. Jedziemy z Algieru. O, dawno tu nie byliśmy! Lat dwadzieścia.

On był dzieckiem, ja młodą dziewczyną. No, i patrz pan, znowu jesteśmy.

-- Musiała pani zatęsknić?

-- Ba!

Rzuciła głową, a potem zaruszała nią w obie strony w milczeniu, zamyślona rzewnie. Ale po chwili rzeczywistość znowu ją ogarnęła radosna, więc poczęła mówić:

-- Bo to, widzi pan, brat mój tam osiadł. Kupił w Algierze posiadłość i dobrze się powiodło.

Mamy ogród i pole, dęby korkowe, pomarańcze, ryż, warzywa, żeby tylko nie tak daleko!

-- Pani do rodziny jedzie? Zapewne w odwiedziny?

-- A tak! O, zostawiliśmy dużo krewnych! Odwiedzimy wszystkich. Niech poznają naszego chłopca, a on niech też zobaczy, jak tutaj wygląda.

Zwróciła się do Konstantego z uśmiechem.

-- No, i niech nie sam wraca! -- dodała.

-- Aha, z żoneczką! -- rzekł obywatel z uśmiechem.

Zapalił cygaro i po chwili namysłu spytał:

-- Państwo mają krewnych w Warszawie? Znam profesora Jamonta w gimnazjum, gdzie mój syn się kształci.

-- To z innych zapewne. Nasza rodzina z Polesia, na roli osiadła. Są tam dwie siostry zamężne, stryj i dzieci stryjowskie. A jakże na imię temu profesorowi?

-- Władysław. Młody jeszcze człowiek, ale chorowity.

-- Władysław? Patrzcie no! Był Władek u stryja! Ale skąd by się tam wziął? My z tych Jamontów, co na Polesiu!

-- Hano! Za chlebem mógł odejść, jak wielu. Znam i drugiego tegoż nazwiska. Służy w moim sąsiedztwie, jest nadleśnym w wielkich dobrach. No, ale państwo zapewne utrzymywali choć listowny stosunek z rodziną, wiedzą o jej losach?

-- Właśnie, że nie. Dużo listów musiało poginać, bo nie było odpowiedzi. Ostatnie lat dziesięć byliśmy bez wieści. Co rok mieliśmy jechać, ale się to zwlokło z powodu służby wojskowej

Kostusia, a potem żałoby w domu. Bratowa umarła zeszłego roku. Ach, ona biedaczka miała z nim jechać i ot, na mnie to spadło. Ale przecie odnajdziemy swoich.

-- A czy znajdziemy ładne dziewczęta?

-- O, ładne, pewnie! Coś wartych, to niewiele -- mruknął nowy znajomy.

-- Eh, to jakiś mizantrop! -- szepnęła panna Felicja powracając do okna. -- Wyglądajmy lepiej na kraj!

-- Wyglądałem przez czas rozmowy cioci. Widzę piaski pokryte marną sośniną lub pola w bardzo zaniedbanej kulturze. Wolę czytać, zanim się coś weselszego pokaże. --

-- Coś tam! Aleś sośniny nie widział w Algierze ani takich macierzanek! Patrz, oto wieś i gościniec sadzony. Mój Boże! Ile się to taką drogą przejeździło w młodości!

-- Żeby no ciocia trafiła do celu. Wnoszę z opowiadań tego pana, że możemy łatwo zbłądzić.

-- At, gadanie. Żeby nie trafiła do Sadyb; gdzie się rodziła i wzrosła. Tylko się spuść na moją pamięć! Wstąpimy od razu do stryja Eustachego, bo to po drodze; stamtąd pojedziemy do ciotki Matyldy, a rozkwaterujemy się na dłużej u ciotki Zofii, bo tam najliczniejsze sąsiedztwo, miasto pod bokiem, zjazdy, reduty, kontrakty, no i powinowatych, i krewnych pełno w pobliżu. Wszystko to już sobie w domu ułożyłam i tak będzie, zobaczysz!

-- Może mi już ciocia i żonę wybrała? -- zaśmiał się Konstanty.

-- Żartuj zdrów! A pewnie, wybrałam jakoby. Ożenisz się albo z jaką Stocką albo z Zawirską.

-- A to czemu?

-- Bo widzisz, w tych rodzinach jest zawsze pełno panien i ładnych.

-- A jeśli odstąpili od tej tradycyjnej cnoty i znajdziemy samych chłopców?

-- Nie może być! No, to są jeszcze. Wojniczowie i Janiccy!

Nie będzie z tym kłopotu.

-- A chociażby, to zawsze pozostanie nam ucieczka do sąsiadów Tirardów. Ciocia pogodzi się z Klarą Tirard i będzie kwita.

-- Za nic! -- zawołała czerwieniejąc z zapału. -- Francuzicy u nas nie będzie! Nie wspominać mi tej sroki, bo mi się żółć obrusza! Prawda, dla niej pracowałam! Akurat!

Chłopak śmiał się swobodnie.

-- To mi ciocia wreszcie nie pozwoli zakochać się nawet bez upoważnienia swojego.

-- Tutaj pozwolę, pozwolę -- odparła -- tutaj przecie swoi. Tam, za morzem, tylko szmatek był nasz, a reszta cudze; tu zaś, patrz, ot, tak wszystko, co spojrzysz okiem, to swoje.

Szerokim ruchem ręki wskazała krajobraz za oknem, a mówiąc to, tak promieniała, tak była żywa, odmłodzona, że Konstanty wpatrzył się w nią zdumiony i rzekł:

-- Ciociu, żebym nie był synowcem, oświadczyłbym się w tej chwili o ciocię. Doprawdy, jaka ciocia ładna teraz!

Spojrzała nań z gniewem i otulając się jedwabnym płaszczem wsunęła się w głąb siedzenia z ruchem obrażonej dziewczicy.

-- Francuski koncept z garnizonu! -- mruknęła.

-- Ależ naprawdę nie poznaję cioci! -- tłumaczył się, pomimo oporu całując rękę na przeprosiny. --

Inna osoba!

-- Boś mnie nigdy u siebie nie widział. Jeśli temu się dziwisz, to ci wstyd. Powinieneś sam to czuć.

Towarzysz podróży wtrącił się do rozmowy.

-- To pan dobrodziej gospodarujesz w Algierze? -- spytał.

-- Właściwie dotąd pracowałem bardzo mało -- odparł Konstanty. -- Nauki zajęły mi dużo czasu, potem służba wojskowa. Od paru lat pomagam ojcu w robotach technicznych, bo to moja specjalność, a w ostatnim roku odbyłem kurs praktyki gospodarczej.

-- Ho, ho! To pan dobrze przygotowany.

-- Ma pracy dość! -- zawołała panna Felicja. -- Bo czy to tam, w Algierze, jak u nas, panie! U

nas to po Bożemu. Jest dwór pięknie osadzony, jest rzeka, staw, wreszcie choćby studnie. Daje Bóg, prawda, zimę, ale za to latem W miarę upał, w miarę deszcz. Jest wiosna i robotnik poczciwy, jest sąsiad na pociechę. Ale tam, w tym Algierze, wszystko jak w gorączce, wszystko z męką.

Mówię panu, jak brat mój tę kotlinę kupił -- i nas sprowadził, tom ręce załamała. Wystaw pan sobie: wkoło góry, że aż zimno się robi na nie patrzeć, a tu jeździć przez nie trzeba z każdym towarem. W środku dolina, a na niej piasek i kaktusy -- mówię panu -- pustynia.

A brat, patrząc na nas, głową trzęsie.

-- Ej, kobiety -- powiada -- przyglądać się nie ma czasu, wracać nie ma dokąd, iść dalej nie ma gdzie. Trzeba z tej skały i piasku zdobywać chleb, i basta! Nazwiemy to Sadybami dla pamięci.

Tyle nas tylko pocieszył, a potem, patrząc na jego mękę i cierpliwość, jużemy nigdy słowa skargi

nie pisnęły.

I co pan powie, Bóg nas tam snadź osadził, bo dziwnie się wiodło.

Przez lat ośmnaście nie było klęski ni rozboju, ni choroby, ni szarańczy.

-- Tak mi to pani jasno maluje, że aż chęć bierze samemu tam drapnąć -- za morze. A przynajmniej chłopców posłać, którzy w domu bąki zbijają, nie wiedząc, gdzie się podziać, co robię! Czy ziemia tam niedroga?

-- Na pomorzu bardzo podrożała -- odparła kobieta -- w głębi kraju zaś niebezpiecznie osiadać pojedynczo. Zresztą trzeba przywyknąć do klimatu, do miejscowych warunków i potrzeb.

Nie wierzę, by komukolwiek było lżej i lepiej na obczyźnie niż u siebie.

-- U siebie? Albośmy tu u siebie? -- zaśmiał się gorzko towarzysz podróży. -- Tak, rola nasza, bo tak już obdłużona, że jej nikt nie ma ochoty odebrać. Ano i cmentarze nasze. Tam gdzie państwo jadą, jeszcze gorzej podobno.

Konstanty miał pytanie na ustach, gdy wtem pociąg stanął, obywatel wyjrzał oknem.

-- Co to? Już moja stacja! A tom się zagadał! -- zawołał zrywając się i szturmując do drzwi. --

Żegnam państwa, szczęśliwej drogi! -- dodał spiesznie, wyrzucając manatki i kiwając na stróża.

Jeszcze z peronu podał dłoń Konstantemu, ukłonił się kapeluszem pannie Felicji.

-- Żarski Nikodem -- przedstawił się. -- W każdym razie, kto wie, może chłopców do państwa przyśle. Nie skończyłem mówić, ale pan sam zobaczy. Padam do nóg, a życzę ładnej zoneczki!

Zatrzaśnięto drzwiczki, pociąg ruszył.

-- To dopiero muszą być niedołęgi te jego chłopcy -- zdecydowała panna Felicja. -- Niby to brak pracy na świecie.

-- Dlaczego tutaj tak sennie wygląda? -- zapytał Konstanty. -- Mnie, patrząc na te okolice, powieki gwałtem się zamykają. Rad bym już być u celu.

-- Oho, a cóż ty myślisz, że ten kraj to taka figa jak Francja.

Ziewnięcie Konstantego odpowiedziało niezachęcająco. Wyciągnął się na ławce i pomimo protestów ciotki usnął niebawem.

Co prawda, zahartowany był i wytrzymały na trudy. Od wczesnej młodości walczył z naturą, z afrykańskim słońcem, z ludźmi, ze zwierzem. Ale trudy te były niczym wobec sił i gorączkowości panny Felicji, wobec jej żądry pośpiechu i niespokojności charakteru. Ze wstydem wyznać musiał

młody człowiek, że go zamęczyła ze szczętem. Z Algieru nie dała mu sekundy wytchnienia, spokoju i opamiętania. Miał w głowie chaos, utworzony z kołysania statku, turkotu wagonów, zamętu przy zmianach, pociągów, kłopotów celnych i paszportowych i bezustannego gadania ciotki. Nigdy nie przypuszczał, że jedna słaba kobieta będzie mogła go pokonać, a oto już w Wiedniu złożył broń i jako jedyny ratunek przyjął zasadę snu rzeczywistego lub udanego, w czym wkrótce doszedł do perfekcji.

Należy objaśnić, że wyprawa ta spod Algieru była wygnaniem, na które skazano go sądem rodzinnym po bardzo burzliwym posiedzeniu, i że z początku był przez pannę Felicję traktowany jak niebezpieczny opryszek zdany jej pod nadzór i odpowiedzialność. Aż do Marsylii interpelowała go nawet w trzeciej osobie.

Kostuś był to sobie chłopak wesoły i pracowity, obowiązkowy i wytrwały o tyle, o ile nie weszła mu w drogę kobieta. Że zaś był młody i swawolny, zamożny i przystojny, o pokusę nie było trudno. Choroba zakochania była u niego chroniczna, a odbijała się tragicznie na całej ludności kolonii. Gdy był daleko, drżano o jego los i życie, gdy był w domu, dzień jeden nie przeszedł

spokojnie, gdy wyjeżdżał na dni kilka, odprawiano nowenny, gdy wracał oddychano jak po zmorze. Życie z jego powodu było bezustanną gorączką.

Gdy wrócił ze szkół, przywlekleła się za nim jakaś modystka, trzeba jej było w Algierze założyć magazyn. Powrót z wojska urozmaicony został przybyciem jakiejś Arabki, za którą przygnał się cały jej klan i odebrawszy piękność, za waletę spalił owczarnię. Przyjazd z praktyki gospodarczej nie odbył się też pospolicie. Tym razem przywiózł sobie jakiegoś ojca z córką, którzy jakoby byli specjaliści ogrodnicy.

Osadzono ich tedy w ogrodzie, ale rychło się pokazało, że ojciec był specjalistą od absyntu, córka zaś umiała tylko śpiewać kuplety i zabawiać Kostusia. Tym razem opłacono gruby okup.

Pomniejszych wypadków było bez liku. Po każdej takiej „fudze” Kostuś wracał do przytomności, pracował za trzech, żył jak mnich, odrzekał się od miłości i kobiet jak pijak od wina, był uległym synem, miłym towarzyszem, słodkim i pokornym, choć go przyłożył do rany.

Mimo woli zapomniano zgryzot i kłopotów; usidlał nawet ojca, a kobiety zawsze pewne były, że to już ostatni wybryk. I wreszcie wyrzucano sobie, że go strofowano za ostro. Był przecie jedynakiem -- nadzieją, chlubą, ukochaniem tych trojga rozbitków, którym tyle odebrały los i życie.

Stary Jamont, zapracowany, wyschły jak daktyl, wciąż tylko przemyśliwał i zbierał, by chłopaka hulanki nie zubożyły. Ciotka troskała się o jego zdrowie i wypoczynek, matka tylko jedna znalazła sposób radykalny.

-- Trzeba go ożenić, Jasiu! -- mawiała do męża.

-- Ba! -- odpowiadał ruszając ramionami. -- Chcesz, żeby jeszcze jednej osobie więcej czynił

zgryzotę. A zresztą, pilno ci obcą tu zasadzić? Poczekaj, nacieszysz się nią rychło!

-- Ależ nie obcą, Jasiu. Wezmę go z sobą, pojedę do kraju, tam go ożeniemy!

-- Tere-ferre! Która to zechce stamtąd odjechać tutaj dla takiego urwisza?

-- Ja ją uproszę, zobaczysz! Ja bym tak chciała przed śmiercią jeszcze tam być. Pozwól, Jasiu!

-- Ano, jak chcesz. Zobaczymy, jaki będzie zbiór owoców. Podróż kosztowna.

Czekali tego zbioru. Myśl była rzucona, mówiono o niej coraz częściej, budowano plany.

Kostuś się śmiał niefrasobliwie, nie wierzył w urzeczywistnienie projektu, a choćby i doszedł do skutku, no, to będzie zabawne. Napisano nawet do krewnych z oznajmieniem, zaprenumerowano pismo polskie i kartę szczegółową Europy.

W dżdżyste wieczory był to temat rozmów niewyczerpanych, którym się Kostuś przysłuchiwał

gryząc cygaro lub coś nucąc pod nosem. Wyglądało mu to na baśnie, zwykłe baśnie wieczorne na koloniach, gdzie nie ma towarzystwa ni nowin. Na kominku winograd suchy trzaskał, po płaskim dachu deszcz pluskał, za ścianą Mohamed, służący, brząkał aa arabskiej gitarze. A tu, w izbie, opowiadano o śnieżnych zamieciach, o brzożach, o łanach, o ludziach zupełnie mu niepojętych, o stosunkach dziwnych. Trochę legendy czuć było w tych pamiątkach sprzed dwudziestu lat, trochę poetycznego zabarwienia.

-- *Contes de veillées!* -- mruczał Kostuś.

Podróż nareszcie dostała termin i cel stanowczy. Zaczęto się do drogi sposobić nie na żarty.

Chłopaka lęk trochę ogarniał, choć nadrabiał rezonem. Żenić się -- brr! Kto zaręczy, że żonie można będzie oczy zamydlić, gdy tak -- kto inny się spodoba.

Źle -- to jakby się dobrowolnie brało do domu kwaterunek śledczej policji!...

Ale nie było rady. Matka tak chciała, a on pono matki jednej się bał i słuchał, choć właśnie ona jedna nigdy go ostro nie strofowała. Wzdychając godził się z wolą starszych.

Tymczasem w podróż ruszyła tylko matka. W podróż daleką, bezpowrotną. Zabrało ją zapalenie płuc.

Po tym odejściu tak nagłym kolonia długi czas była jak łódź bez steru, jak martwe ciało. Ruch odbywał się mechanicznie, siłą raz danego rozpędu -- powoli znać się dawało opuszczenie. Istotnie pracowała jedna panna Felicja, stary Jamont osowiał i ręce opuścił. Kostuś zdawał się nie myśleć, wewnętrzny porządek się rozpręgał. Stara ciotka nie była w stanie wszystkiemu podołać.

Nieurodzaj haniebny otrzeźwił starego. Poczul, że grozi ruina. Wysiłkiem woli otrząsnął apatię i rozpacz, zagarnął znowu rządy w swe doświadczone dłonie.

Było to w pół roku po śmierci żony.

W domu jednak pozostała niczym nie zapełniona pustka. Gdy wieczór ich zgromadzał, milczeli

ponuro, by nie wspominać okropnej straty, pracowali bez chęci. Tak byli swą troską zajęci, że czas jakiś nie zauważyli częstych eklips Kostusia, zrazu tylko wieczorem, w święto, potem od rana w niedzielę, wreszcie i w dniu robocze.

Panna Felicja pierwsza, jak zwykle, uderzyła na alarm.

-- Nie wiesz, Jasiu, gdzie Kostuś? -- spytała razu pewnego.

-- Gdzież by miał być, w winnicy zapewne! -- odparł Jamont niedbale.

-- Ależ on już trzecią noc spędza za domem. Mówię ci, to nowy paroksyzm amorów!

-- Bój się Boga, kobieto! -- upominał kolonista. -- Toć on niedawno matkę pogrzebał. Go dzień jej na mogiłę nosi kwiaty.

Tak, kwiaty nosił Kostuś, ale nie ze swego ogrodu. W sąsiedztwie, o milę, osiadł przed rokiem nowy plantator, niejaki Tirard z Marsylii, posiadacz siedmiorga dzieci i sporej dozy handlowego sprytu. Siła rąk było do pracy, więc też w mig wywiercono kilka studni i na szmacie piasku zazieleniała winnica i pole pod uprawę tytoniu, w cieniu zaś kilkunastu eukaliptusów domek mieszkalny, otoczony kwietnikiem.

Sąsiad Tirard odwiedził Jamontów, chciał się zaprzyjaźnić nawet, ale między tymi dwoma rodzinami było tyle różnic szczepowych, tak mało porozumienia, że stosunki, ledwie zawiązane, ograniczyły się do rzadkich odwiedzin za interesem lub w nagłej potrzebie.

Napastował kilkakroć Francuz Jamonta, aby mu syna udzielił do robót technicznych przy nawodnieniu i utrzymaniu studzien, ale trafił na opór, Stary się tłumaczył wiekiem i pilną robotą i Kostusia nie puszczał. Potem choroba i śmierć żony zatarła mu w głowie nawet pamięć o sąsiedztwie.

Pewnego dnia, gdy Kostuś eskortował do stacji handlowej swój transport korkowego dębu, spotkał Klarę Tirard z bratem, wiozących na osłach kosze ananasów i moreli. Kompanie na wąskiej drodze górskiej szły jedna za drugą powoli, młodzi zbliżyli się i poczęli rozmawiać, potem żartować, potem umawiać się o dalszą wspólną drogę.

Tak się i stało. Zdali towar jednocześnie, załatwili interesy i obładowawszy osły towarem europejskim, zabierali się do powrotu. Ale w ostatniej chwili Tirard gdzieś się zabałamucił, przypadł w zaułkach, gdzie tańczyły almee, nie dał się Konstantemu namówić do powrotu.

-- Wracajcie. Napędzę was konno! -- rzekł.

Powrót ten sam na sam w cudną noc afrykańską, przez góry cedrami posyite z piękną i zalotną dziewczyną wystarczał, aby Kostuś stracił ze szczętem głowę i serce. Pojechał do sąsiadów raz i drugi, na chwilę, ukradkiem, a wiedząc, że mu to bezkarnie uszło i nikt nań w domu nie zwraca uwagi, począł bywać co dzień, spędzać tam dnie, potem wieczory, wreszcie noce.

Tirard zacierał ręce. Chłopak mu bezpłatnie przeprowadzał nawodnienie, robił niwelacje, wiercił

studnie, no, a w dalszym ciągu miał zostać zięciem. Francuz już uważał Sadyby za swą własność.

No, i Bóg wie, czy nie doszłoby do tego, gdyby nie czujne oko panny Felicji. Widząc, że brat nie ma głowy ni pamięci, sama się zabrała do szpiegostwa.

Raz i drugi Kostuś, wzięty na indagację, wykręcił się, śmiejąc się bezczelnie, pewny, że ciotka --

go nie upilnuje, rad, że jej płata figle. Miał na każdą nieobecność gotowe tłumaczenie. Oburzona, wezwała brata do pomocy.

-- Mówię ci, on nam gotuje jakąś straszną awanturę. Pilnuj go! Zapytaj, gdzie bywa!

Jamont, żeby się zbyć, zawołał syna.

-- Słuchaj no! Ciotka mówi, że znowu urządzasz wariacje i wstyd! To być nie może, żebyś tak prędko matki zapomniał. Ona cię, konając, zaklinała, byś się szanował.

-- Ja się też szanuję -- upewnił syn.

-- Po co się zapierasz! Powiedz, w kim się znowu kochasz? -- zawołała panna Felicja.

-- Ciocia zawsze mnie przed ojcem oczerni -- westchnął Kostuś z miną ofiary.

-- Nieprawda! Kochasz się i domyślam się w kim. W tej czarnej małpie z sąsiedztwa.

-- Dałeś się wciągnąć do Tirardów wbrew memu zakazowi! -- oburzył się Jamont. -- A wiesz ty, skąd oni, co za jedni, czy na ich pieniądzech i rękach nie ma kradzieży lub oszustwa? Mężczyźni wyglądają jak komunardy, a córka chowała się w marsylskim porcie. To nie dla ciebie towarzystwo ani znajomość, ani tym mniej partia. Zabraniam ci tam bywać i czynić im jakie nadzieje zbliżenia.

Nie życzę sobie mieć żadnej sprawy z Tirardem.

Jamont, rzekłszy to, uważał kwestię za skończoną i zajął się czym innym. Kostuś przyczał się jak mysz pod miotłą i czas jakiś uspiły się obawy panny Felicji. Aliści dnia pewnego, wracając z pola do domu, usłyszała w winnicy szepty i śmiechy. Podkraśla się bliżej i na własne oczy ujrzała Klarę Tirard i Kostusia, trawiących czas drogi na zalotach.

Chłopak, który krzesał winograd, dawno już snadź roboty zaniechał, narzędzia rzucił i wyciągnięty u stóp dziewczyny na stosie świeżo pociętych gałęzi, świątkował bez ceremonii i prawil czułości; dziewczyna droczyła się z nim śmiejąc się swawolnie.

Panna Felicja na przełaj, tratując warzywo, kalecząc twarz, drąc odzież, puściła się ku domowi i wpadła do brata..

-- Są, są! Siedzą w winnicy! Ona go nazywa „ty”, a on ją *ma chère*! Sama słyszałam. Idź

prędzej, Jasiu, masz oto bambus!

Jamont oburzony ruszył ku Winnicy, bez bambusa wszakże. Trafił jeszcze gorzej niż siostra, bo na bardzo czułe pożegnanie i stanął nad nimi jak karcące bóstwo. Koszuś na sekundę stracił

przytomność, po chwili jednak myśląc, że ojciec obrazi dziewczynę, hardo się wyprostował, gotów ją bronić.

Ale stary odezwał się sztywno:

-- Może mnie przedstawiś?

-- Mój ojciec! Panna Tirard! -- zamruczał tracąc rezon i pojęcie.

-- Bardzo się cieszę, że panią spotykam -- rzekł Jamont z ukłonem. -- Właśnie mam do pani interes, otóż skorzystam ze sposobności, aby ją do domu odprowadzić i mą sprawę wyłuszczyć po drodze.

Zwrócił się do syna i dodał:

-- Zbierz, proszę cię, zmysły, narzędzia i gałęzie i nie odchodź, aż wrócę.

-- To dopiero granat mi się rozerwie na głowie! -- stęknął Koszuś trac czuprynę.

Jamont wrócił późno w nocy, zastał syna na werandzie.

-- Poproś ciotkę!

Panna Felicja była niedaleko, czyhała na tę chwilę.

„A co? Dopilnowałam w porę!” -- myślała triumfująco.

Jamont bez długich wstępów sprawę zagaił:

-- Jesteś kłamca, oszust, hulaka i głupiec w dodatku. Dałeś się wziąć na wędkę jak kiełb!

Oklamałeś ciotkę, oszukałeś ojca, panna nazywa cię swoim narzeczonym. Jutro jej ojciec tu będzie, aby się umówić o dzień ślubu i o intercyzę, co najważniejsza. Rozporządziłeś się swoją osobą beze mnie, żyjże sam, z nową rodziną. Felo, upakujesz swoje i moje manatki, pojutrze pojedziemy stąd.

-- Dokąd? -- krzyknęła przerażona.

-- Co ci do tego? Nie bój się! Nie zginiemy we dwoje! Świat wielki. Zaczniemy na nowo pracować.

-- Ojcie! -- wybuchnął Konstanty. -- Jeśli wy pojutrze, to ja jutro stąd ucieknę! Panna kłamie!

Nigdy nie był jej narzeczonym, niech mi to powtórzy!

-- Czy ty wiesz, szalona pałko, co mówisz i czynisz, gdy szalejesz? Nie tłumacz się. Ratowałem cię dosyć często, teraz basta! Pij sobie sam piwo, któregoś nawarzył!

-- Za nic! Ani myślę na tych warunkach. Żeby ojciec dał się przekonać co do panny Tirard, to może bym się z nią ożenił, bo doprawdy nikogo nie ma, ale żebym miał dla niej was stracić? O

Boże! Ot, zabieram się i wracam do garnizonu. Tak się to najlepiej skończy. Ach, te panny!

Bodajem ich nigdy nie spotykał! Żeby ojciec wiedział, co ja przez to cierpię!

-- A po coś kłamał? -- wtrąciła panna Felicja.

-- Ba, żebym cioci zawsze prawdę mówił, to bym nigdy nie zaznał zabawy. Słowo daję, ożenię się, niech się to raz skończy!

-- I owszem -- rzekł chłodno ojciec. -- Żeń się! Masz po temu dosyć choć lat, bo nie rozumu! Ja na to patrzeć nie będę!

-- Tatusiu! -- błagalnie zawołał Kostuś.

-- Milcz! Zapomniałeś matki, zapomnisz i nas. Nam starym nie czas uczyć się nowych teoryj. Ty zostaniesz pod opieką Tirardów. Jak cię oskubią do nitki, może nabierzesz rozumu, którego ani moje słowo, ani przykład nie mogły ci zaszcześcić. Idź spać teraz i przygotuj się do rozmowy z przyszłym teściem. Ja z nim traktować nie będę.

Nazajutrz istotnie Tirard się stawił, eskortowany przez trzech synów. Kazali się meldować Jamontowi, ale ponieważ go nie znaleźli, udali się za Arabem, służącym, do winnicy, gdzie Kostuś odrabiał wczorajsze świętowanie. Zawiązała się rozmowa długa, coraz gwałtowniejsza, z której Kostuś osiągnął tę naukę, że poznał, iż dostał się w ręce zbójów i aferzystów na wszystko zdecydowanych. Ledwie się ich pozbył obietnicą zwłoki i decyzji ojca. Czuł jednak, że się słomą nie wykręci.

Prosto stamtąd, zdesperowany, popędził do ojca.

-- Nic nie pomoże. Zginałem! -- jęknął.

-- Nareszcie! -- odparł stary. -- Dawno ci się to należało. Trafił frant na franta.

-- Ratujcie, tatusiu! Ja się żenić nie chcę.

-- Za późno! Teraz się żenić musisz!

-- Wcale nie, jeżeli ojciec nie pozwoli. Ja im tak odpowiedziałem.

-- Jesteś ideałem uległości, gdy ci to potrzebne. Ale ja się temu wcale sprzeciwić nie będę. Jutro umówimy się z Tirardem ostatecznie.

Kostuś umilkł, sumował, potem nagle rzekł:

-- Proszę mi, ojczy, dać sto franków!

-- Tak zaraz? Nie mam przy sobie. Dostaniesz za dni parę.

Chłopak więcej nie nalegał, ale wieczorem, wzdychając ze skrucą, umizgał się do sakiewki ciotki. Cierpliwie wysłuchawszy admonicji godzinnej, dostał przecie żadaną sumę i uśmiechając się pod wąsem, udał się na spoczynek.

Nazajutrz zostało po nim na kolonii tylko wspomnienie i kartka tej treści:

„Nie wrócę, aż mnie ojciec odczepi do Tirardów. Proszę do mnie pisać: Algier -- *poste restante*”.

-- Przeklęty błazen! -- wybuchnął Jamont. -- Teraz ja zaprzysięgam, że on tutaj wróci żonaty. Za starzy jesteśmy, aby go pilnować. Funduszu wreszcie nie starczy na te okupy!

Podarł kartkę i oczekiwał sąsiada.

Tirard nie zwlekał. Stawił się następnego dnia bardzo czuły i rozpromieniony.

-- Połączenie naszych rodzin -- zaczął -- napęła mnie radością i szczęściem.

-- Jakie znów połączenie? -- przerwał Jamont. -- Syn mój dziś w nocy został wezwany do wojska. Wysłano go do Chin podobno. Nie wiem, kiedy wróci. Ja zaś szukam kupca na kolonię.

Wolę mieć kapitał niż ziemię, tym bardziej, wyznam panu, że moje studnie co rok ubożeją. Za dziesięć lat piasek pożre moją pracę. Trzeba uciekać, póki czas!

-- To błaga! -- odparł Tirard. -- Pan mnie oszukujesz. Nie chcesz pan dać mi syna za zięcia. Ale ja go sam dostanę, znajdę, zmuszę! A wtedy zobaczymy!

-- Kiedy tak, to rzecz skończona. Szukaj pan Kostusia. Odjeżdżając, prosił mnie o przypomnienie panu należytości za jego roboty. Podyktował mi rachunek. Oto jest. Zechce go pan uiścić!

-- Nie było mowy o wynagrodzeniu.

-- Ale jest na to prawo. Zresztą, jeśli pan trwa w chęci wydania zań swej córki i skłoni go do tego, ja jeden tylko stawiam warunek. Znamy się tak mało, że pragnąłbym mieć trochę więcej szczegółów o pochodzeniu i przeszłości pana. Zanim pan znajdzie Kostusia, ja udam się do Marsylii i zasięgnę o panu wiadomości. Tymczasem, żegnam!

Tirard odjechał. Panna Felicja przez czas jakiś co noc spodziewała się zemsty sąsiadów. Jamont czekał wezwania do sądu.

Ale jedno i drugie nie nadchodziło, aż wreszcie dowiedziano się, że panna Klara wyjechała do Francji.

-- Przegrali! Złękli się swej przeszłości. To się udało -- odetchnął Jamont.

Kostuś, który tymczasem siedział w Algierze ukryty u znajomego i wychodził tylko w nocy, odebrał

wreszcie list z domu:

„Będziemy w hotelu Angielskim pojutrze -- czekamy na ciebie”.

Odetchnął. Więzienie mu już bardzo dokuczyło.

Gdy ujrzał ojca i ciotkę, zapomniał o swym przestępstwie i o ich gniewie. Jak szalony jął ich ścisnąć i całować.

-- A co? Zwojował ojciec Tirardów? Czy ja nie mądrze zrobiłem? -- wołał.

-- Milczałbyś, nicponiu! Jutro rano odjeżdżasz z ciotką do Europy!

-- Po co? Nie mam ochoty!

-- Właśnie ja dbam o twą ochotę. Jedziesz, bo ci każę i basta! Ciotka cię weźmie pod opiekę, będziesz jej służył i słuchał. Tam sobie wybierzesz żonę i wtedy wrócisz.

-- Ależ, tatusiu! Jakże ojciec podoła sam tylu robotom tak długo? To niemożliwe!

-- Wolę mieć trzy kolonie do zarządu niż ciebie jednego kawalera w domu. Trzeba z tym raz skończyć!

-- To niech ciocia sama jedzie i przywiezie z sobą jaką pannę. Ja ich tak nie cierpię! Mam wstręt, ohydę!

-- Nie bredzić! Macie pieniądze, paszporty i pół roku czasu. O świcie statek rusza.

-- To ja zresztą sam pojedę -- zawołał Kostuś zapominając o wstręcie i ohydzie.

-- Pewnić! Żebyś nam znowu sprowadził jakąś modystkę czy awanturnicę! Pojedziesz pod moją opieką -- odparła panna Felicja.

Kostuś stęknął, potarł czuprynę i spojrzał po nich desperacko.

-- Pijcie moją krew -- zamruczał zrezygnowany.

I oto, jak się stał ciotki więźniem stanu.

II

W Brześciu, o kilka stacji od celu podróży, rozkład pociągów zatrzymał naszych wędrowców sześć godzin.

Kostuś, dawszy folgę swej złości za taki bezład, wynalazł ładną, bufetową i rozsiadłszy się nie opodal, jadł obrzydliwe potrawy, byle z nią gadać.

Panna Felicja, używszy spaceru na platformie, była tak zmęczona, że zdecydowała się spocząć w szkaradnej ciasnej izbie, przezwananej szumnie „damską komnatą”.

Siedziało już tam pięć innych kobiet i płakało dziewięcioro małoletnich męczenników. Skończyło się oczekiwanie, otwarto kasę i Kostuś z biletami zapukał do sanktuarium, gdzie mężczyznom było wejście wzbronione.

Panna Felicja ukazała się.

-- A co? Jedziemy? Poczekaj. Kup jeszcze jeden bilet. Tu jest pani, która nie może dziecka zostawić. Trzeba jej pomóc. Proszę pani, oto jest mój synowiec i załatwi, co trzeba.

Zza jej pleców ukazała się kobieta.

-- Dziękuję bardzo panu i przepraszam -- rzekła.

-- Ależ z całą przyjemnością służę pani! -- odparł, uchylając kapelusza.

Nazwała stację, oddała kwit na bagaże i pieniądze.

Odszedł szybko, naglony pierwszym dzwonkiem.

Gdy załatwił się, zastał obie kobiety czekające na niego u drzwi. Wsiedli wszyscy do jednego przedziału. Było ich tedy czworo, rachując w to dziecko trzyletnie, senne i płaczące, które w ostatniej chwili musiał wziąć na ręce i podać matce do wagonu. Zatrzaśnięto drzwiczki i wśród lokowania się pociąg ruszył przy wtórze okropnego płaczu rozbudzonego dzieciaka.

-- Ochota szczególna włóczenia ze sobą takiej gitary! -- mruczał Kostuś. -- Nie da nam oka zmrużyć przez noc całą. Wynoszę się stąd na następnej stacji.

-- Mój drogi, nie rób o byle co piekła! Kiedyś i tobie może się zdarzyć posiadanie takiego instrumentu -- reflektowała panna Felicja. -- Ja sobie tego wcale nie przykrzę. To takie śliczne --

mały dzieciak.

-- Wolę ośmnaścieletnie. No, niech się ciocia ułoży do snu. Rano pożegnamy się, dzięki Bogu, z koleją żelazną. Zacznie się inna lokomocja!

Wstał, przy świetle lampy pogatunkował bilety i podszedł do towarzyszkii podróży. Przedzielona od

nich poręczą ławki, siedziała, trzymając na ręku dziecko, pochylona ku niemu, usypiając pieszczotą i szeptem.

-- Oto jest pani bilet, kwit i reszta pieniędzy! -- rzekł. Podniosła do niego twarz i wtedy dopiero ją ujrzał wyraźnie.

„*Sapristi!* Jaka ładna!” -- pomyślał, usposobiony nagle pojednawczo, nawet do płaczącego dziecka.

Kobieta istotnie była bardzo przystojna. Szczupła i zgrabna miała w sobie ujmujący wdzięk wielkiej prostoty i łagodności. Twarz mizerną opromieniały czarne, wielkie, smutne oczy i usta delikatnego rysunku.

Na rysach wycięty był wyraz przedwczesnej dojrzałości i zmęczenia, który tej postaci, bardzo jeszcze latami młodej, dodawał uroku i pociągał zagadkowością i głębią.

Wyciągnęła po bilet rękę szczupłą, przejrzystą prawie i podziękowała z cicha.

-- O, bardzom panu wdzięczna i przepraszam za dziecko. Zwykle jest ciche, ale oto siódmą noc spędza po wagonach i bezmiernie zmęczone.

O sobie nie mówiła, chociaż widać było na jej twarzy bladość ostatecznego wyczerpania.

-- To pani równie daleką odbyła drogę jak i my z Marsylii.

-- A ja z Kaukazu.

Mógł już odejść, ale pozostał, ciągle jej się przypatrując.

-- Niech pani spocznie -- rzekł wreszcie. -- Ja dziecku ustąpię swoje miejsce, bo spać nie chcę.

Pani wygląda niezdrowo.

-- Niech się pan nie krępuje. Przebyło się tyle, wystarczy sił i na resztę. Już niedaleko.

-- Doprawdy nie pozwolę na to. Ułożymy dziecko wygodnie tutaj oto. Proszę się nie spierać!

Uśmiechnęła się nieco.

-- Jeśli pan tak grzeczny, to nie mogę odmówić. Tylko się boję, że gdy zmienię pozycję, gitara koncert rozpocznie.

Poczerwieniał. Musiała słyszeć i zrozumieć jego poprzednie francuskie uwagi. Ale wnet się sam rozśmiał.

-- Stało się. Uraziłem panią. Za karę będę niańczył pani drobiazg.

Wziął dziecko na ręce starając się to czynić najdelikatniej. Obudziło się jednak i spojrzało nań

takimiż jak matki czarnymi żrenicami.

-- Śliczny kociak! -- rzekł tym razem głośno. Zza poręczy wyjrzała zdumiona panna Felicja.

-- Patrzcie! Jak ty umiesz z dziećmi się obchodzić!

-- Niech ciocia nie krzyczy, bo ją nastraszy!

Ale już było za późno. Dzieciak, nie widząc matki, jął wrzeszczeć wniebogłosy.

Kobieta spiesźnie zwróciła się do niego i ułożyła na posłaniu z szalów.

-- O, przepraszam państwa stokrotnie! -- rzekła.

-- To nic! -- uspokajała panna Felicja -- biedne maleństwo! Ileż ma lat?

-- Trzy! -- odparła matka i tuląc, dodała -- no, śpijże, śpij. Tolu, mama jest przy tobie.

-- Że też pani tak samotnie zdecydowała się odbywać tyle drogi. Mąż powinien był towarzyszyć.

Kobieta potrząsnęła głową.

-- Mój mąż nie żyje już od dwóch lat! -- wymówiła z cicha. -- Ona ma tylko mnie, a ja ją.

-- Mój Boże! -- westchnęła panna Felicja. -- Taka młoda a wdowa! Z czegoż to umarł mąż pani?

-- Wypadek z parową pompą. Tam, daleko na Kaukazie, gdzie nas zła dola zawiodła.

-- Na Kaukaz! Co się to dzieje! Za moich czasów żadna panna nie zgodziłaby się wyjechać za mężem gdzieś za góry i morza. Chybaby był emigrant.

-- Wiele ten czyni, kto musi! Mieliśmy do wyboru głodową śmierć tutaj lub życie tam. Mój mąż, wykwalifikowany technolog, po wielu a wielu staraniach, dostał tam posadę. Licho był płatny, bez nadziei zdobycia kariery, osiedliśmy w miejscowości tak niezdrowej, że febra nas nie opuszczała nigdy. Przebyliśmy tam półtora roku, dopóki go febra nie powaliła na posłanie. Wtedy musieliśmy i stamtąd uchodzić. Rok upłynął w Tyflisie, w nędzy, on przepisywał akty, ja szylam. Chodził od urzędu do urzędu zebrząc o posadę byle jaką. Nareszcie otrzymał miejsce zawiadowcy -- na małej, wśród gór; stacji. Ni Boga, ni ludzi. Raz na dzień pociąg przechodził. Tam pewnego dnia wezwano mnie do pompy. Zastałam męża bez życia już, a na trzeci dzień zjechał zastępca. Znowu zamieszkałam w Tyflisie. Zapomogi mi odmówiono, pracy było bardzo mało. Dwa lata zbierałam grosz do grosza. Teraz wracam z niechęcią i wstrętem.

-- Bój się pani Boga! -- oburzyła się panna Felicja. -- Do kraju wracasz i to mówisz? My w dobrym bycie spędziliśmy na obczyźnie dwadzieścia lat, a oto jadę jak na gody.

Kobieta spojrzała po nich z wyrazem niedowierzania i podziwu.

-- I pani sądzi, że kogoś odnajdzie lub cokolwiek pozna? -- szepnęła z gorzkim uśmiechem.

-- Jedziemy do krewnych -- i całą pewnością siebie oświadczyła panna Felicja. -- Zapewne i pani ma rodzinę?

-- Mam brata.

-- Ciociu -- upominał Kostuś z cicha -- dajmy tej pani spać, a i ciocia niech spocznie.

Kobieta, osłoniwszy dziecko od światła, położyła się wreszcie. Młody człowiek usiadł w kącie i przymknąwszy oczy, udawał sen. Gdy po długiej chwili spojrzął na nieznaną, jeszcze nie spała.

Wielkie jej przepaściste oczy, utkwione w płomień lampy, żyły i myślały.

-- *Cré nom!* -- zamamrotał Kostus. -- Te oczy mają formę i osadę południową, a wyraz, jakiegom u nikogo nie widział. Co za typ nowy a drażniący. Musiał ten mąż wściekle żałować, że taką zostawić musi na świecie!

Przymknął znowu powieki i długi czas myślał o towarzysze, wreszcie zadrzemał pomimo arcyniewygodnej pozycji.

Obudził się z bolącym karkiem i zbitymi, zda się, członkami. Na dworze był wczesny ranek letni. Mgły różowe od świtu przysłaniały krajobraz, do wagonu wciskał się wilgotny, rzeźwy zapach wielkich, zbożem pokrytych przestrzeni. Wyrzawszy oknem, Kostuś spojrzął na nieznaną. Spała biedna, z twarzą przysłoniętą cieniem na pół rozpuszczonych ciemnych warkoczy. Na drugiej ławce rozprawiała przez sen panna Felicja. Tylko dzieciak się zbudził i skulony na szalach patrzył nieufnie na obcego. Kostuś począł go ruchem i szeptem do siebie wołać; wabił brelokiem zegarka, wreszcie przemógł dzikość karmelkiem.

Powoli, z palcem u buzi, wahająca, zbliżyła się doń, wzięła łakocie i już pozostała, nie odrywając oczu od wisiadeł przy zegarku.

Ośmieliła się wreszcie wziąć je do rączki.

-- Co to? Co to? -- pytała przebierając ciekawie. Pochylił się do czarnej główki i odpowiadał z uśmiechem. Nagle podniosła oczy -- do matczynych podobne, i rzekła, kładąc mu łapkę na kolanach:

-- Tola tutaj siądzie.

Przymierze było -- zawarte. Wziął ją na ręce, usadowił wygodnie i rozpoczęła się rozmowa przyjacielską. Dzieciak wyrzwał oknem i nazywał przesuwające się przedmioty po swojemu -- tym osobliwym volapiikiem małych ludzi.

Bawiło to niezmiernie Kostusia, który dzieci nigdy nie widywał i nie znał. Potem zaczął sam indagację.

-- Tola kocha mamę?

-- Kocha.

-- A tatę?

-- Tata u Bozi. Tatę maszyna zabiła.

-- A mnie kochasz?

-- Kocham.

-- No -- to daj buzi!

Objęła go rączkami za szyję i pocałowała. Potem spojrzała na matkę i żałośnie szepnęła:

-- Tola chce ham! A mama śpi!

-- Niech śpi. Poczekaj -- ja cię nakarmię. Dobył koszyk panny Felicji i zamyślił się:

„Czy dać dziecku pasztetu z winem, czy bułki z pomarańczą?” Tola zdecydowała sama, wskazując paluszkami owoc czerwony. Rozpoczęło się śniadanie przerywane gawędką i śmiechem.

Skończywszy jeść, dzieciak się zastanowił, potem przeżegnał się zupełnie prawidłowo i rzekłszy: „Dla Bozi!”, wgramolił się na powrót na kolana nowego przyjaciela.

Tym razem rozhowor stał się tak ożywiony, że obudził matkę. Zerwała się z niepokojem i uspokojona natychmiast, spojrzała z wdzięcznością na Kostusia.

-- Przepraszam pana za nią -- rzekła. Tola skoczyła na ziemię i pobiegła do niej.

-- Mama śpi, a on Toli dał ham i cacka pokazał, Tola bardzo jego kocha.

-- Tolu, nie mówi się „on”, ale „pan”.

-- Kiedy on nie pan, on Kostuś -- doprawdy. Zaśmiali się oboje. Przebudziła się panna Felicja i natychmiast zaczęła wołać:

-- Jezus Maria! Ja tu nic okolicy nie poznaję! Pewnie przespaliśmy stację, Kostuś!

Uspokoił ją i wrócił do wdowy.

-- Pani też niedaleko od kresu podróży?

-- Zaledwie parę stacyj.

-- My już wysiadamy na następnej. Jaka szkoda, że się rozłączamy. Mógłbym może mieć przyjemność usłużenia pani. Jednakże mam nadzieję spotkania w przyszłości. Pozwoli pani się przedstawić: Konstanty Jamont!

-- Helena Wojakowska!

Podawała mu drobną, chudą rękę do uścisku, a Tola dodała ze śmiechem:

-- Mama Hela! Mama Hela!

-- Rany Boskie! -- zawołała nagle panna Felicja. -- Zgubiłam wszystkie pieniądze! Awantura!

Kobieta podniosła się na wpół, ale ją powstrzymał zupełny spokój Konstantego.

-- Niechże pan pomoże szukać -- rzekła.

-- Ach, pani, słyszę to tyle razy już. Przestałem wierzyć! Zaraz się odnajdą.

Jakoż po chwili -- głębokie odetchnienie ulgi wydobyło się z ust panny Felicji i wnet nawoływanie synowca:

-- Kostusiu, zbierz drobiazgi. Możemy zmitrężyć stację i dalej pojechać.

-- Niewielkie nieszczęście -- zamruczał i dodał z odrobiną niecierpliwości. -- Ciotka się tak miota, jakby pierwszy raz w życiu używała kolei.

Wstał opieszale, coraz zerkając na wdowę. Dzieciak się do niego wydzierał i kaprysił. W

wagonie zgiełk się uczynił.

-- Zbałamucił mi pan córkę! -- rzekła kobieta z uśmiechem, gdy dla uspokojenia wziął Tolę na ręce i stanął z nią w oknie.

-- Wykradłbym ją pani z przyjemnością -- odparł ze śmiechem. -- Cóż, Tolu, daj buzi! Zabiorę cię sobie. Dobrze?

-- Dobrze, ale z mamą! -- dodała zaraz. Przerażliwy gwizd pociągu przerwał umowę. Wkraczano w obręb stacji i po chwili zatrzymano się przed budynkiem żółtym z zielonym dachem. Na platformie czerwieniła czapka zawiadowcy, wnrzona w tłum wrzeszczących Żydów i bosego, dziko wyglądającego chłopstwa. Kostuś oddał Tolę matce i z westchnieniem uściśnął dłoń towarzyski podróży.

Ciotka odwołała go rychło do pakunków. Dzieciak podniósł lament przeraźliwy, gwałtem wydzierał się za nimi. Po łagodnych perswazjach matka użyła argumentu klapsa. Rączka poczerwieniła, oczki łzami zasły i tak boleśnie „opłaciła Tola swój pierwszy flirt w życiu. Na stacji tymczasem pannę Felicję obskoczyło natychmiast kilku Żydków furmanów, krzyżąc i szarpiąc jej tłumoczeki.

-- Chcę do Sadyb! Do Sadyb! -- wołała.

-- Co pani da? Na co od razu do Sadyb! Można do Malewicz. Czy pani kufer ma? Może pani do miasteczka?

Tłuszcza wrzeszczała odpychając się wzajemnie. Nareszcie jeden opanował zgiełk. Był to Żyd suchy, czarny, z batogiem w ręku, cuchnący z daleka dziegiem i rogoża.

-- Sza, sza! -- wołał do kolegów -- *sei sztyl!* Jaśnie pani chce do Sadyb! Och, ja co dzień tam jadę na mój fajeton. Ja wiozę pasażery do miasteczka. -- Wszystkie państwo znają fajeton Alkone Krum. Niech pani się spytuje sam pan marszałek Zawirski. Do Sadyb -- ja zawiozę za moment.

Tam żyje ten gruby generał. Bardzo akuratywny człowiek, tylko niebezpieczny, jak sobie należy w oczy! On mnie zna. Och, on do mnie raz z żartów troszeczkę wystrzelił.

-- Nie potrzebuję furmanki. Najmę pocztę -- broniła się rozpacznie panna Felicja.

-- *Herste!* Poczta! A gdzie una? -- zawołał Żyd triumfująco. -- Poczta wozi czynowniki tylko, dla prostej pasażery jest bałagoła, ja, Alkone Krum.

-- Niech pani wyglądnie na mój fajeton. -- Zachodził -- jej od okna, nieznacznie kierując ku drzwiom.

-- Kostuś! -- zawołała niespokojnie, nie widząc go nigdzie. Wypadła do ogólnej sali na poszukiwanie.

Stał w drzwiach do platformy i patrzył na pociąg.

-- Co ty tu robisz?

-- Ja sobie' myślę cipciu, że po co jechać i szukać dalej.

Podobała mi się ta wdowa okrutnie.. Jedźmy dalej, po drodze oświadczę się -- i będzie koniec.

-- Co on gada? Zwariował! -- Porwała go za rękaw i odciągnęła od drzwi. -- Czegóż ten pociąg stoi tu tyle czasu? Niech sobie jadą, niech jadą! Ty nie masz sumienia i odrobiny zdrowego sensu!

Co za wdowa? Przysięgnę, że nie znasz jej nazwiska.

-- Owszem: Helena Wojakowska.

-- Z których Wojakowskich?

-- Jak to: z których?

-- Ano, czy z tutejszych. Był Wojakowski plenipotent u nieboszczyka stryja. Ale to do rzeczy nie należy. Idź, umów furmankę do Sadyb. Ja bym chciała pocztę. Idźże, idź!

Pociąg ruszył. Konstanty uchylił raz jeszcze kapelusza i westchnął ciężko.

-- Ano, trzeba jechać! -- rzekł z rezygnacją. Wyszedł na dziedziniec stacji, Żydzi z batogami za nim.

-- Gdzie poczta? -- zawołał.

-- Ja! -- odpowiedział Alkone Krum, kłaniając się jarmułką. -- Oto mój fajeton! Niech jasny pan obejrzy, co ta za szerokość, co za wygoda, to jest tak obszerne i kochane budę jak chata własna!

Wskazał ręką i batogiem budę olbrzymią płócienną, przy której drzemały melancholijnie u dyszła dwa konie małe i trzeci wielki dropiaty, chudy osobliwie.

-- A daleko do Sadyb?

-- Do Sadyb! Och, dla mnie to moment, my tam staniem przed wieczorem.

-- Ile żądasz za dwie osoby i bagaż?

-- Och, poładzim się! Takie państwo nie zechcą mojej krzywdy. A gdzie rzeczy?

-- Oznacz najprzód cenę.

-- Nu, ja mogę państwa zawieźć taniej! -- ozwał się drugi Żyd.

Alkone poskoczył ku niemu, poczęła się kłótnia wrzaskliwa. Konstany znudzony powrócił do ciotki.

-- Jest buda i Żyd. Każę znosić tłumoki.

Zabawił chwilę na platformie, zasięgnął o Alkone Krum informacji u żandarma. Żyd był znany.

Woził podróżnych aż w głąb kraju -- skarg na niego nie zanoszono. Konstany tedy kazał wynosić kufry. Ale przez ten czas dziedziniec stacji opróżnił się z ludzi, koni i wozów. Została tylko bryka Alkony -- i on sam na ganku.

-- No, przyjmuj bagaż! -- rzekł Jamont.

-- A wiele pan zapłaci do Sadyb? -- odparł Żyd obojętnym już tonem.

-- Wiele chcesz?

-- Ja chcę dwanaście rublów!

-- Co? -- zawołała panna Felicja. Ten zbrodniarz! Ode mnie chciał pięć rubli!

-- Nu, ja pomylił się! Ja myślał, że to inne Sadyby. Gdzie blisko! Och, może być pomyłka! Na tej drodze to jest dwie Wólki! Może być dwie Sadyby. Do ten gruby generał to jest dziesięć mil. To koniec świata! Och -- i tyle bagaży! Ja powiedział delikatne cenę.

-- To jest rozbój! Ja będę skarżyć! -- wołała panna Felicja.

-- Jasne panie, trzeba jechać, a -- nie prawować się! Sąd nie kuń! Wun do Sadyb nie zawiezie. A mój fajeton zawiezie.

Kostuś się zniecierpliwił.

-- Bierz cię lichu! Dam dwanaście rubli, byłeś prędko dowiózł. Ładuj tłomoki.

-- My polecimy jak ptaszki, tylko moment poczekamy, aż konie obrok zjedzą! Całe parady kwadrans.

Zakrzętał się żywo. Kostuś z ciotką poszli po ręczne pakunki. Po kwadransie Kostuś znowu wyrzwał. Bryka Alkony stała nieruchoma jak wyrzucony na mieliznę wieloryb -- konie miały worki na głowach -- woźnica patrzył kędyś na widnokrąg.

-- No, cóż -- gotowe?

-- Jeden moment. Jasny pan taki prędko. Ja wyglądam czwarty kuń.

-- Gdzież on! Z nieba ci spadnie?

-- On jest, tylko jego mój brat wziął i poleciał z telegram; to nie kuń, to diabeł. On zaraz przyleci.

Kostuś zajrzał do bryki i cofnął się. Kufry już były ulokowane, a na przednim siedzeniu było dwie osoby: szlachcic w kitlu i młoda Żydówka.

-- A to co? -- spytał groźnie Żyda.

-- Nu? Co? Te ludzie. To takie sobie drugie pasażery. Bardzo spokojne ludzie!

-- Ależ ja ciebie nająłem tylko dla siebie.

-- Och -- czyż jasny pan będzie siebie równał z takie proste ludzie! Uni płacą jaką złotówkę.

Będą jechali na przodku, a jasne państwo na tyle budy. Och, to nawet w kompanii bezpieczniej. Na tej drodze, co my ją będziemy jechali, bardzo są straszne lasy. Broń, Boże, wypadku!

-- Bodaj cię piekło pochłonęło, szachraju! -- splunął i odszedł. -- Gałgan drwi z nas w żywe oczy, i trzeba w milczeniu znosić! Czy my ruszymy dzisiaj?

Rozdrażniony i znudzony ostatecznie, spacerował po platformie. Stacja się wyludniła, upał

począł dokuczać. Okolica była płaska i monotonna. Przez pół pokrywały ją sośniny marne, przez pół bezpłodne piaski. Gdzie zajrzeć, pustka i martwa cisza. Jamont wypaliwszy moc cygar, znowu wrócił szturmować do woźnicy. Tym razem miał minę tak groźną, że Alkone skrył się przed nim między swe konie. W budzie Żydówka cierpliwie drzemała, jegomość w kitlu rozłożył na kolanach podróżne zapasy i jadł śniadanie.

-- Kiedyż ruszamy wreszcie! -- zawołał Jamont.

-- Za moment! -- powtórzył swoje Alkone, udając, że kielza konie.

-- At, po co to łgarstwo! -- wtrącił flegmatycznie jegomość w kitlu. -- Pan widocznie cudzy, to nie wie, że on czeka na drugi pociąg. My już do tego przyzwyczajeni. O południu może ruszymy.

-- Któż nam każe czekać? Jeśli pan tutejszy, chodźmy obydwu do sąsiedniej wioski po furmankę.

Jegomość sięgnął do łubianego tobołka, dobył kawałek kiełbasy i jął spożywać. Po chwili odparł:

-- Albo to chłop rzuci swoją robotę w taki czas letni i będzie się najmował w daleką drogę? A zresztą Żyd tańszy. Ja zawsze z nim jadę.

Kostuś, rozzłoszczony do reszty taką apatią, splunął w milczeniu i odszedł. Trzeba było czekać.

Zwiedził tedy stację, wyrzwał na puste pola poza nią, na pnie ściętego lasu, na drogę pełną” wybojów i wreszcie do tyła się poddał losowi, że tylko wyglądał przyjscia pociągu.

Alkone tymczasem umieścił tłumoki w bryce, nakarmił konie i położył się spać. Podróżni uczynili to samo.

Godziny wlokły się leniwie, bo stacja wyglądała martwo, upał wzrastał, krajobraz nastrajał melancholijnie.

W końcu pociąg nadszedł i odszedł, a Alkone wciąż się jeszcze targował z dwoma Żydami, którzy mieli zająć miejsca: jeden na koźle, drugi na drążku. Przybyło też kilka skrzynek towaru, którymi wypchano spód wehikułu.

Kostuś w trwodze, że stracą swoje miejsca, wwindował ciotkę i sam usiadł w głębi, po francusku, po polsku, po arabsku klnąc i przynaglając woźnicę.

Przyszła jednak owa godzina.

Alkone napoił konie, wygramolił się na kozioł, zebrał parciane lejce i batog i począł namawiać do ruchu swoje rumaki.

-- Wi, wio, anu, nu! *Said gesund!*

-- *Fur gesund!* -- odpowiedziano chórem.

Arka zadrżała w swoich posadach i ruszyła, przy wtórze przeraźliwego brzęczenia żelastwa i trzęsienia po kamieniach.

-- Wi, wio! -- wołał Alkone targając lejce i wymachując batogiem.

Niesforna trójka wydostała się na drogę.

Dyszłowe konie udawały pośpiech, dropiaty nie zadawał sobie nawet tej fatygi. Wierzgał za każdym razem i dawał się towarzyszom ciągnąć.

Toteż kłus rychło przeszedł w drobny truchcik, truchcik w stąpanie pełne głębokiego namysłu i powagi. Z wybojów dostali się na korzenie, z korzeni na bezdenne piaski obramowane drobną

sośniną. Panna Felicja oburącz trzymała się drabiny; Co chwila wpadała na jegomościa w kitlu.

Kostuś kilkakroć karambulował z Żydówką.

Odetchnęli, gdy się znaleźli na piasku.

-- To coś okropnego! -- jęknęła ciotka.

-- A czemuż ciocia odrzuciła mój projekt? Byłbym dotychczas już po słowie z wdową i nie błąkalibyśmy się jak dusze pokutujące. Teraz proszę cierpieć!

Sam wyskoczył z bryki i wybrnąwszy z piasku szedł skrajem zarośli. Po niejakiś czasie wyprzedził znacznie konie Alkony. Wreszcie lasek się skończył i natychmiast rozpoczęła się grobla sypana na niskich łąkach, przetrziętych sporym strumieniem. W oddali rysowała się kępa topoli, dwór zapewne, i jak okiem sięgnąć pola złote od zbóż dojrzewających.

Kostuś obejrzał się, bryka dotąd nie wynurzyła się z sośniny. Poszedł tedy dalej, aż u drogi spotkał ogrodzenie i cmentarz.

Uchylił tedy furtki i wszedł do środka.

Zdziwiły go nagrobki kamienne, pomniki wspaniałe, starannie utrzymane ścieżki i drzewa.

Począł tedy czytać napisy grobowe.

Gdy tak stał i studiował zatarte litery, zbliżył się do niego chłop stary, z grabiami w ręku, i powitał ciekawie nań patrząc.

-- Wy tu stróżem jesteście? -- spytał go Jamont.

-- A tak, panoczku. Pan może krewny moich panów?

-- Nie. Podróżny jestem. A panowie wasi z tego dworu?

-- Nie, tutejsi byli, ale sprzedali majątek. Taki dwór z rąk wypuścić toć grzech! Panie, czy oni wrócą kiedy do tych grobów?

Arka Alkony zwiastowała okropnym hałasem swoje zbliżanie. Urwała się tedy rozmowa i Kostuś wyszedł na drogę. Z budy wyjrzała doń oburzona twarz ciotki.

-- Wyobraź sobie, mieliśmy już jeden popas. Ten zbrodniarz -- wskazała na woźnicę -- zgubił

maźnicę z dziegiem i wracał po nią konno, zostawiwszy nas na skwarze. Mam tego dosyć! Oto widzę Maćków przed nami. Chociaż mało znam marszałka Sadowicza, wstąpimy do niego i poprosimy o gościnność.

-- Marszałka Sadowicza? Znalazłem go tedy pierwej niż ciocia, tu oto, w grobie.

-- Nie może być! To jego ojciec zapewne. Mało co był starszy ode mnie. Bardzo godny człowiek. Pójdę, sama się przekonam.

Wydostała się z budy i poszła na cmentarz. Wróciła po chwili bardzo frasobliwie zamyślona.

-- Prawda! Pomodliłam się za niego! No, no! i Maćków sprzedany! Kto by się tego spodziewał!

Mój Boże! Ile to zmian.

Usiadła na powrót i długo milczała. Kostuś uważał, że traciła co chwila humor i zapał. Była coraz niespokojniejsza. Minęli Maćków, zagłębiali się w kraj, przesuwały się wciąż jednostajne widoki: pole, łąka, piasek, wieś wielka i czarna, dwór w osadzie starych drzew.

Stara pamięć była żywa. Niewiele popatrzywszy, panna Felicja mówiła nazwę i wymieniała właściciela. Odpowiadał jej zwykle jegomość w kitlu swoim znękanym głosem:

-- Ej nie, to niegdyś było. Teraz to własność takiego to. Rzutki człowiek, a Żyd u niego posesor.

Wreszcie panna Felicja przestała się chwalić swoją erudycją. Przymknęła oczy i udawała, że drzemie.

Nie wiedziała dlaczego i po co, ale jej wstyd było, a zarazem strach dalszych odkryć i wieści.

Wstrętny był doprawdy ten jegomość w kitlu.

Kostuś zawody te bardzo miernie brał do serca. Podziwiał obszary zbóż, napędzał woźnicę, a przeważnie myślał o kobietach, które pozna. Subiektywne zajęcie wdową przechodziło w ogólną kwestię nieznanymi typów.

Jegomość w kitlu tymczasem raz w raz dobywał z zanadru jakiś papier urzędowy, czytał go, wzdychał i głową kiwał. Wreszcie wezbrała snadź zgryzota, i musiał ją wypowiedzieć:

-- Pan dobrodziej ma w swoim majątku serwitut? -- zagadnął Konstantego.

-- Ja? Serwitut? Co to takiego?

-- Aha, -- pan widocznie nietutejszy! Ja bo mam serwitut! Widzi pan, jak wyglądam. Choruję na żółć i wątrobę. Niedługo pociągnę, dzieci drobne zostawię. Nie z innego powodu, tylko serwitutu.

-- Ale cóż to wreszcie?

-- To jest, że mam majątek, a o miedzę wieś z dwustu chat złożoną. Wieś ta ma prawo spasać mi pola i łąki oraz zbierać opał w lesie. Na łąkach zaś pierwsze siano należy do mnie -- potraw zaś do chłopów. Procesuję się z nimi całe życie. Wracam z sądu, przegrałem sprawę. Dawno bym majątek sprzedał, ale żona nie daje! Ot, dojeżdżamy do wsi. To już moje pola, moje utrapienie i zgryzota.

Bryka Alkony wtoczyła się do wsi i stanęła przed wielką, odrapaną karczmą z podsieniem na

słupach. Wnet z mej wyległ tłum Żydów i otoczył wehikuł, a dwie krowy i koza poczęły bez ceremonii wyciągać siano spod nóg podróżnych.

Panna Felicja zdecydowała, że tu należy spożyć obiad. Weszli tedy do izby.

-- Ujechaliśmy trzy mile zaledwie! -- rzekł Kostuś. -- Ja bym, radził naznaczyć sobie punkt bliższy niż Sadyby, bo kto zaręczy, czy żywi tam dojedziemy? Tu oprócz jaj i wódki niczego więcej do spożycia nie mają.

-- Myślałam o tym. Zatrzymamy się w Malewiczach u Zawirskich. Serdeczna moja przyjaciółka, Wojniczówna, jest zamężną za Zawirskim. Tam nas przyjmą całym sercem. Jest tu blisko ktoś jeszcze dobrze znajomy, pan Erazm Różycki, ale tam wstępować nie mogę, chyba w ostateczności.

-- Dlaczego znowu?

-- Bo rozstaliśmy się bardzo źle -- odparła z uśmiechem. -- On się kochał we mnie.

-- I dostał arbuza? -- odpowiedział wesoło Kostuś.

-- Coś w tym rodzaju -- rzekła wymijająco. -- Ale to stare dzieje. Pewnie się ożenił, zapomniał, dzieci ma dorosłe) Chciałabym go jednakże spotkać.

Kostuś miał żart na ustach, ale się powstrzymał. Całym swoim życiem stara panna wysłużyła sobie nawet u pustaka siostrzeńca cześć i szacunek. Miał bezustannie przed oczami jej zaparcie siebie, poświęcenie; teraz dopiero zrozumiał, że i ona coś osobistego czuć mogła kiedykolwiek i zamiast śmieszności wywołała w nim wdzięczność, iż on to posłyszał wyznanie.

-- Stajemy tedy w Malewiczach. Daleko to jeszcze? -- spytał.

-- Trzy mile. Ten zbrodniarz, nasz woźnica, mówił, że będziemy tam jutro rano.

-- Bodajby go piekło pochłonęło z jego bryką i szkapami! Miła peregrynacja! Wolę już nasze transporty algierskie na grzbiecie osła.

Szynkarka podała im zamówione jaja i jęła indagować:

-- Jasny pan może doktor do Malewicz? Tam Żydki wyglądają pan doktor.

-- Dajże nam święty spokój! -- ofuknęła panna Felicja.

-- Może jasne państwo dzierzawę szukają albo berlińskie kupce od lasów są? Mój mąż by za faktora był.

-- Ot, zamiast handlować lasami, upiekłabyś nam kurę na pieczyste -- rzekł Kostuś.

-- Kurę? -- powtórzyła przeciągle. -- U nas kurę rzną, jak, uchowaj Boże, ona chce zdechnąć albo kiedy maleńkie dziecko chore.

Tu Alkone ukazał się we drzwiach.

-- Jasne państwo, my sobie jedźmy! Ja tutaj konie zmienił, to te nowe takie bystre, oni całkiem stoic nie chcą, oni już do mego parobka na głowę skaknęli! My tak polecim jak żelazna maszyna!

-- A kiedyż staniemy w Malewiczach? -- spytała panna Felicja wstępując do arki.

-- Na jutro rano!

-- Co to? Nowi pasażerowie! -- rzekł Kostuś zaglądnąc do bryki.

-- Nu, nowi, to co? Jasny pan polubił już tamtych. Te także spokojne ludzie, om” tylko trochę podjadą do lasu. Potem sobie pójdą za swoim interesem. Ja mam takie mientkie dusze, że nie mogę nikomu odmówić, coby jego w drodze poratować. Ja i jasne państwo nie pozwolił na stacji przepadać! Och, u mnie serce nie do interesu!

Wygramolił się na kozieł i ruszył jak zwykle z miejsca tęgim galopem. Żydzi krzyczeli do siebie tysiące poleceń, póki głos wystarczył, potem psy wioskowe urządziły koncert pożegnalny, rozdrażnione klekotem i brzęczeniem bryki, wreszcie roztoczyła się znowu wokoło cisza pól i łąk.

Na horyzoncie czerniały wielkie lasy.

-- O! przecie zobaczysz nasze puszcze! -- rzekła panna Felicja. -- Te, zdaje mi się, należą do Malewicz. Twój ojciec często tu polował, bo byli kolegami z Zawirskim. Są tam dziki, jelenie, łosie.

A co za pyszne drzewa!

-- Przecie będzie coś pysznego! Jak dotąd -- imponują mi wyłącznie te morza zbóż. Nie rozumiem tylko, kto te pola uprawia, bo ludzi prawie się nie spotyka, a spotkania wyglądają jak nędzarze. W ogóle wszystko tu niesłychanie pierwotne!

-- To tak z pozoru. Niech no poznasz choć jeden dwór i swoje towarzystwo!

Konie Alkony bardzo rychło straciły animusz. Na drugiej wiorście już ledwie się wlokły pomimo energicznych napomnień woźnicy. Puszcze zbliżały się bardzo powoli i rzecz dziwna, stopniowo malały.. Słońce nachodziło właśnie, gdy bryka stuknęła o pierwszy korzeń.

Panna Felicja wychyliła się ciekawie.

-- Ach, mój Boże! -- wykrzyknęła. -- Gdzież się te bory podziały!

W obie strony drogi ciągnęły się szeroko pnie i zarośla, rzadkie, pojedyncze drzewa, krzywe, karłowate sośniny, gąszcz brzeziniaku młodego i niezliczone sążnie drow.

-- Ach, mój Bożej -- powtórzyła panna Felicja. -- Toć tu chyba trąba szalała! Nie ma już naszych borów! Czyżby to Zawirski zniszczył?

Zwróciła się po informacje do Żydów jadących w bryczce, ale tych nie było.

I ujrzał Kostuś dziwny obraz. Wehikuł stanął. Żydzi wysiedli wszyscy, szybko obmyli ręce w rowie przydrożnym, nałożyli na siebie pasiaste opończe, do obnażonych rąk i czoła przytroczyli rzemienie i dziesięcioro, i wszyscy, w jedną stronę zwróceni, odprawiali modlitwy wieczorne kiwając się i psalmodiując monotonie.

-- To epizod oryginalny! -- zaśmiał się młody.

Ale pannę Felicję zajmowały tylko lasy. Spojrzała po Żydach oburzona.

-- Modlą się, modlą! Ich Bóg mieszka pewnie w tej ruinie. Oni ją czczą jako źródło swoich skarbów!

-- Ano, po co się ciocia tak oburza? Lasy sprzedano, boć to przecie kapitał był martwy. Ja postąpiłbym tak samo, może tylko nie w taki barbarzyński sposób. Porosną kiedyś młode natomiast. No, polowanie to już stanowczo przepadło, ale to żaden dochód, tylko zbytek!

-- Ach, nie gadaj mi jak Francuz jaki, co renty zbiera! Otuliła się szczelniej płaszczem i jak zwykle po zawodzie, zacięła usta i bardzo ponuro patrzyła przed siebie w jeden punkt. Kostuś przekonał się, że w takim razie nie raczyła wcale -- na pytania odpowiadać. Zabawiał się więc cygarem i swoimi myślami, aż zmierzch zupełnie zapadł. Wtedy począł go sen morzyć. Kiwał się tedy i drzemał, aż znalazł względnie wygodne dla głowy oparcie i twardo oisnął. Oparcie to było ramieniem ciotki, która siedziała wyprostowana i zbyt przejęta doznanymi wrażeniami, aby usnąć.

Patrzyła wciąż w ciemność przed sobą.

Tak się wlekli powoli, utykając po korzeniach. Ciemność rozjaśniały fajki Żydów, roztaczając zarazem woń szkaradnego tytoniu; ciszę przerywał ich szwargot gardlany.

Nagle rozległo się przed jadącymi ujadanie psów, zabłysło czerwone światło i bryka stanęła.

Żydzi poznikali jak cienie, a wehikuł wyglądał jak łódź rzucona na mieliznę, Kostusia obudził brak ruchu.

-- Co tam znowu? Popas?. -- spytał ziewając.

-- Nie wiem. Wsiądź, zapytaj! Młody człowiek wyskoczył.

-- Hej, woźnica! Czego my stoimy? -- krzyknął. Postać Alkony wynurzyła się z ciemności.

-- Wszystkie cztery resory popękały! -- rzekł uroczyście.

-- Gdzie my jesteśmy? Co to za budowle?

-- To takie sobie smolarnie. Oni tu gotują terpentyn, smołę! My tu sobie moment postojm.

Bardzo szparko jechali! Niech jasny pan tu nie spaceruje w te ciemnościów. Tu jest pełno dziurów

od pni. Można siebie zabić. Ja muszę robić reperacjiów na mój fajeton.

-- A do Malewicz daleko? -- spytał Konstanty nie wierząc ani trochę w resory i reperację.

-- Do Malewicz? Och, dla moich koni nie ma dalekości! Jak i trzy mile to oni zalecą.

-- Zostawisz nas w Malewiczach. Szalony pęd twoich koni zbyt nas przeraża!

-- Co to takie? Jasne państwo zgodzili się do Sadyb. A kto za was pojedzie do Sadyb? Ja by dostał drugie pasażery! Ja będę miał stratę. Pan sobie myśli, że Malewicze to co wielkiego. To jest całkiem paskudne miasteczko. Tam całe parady może jest trzy konie. Żydy kozy tylko trzymają.

-- To zaprzęgną nam kozy. Dalej z tobą nie jedziemy. Życie za krótkie, żeby tak podróżować!

No, czy ruszymy prędko? Bo w przeciwnym razie zostaniemy już tutaj.

Ton stanowczy i spokojny zaimponował nieco Żydowi. Pasażerów tak dobrze płacących niewiele się trafia. Należy ich oszczędzać. Podjął tedy poły chałata i pobiegł ku domostwu wołając:

-- *Mir, mach gicher. Der goi macht a skandal.*

Zaruszano się zwawiej i po chwili kilku Żydów przyniosło i naładowało do bryki trzy spore baryłki, wydające mocną woń dziegciu i terpentyny. Ruszono dalej. Żydzi, dotychczas tak hałaśliwi, rozmawiali półgłosem tylko, naradzali się, oglądali. Alkone popędzał konie, które, o dziwo! -- kłusowały zwawo, bez względu na złą drogę. Naturalnie wobec tego o śnie mowy być nie mogło. Panna Felicja stękała.

-- Ten zbrodniarz chyba umyślnie tak pędzi po korzeniach. Nie dojedziemy żywi. Ach, Boże, tu jest coś mokrego w nogach!

Kostuś się schylił i dotknął ręką wilgotnej słomy. Potem powąchał,

-- To jest rozlany spirytus! -- rzekł. -- Byle iskra, spłoniemy żywcem! Alkone Krum! Czyś oszalał? Spirytus ci ucieka!

-- Oni pewnie wiozą kradzioną wódkę! -- zawołała panna Felicja. -- To są złodzieje.

Ale już wehikuł stanął. Żydzi skupili się przy baryłkach i zrobił się gwar wymysłów podróżnych i gromadnego szwargotu. Nareszcie załatano baryłkę i rozległo się:

-- *Sza, sza, pamelach! Wi, wio!*

Alkone odwrócił się do budy.

-- Co jasny pan tak krzyczy! To nie żaden spirytus, to terpentyn. Jak to się rucha, to śmierdzi paskudnie. Spirytus to jest delikatny interes. Och, żeby ja handlował z wódką, to ja by nie był

bałagołe. Jasnemu panu ze snu cos się pokazało. Spokojne noc żicze, jasne państwo. Proszę się z Alkone niczego nie strachać.

Po tym uspokojeniu począł znowu szeptać z towarzyszami.

-- Ani chybi, oni kradną wódkę! -- rzekła po francusku panna Felicja. -- Żebyż wreszcie dotrzeć do Malewicz bez wplątania się w jakąś awanturę.

-- Zbiera się na dzień pono. Mamy tam być o świcie podobno -- pocieszał Kostuś. -- Rad bym jednak, żeby nas losy pomściły na tym wisielcu.

Rzeczywiście krótka noc letnia miała się ku końcowi. Na wschodzie brzask perłowy się rozścielał, cienie ustępowały, coraz wyraźniej odcinały się kontury lasu.

Pomimo niewygody podróży zmęczeni zdrzemnęli się nieco i dopiero wschód promienny zbudził ich, a chłód rosy orzeźwił. Wydobyli się z lasu. O staję przed nimi leżała miejscina nędzna, rozrzucana na nieznacznym wzgórzu, tuż obok rozłożył się dwór w czarnej, gęstej obsadzie topoli.

-- Nareszcie! -- szepnęła z ulgą panna Felicja.

-- Uważa Ciocia, nasi towarzysze zginęli został tylko woźnica. To była eskorta; teraz Alkone został sam ze spirytusem. Ciekawym, co z tego wyniknie.

Wjechano do miasteczka i minawszy długą ulicę, bryka wynurzyła się na plac ogromny, zabudowany w środku kramikami w kwadrat.

-- Stój! -- zawołał Kostuś.

Ale -- Żyd nie myślał go słuchać. Przeciwnie, przynaglał szkapy.

-- Stój, stój! -- krzyczała panna Felicja machając parasolem.

Kostuś wychylił się z bryki i trzymając się budy oburącz, po, drażku chciał się dostać do lejców i przemocą zatrzymać zaprzęg. Wtem na drodze rozległ się głos obcy, tubalny:

-- Stój!

I jakby czarem bryka stanęła.

Kostuś obejrzał się z wdzięcznością. Ujrzał dwóch urzędników w ciemnozielonych czapkach oglądających bardzo uważnie wehikuł. Wokoło zbierał się tłum Żydów i gapił się.

Młody człowiek zeskoczył tedy i pomógł wysiąść ciotce, potem, bezpieczny, wobec tylu świadków, począł i on śledzić przebieg katastrofy.

-- Co ty wiesz w tych beczkach? -- spytał starszy urzędnik Alkony.

-- W tych beczkach? Czy ja wiem? Może to jest gazy (nafta, może smołę, może olej. Skąd ja mogę po wierzchu poznawać?

-- A czyjeż to beczki? Wszak twoje?

-- Nie, uchowaj Boże! Ja sobie jest bałagule, ja ich „wiozę! Od nich jest gospodarz!

-- A gdzież ten gospodarz?

-- Ja nie wiem. On sobie wyskoczył w miasteczkie kupić bułkę. On zaraz przyjdzie, to on panom całą prawdę o te beczki powie.

Gdy to mówił, oczy jego wędrowały po gromadzie współwyznawców, jakby wzywały pomocy.

Żydzi, na pozór obojętni, porozumiewali się wzrokiem, wreszcie z tłumu jeden się oddalił i pomknął nieznacznie w głąb miasteczka. Alkone dojrzał go, zrozumiał manewr i głęboko odetchnął.

Korzystając z pauzy, Konstanty zbliżył się do niego. -- No, panie woźnica, pokończymy rachunki. Wyładuj moje tłumoki -- rzekł stanowczo.

Żyd bez słowa protestu spełnił żądanie. Gdy brał pieniądze, ręce mu trochę drżały, oczy, utkwione w młodego człowieka, wyrażały trwogę i niepokój.

Jeden z urzędników zagadnął Konstantego:

-- Pan tu zostaje?

-- Tak. Mam interes we dworze, a jechać dłużej tą budą nie sposób. Dobę wlecjemy się od stacji kolei.

-- Ano, jeśli ten przedsiębiorca uprawia proceder rozwożenia wódki z pokątnej gorzelni, to trudno o pośpiech. No, ty, gdzież ten twój gospodarz od baryłki?

-- Nu, wun już idzie! -- odparł triumfująco Alkone. Jakoż do bryki podszedł Żyd zupełnie obcy i jakby nie wiedział o co chodzi, wgramolił się na kozieł.

-- Ty gospodarz od tej wódki?

-- Nu, ja!

-- Pokaż kwit z magazynu!

-- Och, zaraz!

Dobył zatłuszczony pugilares i z miną obrażonej cnoty podał żądany dokument. Urzędnicy przejrzeni go uważnie, poradzili się szeptem, wreszcie jeden z nich splunął.

-- Ruszaj! -- rzekł ze złością bezsilną.

-- Pięknie kłaniam wielmożnym panom! -- odpowiedzieli Żydzi i ruszyli dalej.

Urzednicy zabierali się do odwrotu, gdy ich Kostuś zatrzymał.

-- Przepraszam panów, że zasięgnę informacji. Czy znajdziemy we dworze pana Zawirskiego?

-- O, nie -- odparł młodszy. -- Dwór jest w dzierżawie u Żydów, a właściciel bawi w dobrach żony lub w Warszawie. Rzadko tu bywa i tylko chwilowo.

To powiedziawszy, skłonił się i odszedł prędko. Nasi podróżni zostali tedy na rynku jak rozbitki, rzućeni na ląd nieznanym, w zupełnej na razie nieświadomości, co dalej mają czynić.

Nareszcie dwóch ochotników wzięło na plecy ich tłumoki i umieściło w karczmie na rogu, gdzie zarazem mieszkał kupiec korzenny, największy bogacz malewicki, i gdzie znajdował się hurtowny magazyn wódczany.

Tu tedy założyli swoją kwaterę i po naradzie panna Felicja została na straży pakunków, Kostuś zaś, pod eskortą usłużnego faktora, ruszył na poszukiwanie zaprzęgu i fury.

Dzień się zrobił zupełny, jasny, pogodny.

Panna Felicja, odświeżywszy swoją toaletę, usiadła na ganku, wyglądając niecierpliwie powrotu synowca. Gospodarz karczmy, Żyd stary i poważny, usiadł naprzeciw i rozpoczął gawędę.; Dowiedziała się z niej, że Zawirski owdowiał i przed kilku laty powtórnie się ożenił z panną spod Wilna, która mu wniosła wielki posag, ale wcale nie lubiła wsi i gospodarstwa, odtąd więc tylko parę razy do roku zaglądała do Malewicz, a zresztą bawią w mieście.

-- Słysząc, że panicz ma tu osiąść, syn pierwszej żony. Bardzo wesoły panicz i podobno uczyć się nie lubi, a chce gospodarować.

-- Któż tu ze starych został? -- spytała nieśmiało panna Felicja.

-- A na co starzy? -- odparł Żyd z trochę złośliwym uśmiechem. -- Teraz młode, rozumniejsze!

Młodzi handlują lasami, bankami, wekslami. Dużo znajdują świeżych pieniędzy, robią ruch! Starzy to tylko pan Wojnicz w Kraskach, pan Świdnicki w Zapolu i pan Różycki w Rogalach. Z tymi jeszcze ja, stary, handluję, z tamtymi to się lękam. Młode Żydki tam bywają, ja nie.

Pogładził brodę i prawił dalej:

-- Pan Różycki -- to on jest wielki pan. I u niego żadne Żydki nie bywają, on ich nie lubi. A ja tam sobie jadę bez lęku. On mnie traktuje cygarem i herbatą. My sobie gadamy o starych rzeczach.

To rozumny pan!

-- Żonaty? -- c spytała panna Felicja.

-- Nie! On sobie kobiety nie trzyma. A na co? I bez tego są u niego wszystkie porządki. A jak on chce kobiet zobaczyć, to on sobie jedzie w sąsiedztwo.

Gdy domawiał tych słów, nagle rozległo się palenie z bata, a zza węgła karczmy wpadła i stanęła pod gankiem czwórka siwoszów zaprzężona do wózka węgierskiego. Na wózku siedział

mężczyzna niemłody, szpakowaty, wysokiego wzrostu, żywych i ostrych rysów. Znać było w nim człowieka nawykłego do dawania rozkazów i wywoływania szacunku. Stary Żyd poszedł do niego i z uniżonym ukłonem podał mu ramię do zsiadania.

Podróżny snadź się śpieszył, bo jeszcze na stopniu począł fukać:

-- Słuchaj no, panie Aronie, wy sobie już za wiele ze mną pozwalacie! Długo jeszcze ta wełna będzie wysychała u mnie w magazynie? Kazałem ją wczoraj zważyć i dalszego spadku nie przyjmuję na siebie!

-- Niech jasny pan daruje -- począł Żyd.

-- Ja daruję tylko' bankrutom, a wam nie -- przerwał obywatel, stając na ganku i dobywając z kieszeni jakąś notatkę. -- Sto dziesięć pudów wełny i funtów piętnaście. Zapłacicie mi za tyleż, ani funta mniej.

-- Może jasny pan pozwoli do stacji? Ja opowiem, co to za wypadek z tą wełną.

-- Nie mam czasu na wasze opowiadania we wschodnim guście! Jaka cena rzepaku?

Zapalił cygaro i zwrócił się z jakimś poleceniem do furmana.

Wtedy dopiero wzrok jego napotkał pannę Felicję i zatrzymał się na jej twarzy. Zmarszczył brwi, jakby coś sobie przypominał, obejrzał się wkoło i znowu na nią spojrział.

Kobieta czuła na sobie to badanie, lubo patrzyła na konie, i wreszcie zwróciła nań oczy jakby wstydząc -- się udawania. Wtedy on o krok postąpił wyciągając szeroko otwartą prawicę.

-- To pani, dalibóg, to pani! -- wykrzyknął z bezmiernym podziwem.

-- No, ja! -- odparła panna Felicja. -- Jakimże cudem pan mnie poznał?

-- Zapamiętałem dobrze, uważa pani! Ale pani, jakim cudem jest tu, w Malewiczach, u Arona na ganku? Nie, to jak w bajce! Skądże, jak, co?

-- Z Algieru wprost i nikogo nie znajduję na miejscu.

-- Po dwudziestu latach! Bagatela! A pani spodziewałaś się odszukać wszystkich. Gdzież pan Jan?

-- Został tam. Wyprawił mnie do rodziny z synem.

-- Z synem! Gdzież on?

-- Szuka furmanki. Dowiózł nas tu zbrodniarz Żyd, zwany Alkone Kram. Jedziemy do Sadyb.

-- Do Sadyb! -- obywatel dziwnie się uśmiechnął. -- Ale teraz, tymczasem, przyjmie pani u mnie gościnę. Aronie, posyłaj kogo odszukać pana, który poszedł po furmankę. Jurek, zawracaj konie do domu. Ach, pani moja, jeśli ja kiedy śniłem, że panią jeszcze na tym świecie spotkam!

-- Ależ, panie Erazmie, zrobimy panu kłopot,, przeszkodę i w drodze! Pan gdzieś jechałeś -- protestowała pani Felicja.

-- Po co pani mówi rzeczy, których nie może myśleć? A toć; i moje Rogale byłyby domem pani, żeby pani zechciała, i dotąd innej gospodyni nie mają. Jakże tam państwu powodziło się w Algierze?

-- Materialnie bardzo dobrze. Ale bratową pochowaliśmy i wiek długi się wydawał w obcej stronie, o, bardzo długi!

Pan Erazm ręką machnął.

-- Tak, tutaj wiele rzeczy wiek skraca! -- odparł, ironicznie się uśmiechając. -- Szkoda pani Janowej, zacności była osoba. A syn jakże?

-- Dobry chłopiec i będzie z niego porządny człowiek, gdy się ożeni -- odrzekła żywo. -- Oto idzie.

Kostuś z daleka ujrzał zmianę położenia.

-- Czyje to konie? -- zagadnął Żydka, który go odnalazł i teraz eskortował.

-- To pana z Rogalów.

-- A jakże on się nazywa ten pan!

-- Nu, jak to? Pan z Rogalów, wielki magnat. Śmiejąc się młody człowiek wszedł na ganek.

-- Odwołano mnie do cioci, w chwili gdy już prawie namówiłem jakiegoś mieszczanina do drogi -- rzekł. -- Co się stało?

-- Spotkałam znajomego, moje dziecko. To mój synowiec, panie Różycki.

Mężczyźni spojrzeli po sobie I podali dłonie. Egzamin z obu stron wypadł pomyślnie.

-- Zabieram państwa do siebie -- rzekł Różycki. -- Za godzinę będziemy w domu.

-- Ależ moje kufry! -- zaprotestowała panna Felicja.

-- Kufry to bagatela. Panie Aronie, każ je zaraz dostawić do Rogalów. A jeśli chcesz kupić rzepak, przyjedź sam jutro. Służę pani.

Podał rękę pannie Felicji i wsadził ją do bryczki. Kostuś, nie czekając wezwania, ulokował się obok furmana, pan Erazm usiadł przy swej niedoszłej narzeczonej i zaprzęg ruszył z kopyta. Po drodze czapkowali mu uniżenie Żydzi i chłopci, a konie parskały wesoło.

-- To się nazywa jazda! -- zawołał wesoło Kostuś, gdy się znaleźli poza miasteczkiem. --

Łaskawe bogi zesłały nam pana.

-- Spadacie państwo jak meteor. Jakże było nie uwiadomić kogokolwiek o przyjeździe!

-- Stało się to tak nagle -- tłumaczyła się panna Felicja. -- A zresztą zdawało mi się tak blisko, trzy kroki. Myślałam spotkać kogo po drodze lub wstąpić do znajomych. A tu Maćków sprzedany, Malewicze puste. Mój Boże, gdzie się tyle ludzi podziało?

-- Ano, świat wielki, rozpełzli się, a zresztą i cmentarze pełne.

-- I pan stracił rodziców?

-- Oboje. Brat mój też zmarł. Zostało po nim troje dzieci, którymi ja się niby opiekuję o tyle, o ile terażniejsza młodzież znosi opiekę. Chłopiec jeden uczył się za wiele i do szczętu rozstrojony, ręczę, że się kiedyś obwiesi; drugi uczy się muzyki i wstręt ma do wsi i roli; dziewczyna ma głowę przewróconą na punkcie emancypacji i co roku zdaje jakieś egzaminy na coraz wyższe patenty.

Jednym słowem -- stado dziwolągów, które tylko, dzięki Bogu, rzadko widuję, no i długów nie umieją robić.

-- Więc pan zupełnie samotny?

-- Samotny nie, bo jakimś cudem jestem bogaty. Więc mam przyjaciół bez liku, stosunków co niemiara, krewnych legion. Obecnie bawi u mnie synowiec muzyk; tamtych dwoje wyprawilem za granicę, do wód.

-- Bywa pan w Sadybach? Jakże się tam stryjowi powodzi? Dziesięć lat nie mieliśmy żadnej wieści.

-- Ach, pani moja, czemu ja muszę udzielać złych wieści! -- westchnął Różycki. -- W Sadybach już nie ma nikogo!

-- Jak to?

-- Stryj pani zmarł już dawno. Zostało po nim trzech synów i córka.

-- Toć wiem. Władek, Michał, Józio i Stefka. Hodowaliśmy się razem. Takie to było swawolne!

-- A właśnie. Otóż ojciec był pan bogaty; trzymał moc służby, cugi, dom prowadził na wielką skałę.

Gdy umarł, zostały długi. U nas wszystkich prawie z owych czasów został ten miły inwentarz. Synowie też mieli kawalerskie zaległości. Zamiast się zastanowić, każdy zaczął żyć na ojcową skalę. Więc cugi, służba, bale, zagranica. Cóż, w tym duchu wzrosli!

-- Władek był taki roztropny!

-- Władek też pierwszy się opamiętał. Rzucił wszystko, w chwili gdy gmach miał mu runąć na głowę, i poszedł w świat, za chlebem. Ten został przynajmniej z całym honorem. Jest profesorem w Warszawie.

-- Więc to on, mój Boże! -- westchnęła panna Felicja, przypominając pierwszą swą rozmowę w kraju. -- A Michaś i Józio? -- spytała, cała drżąca, z wrażenia.

-- Michaś ożenił się i gdzieś daleko za pieniądze żony trzyma małą dzierżawę. Słuch o nim zaginął. Józef co robi, nie wiem. Nie ma ni domu, ni stałego zajęcia. Przesiaduje część roku u pani Matyldy, część u pani Zofii, resztę u Władysława lub w wagonie! Bywa agentem od ubezpieczeń ogniowych, stręczy różne kupna i sprzedaże, gra w karty, przywozi nowiny, wszystkiego po trosze. Widuję go na różnych imieninach i zjazdach. Jest zawsze w wyśmienitym humorze, ale ja z nim nigdy nie mówię.

Zapanowało milczenie. Kostuś spojrzawszy ukradkiem na ciotkę i ujrzał, że odwrócona ku zbożom, zasłonięta kapeluszem, płakała cicho, nie ocierając nawet łez, które biegły, biegły, pogłębiając zda się z każdą chwilą bruzdy -- oblicza. Pan Erazm musiał to także dojrzeć i szanując ból, patrzył w przeciwną stronę, zły na siebie i losy. Ładnie przyjął swój ideał. Potem, jakby dla przerwania przykrego nastroju, zaczął znowu mówić:

-- Więc została jeszcze siostra i matka. O tych mówię i myślę z przyjemnością. Matka stara miała rozum, córka, najmłodsza z rodziny, za wszystkich energię i hart. Sadyby poszły na wierzyce.

Rozdarto folwarki, rozszarpano zapasy i dostatki. Samo fundum bank sprzedał; z całej masy został

w powiatowym mieście wielki plac i dworek murowany, który niegdyś wystawił jeszcze pradziad jakiś zapewne, żeby mieć nocleg, dom własny na wypadek, że go obiorą marszałkiem. Ową drobinę z masą długów wzięły sobie te dwie kobiety. I nie do uwierzenia, ale prawdziwe: przez lat dziesięć cudem pracowitości zdołały długi spłacić, zapewnić sobie na starość dach i przyzwoite utrzymanie. Odwiedzam je, ilekroć jestem w miasteczku dla interesów i jestem dla panny Stefanii z taką czcią, jak oprócz niej dla jednej tylko kobiety.

Zaśmiał się, udając humor, którego nie miał, i dodał:

-- Ożeniłbym się z nią, tylko wiem, że i ta mnie nie zechce. Taki już mój los! Młody człowieku, życzę ci lepszego!

-- Ja właśnie postanawiam ożenić się z taką, która mnie nie będzie chciała -- odparł Kostuś z przechwałką.

-- Dlaczego?

-- Lubię zdobyć ciężko wywalczoną.

Taki fałsz wstrząsnął nawet zmartwioną panną Felicją.

-- Co on plecie? To błaga. Twoje modystki: Anielki, Klary i inne tałatajstwo, to była dopiero trudna zdobyć. Nie można się było od tego opędzić jak od szarańczy.

-- Więc pan tu do nas przybywa jak lew spod Atlasu, by szerzyć spustoszenie? Ejże, ostrzeżę panienki!

-- Już mam wybraną. Żeby nie ciotka, byłbym po słowie dotychczas.

-- A to w jaki cudowny sposób? W bryce Kruma pan ten skarb znalazł?

-- Blisko tego -- odpowiedziała ciotka. -- W wagonie zawarł znajomość z jakąś wdową.

-- Za pośrednictwem cioci! -- wtrącił Konstanty.

-- I całą drogę niańczył jej córkę czteroletnią.

-- Wolałbym matkę, ale ciocia mi nie dała dokończyć.

-- Pani pozostała tedy bez litości -- rzekł pan Erazm. Wzięta we dwa ognie panna Felicja zatkała uszy dłońmi.

-- Wsiadam, jeśli pan nie będzie szanował swych lat, a on moich -- zawołała.

-- Ależ ja ciocię szanuję jak samą boginię Westę! Chciałem (się przecież ożenić z wdową.

-- Bardzo moralny zamiar. I ja w pana wieku miewałem podobne.

-- Furmanie, stój! -- krzyknęła panna Felicja. -- Ja wsiadam. Wy się Boga nie boicie. Ten urwisz myśli, że jest w garnizonie, a pan, pan, któremu chciałam go polecić w opiekę, prosić na swata, bredzi do wspólni. Mieli słusność ludzie w sądzie o panu.

-- Co? Więc to ludzie panią zbuntowali. Pani wierzyła plotkom, oszczerstwom! -- oburzył się Różycki z takim zapałem, jakby to była kwestia wczorajsza: -- A ja, naiwny, wierzyłem, że pani się poświęca dla rodziny, dla brata. No, więc cóż ludzie wymyślili na mnie, niech posłyszę przecie!

-- Powiedzieli, że pan libertyn, no i miałam tego dowód przed chwilą, niedowiarek i prawie nie bywał pan nigdy w kościele, egoista, popędliwy, przykry w domowym pożyciu.

-- Co? Kto to powiedział wszystko? Wojnicz zapewne, który mi wiecznie zazdrościł i zazdrości.

Libertyn! Także gadanie; on może sam święty. Niedowiarek! Cóż to, zmieniłem wyznanie, ożeniłem się z Żydówką? Egoista. Dobrze, dobrze, pokażę pani w domu moje rachunki.

Popędliwy! Niech pani zapyta mojej klucznicy, która jest w Rogalach już pięćdziesiąt lat! Takie brednie! I pani mi nic wtedy nie powiedziała. To dopiero historie!

Zaperzeni, czerwoni, siedzieli sztywni, odnajdując po tyłu labach swoje ostatnie zajście, przeniesieni w czasy owe, gotowi sprawę zerwania debatować na nowo.

-- I dla tych gawęd odesłałaś mi, pani, pierścionek, tłumacząc się, że brata opuścić nie chcesz.

Naraziłaś mnie, pani, na takie upokorzenie, wstyd, zgryzotę. To było nieuczciwie!

-- Dobrze zrobiłam, ludzie mieli rację! -- upierała się panna Felicja.

-- Więc i ja dobrze zrobiłem, że za panią nie goniłem, nie błagałem. Miałbym za żonę kobietę bez własnego sądu i zdania.

-- A ja za męża człowieka -- tyrana!

Odsuwali się coraz dalej od siebie. Kostuś, przypatrując się tej scenie, całą siłą śmiech hamował, wreszcie nie wytrzymał i parsknął. Oboje spojrzeli na niego, potem po sobie i pierwsza panna Felicja zawtórowała synowcowi. Roześmiała się i wyciągnęła do Różyckiego obie dłonie.

-- Nasze siwe włosy teraz nas pogodzą. Zgódźmy się też, żeśmy oboje nie mieli do małżeństwa powołania i choć osobno, spełniali obowiązki, które, nam życie dało. Teraz za to ożenimy tego chłopca.

-- Ożenimy, jeśli pani każe, a jednakże ja pani pokażę rachunki i sprowadzę klucznicę Ziębinę -- odparł Różycki wesoło.

-- Ja raz jeszcze poproszę o wdowę! -- wtrącił Kostuś.

-- Któż to taki?

-- Śliczna kobieta! Ma oczy jak gwiazdy, usta jak korale.

-- Ale bajki! -- zaprzeczyła ciotka. -- Kobieta nieszpeta, ale żeby coś nadzwyczajnego to nie powiem. Nazywa się Helena Wojakowska.

-- Żona inżyniera, owdowiała? Doprawdy?

-- Więc ją pan znasz? -- zawołał Konstanty.

-- Kogo ja nie znam i kto mnie nie zna! Zaraz opowiem. Prawda, śliczna była dziewczyna Helena Cyrzanowska z Brzezin, córka marszałka. Fortuny żadnej, bo tam piaski i moczary, a panien cztery. Kawalerowie chwalili, ale żaden się nie posuwał dla braku posagu. Aż się trafił inżynier Wojakowski, trochę ułomny, syn prawnika, i zaczął konkury. Podobno panny starsze chciały go dla siebie, ale on miał dobry gust, niecnota. Wybrał najmłodszą, która notabene kochała się w Wiktorze

Tedwinie, synu pani Matyldy, a on w niej. Tak przynajmniej mówiono. Otóż Hela poszła za Wojakowskiego i pojechała na Kaukaz. No, niedługo garbus się nią cieszył.

-- A Wiktor Tedwin? -- zagadnął Konstanty.

-- Zobaczysz go pan.

-- To twój brat cioteczny przecie! -- wyjaśniła panna Felicja, ułagodzona na punkcie wdowy, gdy się dowiedziała, co zacz jest.

-- I rywal!

-- Niestraszny. Stara się o bogatą Wędliczównę -- machnął ręką Różycki. -- Więc piękna Hela wraca do sióstr?

-- Nie! Mówiła mi, że osiada w małym miasteczku. O siostrach nie było mowy.

-- Okropne jędze i dewotki! Ach, przepraszam! Pani mnie znowu zrobisz ateuszem za dewotki.

-- -- Już milczę, bo pan niemożliwy jesteś w dyspucie. Zresztą szanuję swata. Pan zajmiesz się Kostusiem, prawda?

-- Ależ naturalnie! Pokażę wszystkie nasze gwiazdy. W zamian stawiam jeden warunek panu: oto opowiesz mi pan scenę swoich oświadczyn. Dalibóg, ciekawy jestem, jak ludzie gadają w takim razie, żeby zostali przyjęci.

-- Zgoda! -- rzekł Kostuś podając rękę.

-- Znowu zaczynacie! -- r upomniała panna Felicja.

-- Nie, kończymy! Umowa zawarta.

-- Teraz niech mi pan co powie o Tedwinowej i o Zosi.

-- Te pani zobaczysz sama. Tedwin starszy miałby się dobrze, gdyby go nie rujnowały sfery handlowe, na których się zna tyle, co pani na mnie.

-- Panie Erazmie!

-- To w nawiasie. Już wracam do rzeczy. Tedwin młodszy poluje na bogate panny i udaje Anglika, którego nigdy nie widział. Tedwin najmłodszy bawi się sportem; nic bardzo złego nie robi.

-- Ależ pan jesteś złośliwy!

-- To moja specjalność podobno. Pani Zofia owdowiała, ale ta nie zginie. Trzyma wszystko, zacząwszy od dzieci, a skończywszy na indykach, w okropnym rygorze i podobno zbiera bilety bankowe. Bardzo się jednak gniewa, gdy ją pytam o kurs papierów procentowych.

-- A dawno umarł jej mąż, Holanicki?

-- Dawno. Nieborak przypłacił życiem amatorstwo marynaty z węgorka.

-- A daleko będziemy szukali panien na wydaniu? -- zagadnął Kostuś.

-- O, tego nie brakuje. W każdym domu siedzą przeciętnie dwie. Będzie w czym wybierać, jeśli pan nie będziesz, szczególnie co do posagu, wymagający. Bo u nas, panie, mało jest fortun i mało też kawalerów. Wyborowi rozpetzli się tak daleko, że Archanioł sądu musiałby długo trąbić, zanim zwołałby ich do kupy. Ci, co zostali, szukają przede wszystkim posagu. Jest to dla nich ostatnia ucieczka. Gdy obejmą majątek, sprzedają las, potem zaciągają pożyczkę bankową, wreszcie żenią się bogato. Jakoś się tedy łąta gospodarstwo.

-- Więc tu wszyscy siedzą na roli?

-- A cóż by mieli robić?

-- Nie zajmują urzędów?

-- Nie wolno!

-- Nie służą w wojsku?

-- Żadna kariera. Polak i katolik umrze kapitanem. Wyżej mu nie wolno.

-- Nie zajmują się handlem?

-- A Żydzi!?

-- Nie uprawiają przemysłu i rzemiosł?

-- Nie. Żydów i na to wystarcza.

-- No, to wybór -- kariery niezbyt urozmaicony. Jeneralne powołanie na rolników i basta.

Zaśmiał się Kostuś, śmiał się i Różycki, wcale nie wesoło jednakże. Panna Felicja wtrąciła praktycznie:

-- Nieco posagu i nam zdałoby się, kupilibyśmy sąsiednią fermę. Chłopiec musiałby w domu siedzieć, gdyby miał na trzech roboty.

-- Bardzo cioci jestem obowiązany, alem zupełnie ze swojego funduszu i zajęcia zadowolony,

-- Wierzę. Trzy ćwierci czasu spędzasz na bałamuctwach; oho, ale to się skończy, bądź pewny.

Ojciec i ja zechcemy nareszcie spocząć. Ach, przecie widzę las nietknięty! Jakże tu pięknie.

-- To już rogalskie bory.

-- Z pana bardzo zacny gospodarz.

-- Przecie odkryłaś pani we mnie przymiot. Tak, lasy ta moja słabość. Kocham je.

Spojrzał po odwiecznych drzewach z uśmiechem czułym i jął J pojedyncze gatunki i wartość ich wyliczać Kostusiowi.

Posuwali się rażno naprzód w cieniu przepysznym, pełnym świeżych woni żywicznych i świergotu ptasiego. A wnet za lasem wybiegła czwórka w pola orne, wśród których i dwór królował w kotlinie, kędy rzeka biegła. Dwór z dala świecił murowanymi ścianami, które kryły dachy siwe lub czerwone, a do gościńca wyciągał się szpaler topoli włoskich.

-- To mi Sadyby tak żywo przypomina! -- westchnęła panna Felicja.

-- Ejże, za wiele dla Rogalów honoru! Sadyby o wiele okazalsze.

A Kostuś rozglądając się wokoło, zauważył:

-- Od chwili wjazdu do kraju jedna mnie kwestia zaciekawia: jak można dać radę takim obszarom? Z tego dałoby się wykroić dziesięć porządných ferm francuskich.

-- Toteż my bardzo niedostatecznie dajemy radę. Do pracy braknie rąk, do nadzoru sił i znajomości. Miewamy wskutek tego na dziesięć lat cztery nieurodzajne i majątek, jak kochanka, tego się tylko trzyma, kto na jego utrzymanie ma spory kapitał zapasowy.

Skręcili w bramę murowaną i zatoczywszy półkole, stanęli przed domem mieszkalnym, wtulonym w gąszcz bzów i jaśminów. Lokaja, który im drzwi otwierał, zagadnął pan Erazm:

-- Panicz w domu?

-- Z książką w ogrodzie.

-- Otwórz gościnne pokoje i zawołaj mi tu Ziębinę do usług pani. Obiad za godzinę.

Zwrócił się do panny Felicji i podał jej ramię, przeprowadził przez salony do jej apartamentu.

-- Pani daruje, że mogę w tej chwili dać jej do usług tylko starą moją klucznicę. Ale w Rogalach jest to jedyna kobieta.

-- Serdecznie panu dziękuję za gościnność -- odparła rozglądając się z rozkoszą po eleganckim pokoju. -- Czuję się jak wędrowiec w porcie bezpiecznym.

-- Pani wina, że tu nie jesteś u siebie -- rzekł niepoprawny. Wrócił do Kostusia, który pozostał w salonie, oglądając stare obrazy rodzinne na ścianach.

-- To są moje antenaty -- rzekł i dodał wskazując młodego chłopca wchodzącego właśnie z ogrodu. -- A to mój następca.

Jamont ujrzał przed sobą człowieka niskiego wzrostu, nikłej budowy, twarzy bez zarostu i wyrazu. Błada cera, blade oczy, blade włosy, na czole i ustach rys marzycielstwa i słodczy! Gdy po zapoznaniu podali sobie ręce, miękka, drobna dłoń zginęła prawie w jego muskularnej prawicy.

A jednak poczuł od razu dla tego chłopca niepojętą sympatię, jaką zawsze żywił dla dzieci i starych a niedołącznych. Było to poczucie swojej własnej mocy

i charakteru.

-- No, Adasiu, zaprowadź gościa do jego pokoju : -- rzekł Różycki -- ja zaś wejdę w porozumienie z kucharzem. Ty zapewne o obiedzie nie myślałeś.

Panna Felicja nigdy nie doszła, jakim sposobem kufry swoje już zastała na miejscu. Ten pośpiech podwoił w niej jeszcze uznanie dla socjalnej powagi byłego konkurenta.

Pryskow, posiadłość pani. Zofii z Jamontów Holanickiej i jej trojga dzieci, leżał na piaszczystym trakcie, którym pędzono z południa woły stepowe, i nad rzeką spławną na wiosnę, latem zaś rozdrabniającą się w tysiączne ramiona muliste, wśród których leżały szmaty łąk lub wypasów.

Krajobraz był płaski i senny. Nie był estetykiem, kto tu się pierwszy zabudował; zapewne dręczyła go mizantropia. Później jednak woda przyciągała więcej ludzi.

Wokoło dworu rozsiadła się drobna miejscina na gruntach czynszowych; trochę łąków, więcej Żydów, ludność w połowie zajęta handlem, w połowie kradzieżą i procesami. Wojował dwór z nimi i wygrał. Oni płacili i w dwójnasób odkradali swoje właścicielom i w takim stosunku przetrwali z sobą długie wieki i wszelkie przewroty.

W czasie tych przewrotów Holanicki któryś wyjrzał na świat i przyjął arianizm. Nawet wdał się w prozelityzm i na jedynym wzgórzu postawił murowany zbór swojego wyznania, duży szmat pola murem oprowadził i założył tam grobowce familijne. Dopiął celu, stał się sławnym i chociaż sam jeden tylko spoczął w krypcie, chociaż zbór się zawalił, a na wieżach bez dachu gnieździły się bociany i całą osadę pokrył sad owocowy, o nim mówiono zawsze jak o sławie rodu; no i straszyl

nawet. Różycki wprawdzie dowodził, że owo widmo, jęczące po gruzach zboru, była to sama pani Zofia opięta w prześcieradło.

Czyniła to zwykle latem, w porze dojrzewania owoców, aby je uczynić nietykalnymi dla urwiszów miasteczkowych. Ale Różycki był znanym sceptykiem i złośliwcem, któremu nikt nie wierzył. Miał tedy Pryskow swoje ruiny i legendę i miał właścicielkę znajomą szeroko. Już nieboszczyk Holanicki nazywał się „mąż pani Zofii”, a gdy umarł, nikt jego ubytku nie spostrzegł.

Dzieci swoje też pani Zofia wychowywała wedle własnych, bardzo oryginalnych zasad. Małe kochała bałwochwalczo; skoro opuściły kołyskę, traciły dla niej cały urok, dawała im swobodę indywidualnego rozwoju. Przeciwna był naukom dla kobiet a szkołom publicznym dla chłopców i pilnowała tylko, aby żadne z nich nie posiadało nigdy pieniędzy. W ten sposób była pewna posłuszeństwa i uległości. I tak chłopcy dorosli do wąsów, dziewczyna lat ośmnastu w stanie rodzimej rudy i pierwotności dzieci natury. Tymczasem pani Zofia gospodarzyła, procesowała zbierała nie troszcząc się o nic i o nikogo, nie utrzymując nawet stosunków z najbliższą rodziną, zasklepiona w granicach Pryskowa.

Wszystko to opowiadał Konstantemu Różycki po drodze do nieznannej ciotki Jechali tam wprost z Rogalów, po wypoczynku i dobrej gościnie, we czworo, bo w chwili odjazdu i Adaś muzyk wprosił się do towarzystwa na wielkie zdziwienie stryja.

-- Co ty tam robić będziesz? Fortepian pewnie od czasu wesela Holanićkich nie strojony.

-- Stryj mi zawsze fortepianem urąga! -- stęknął chłopak pocieszenie. -- Mogę doznawać przecie innych też wrażeń.

-- Et! -- pogardliwie machnął ręką stary kawaler.

Adaś jednak pojechał i okazało się, że lepiej zna Pryskow od stryja. Do opowiadań dodawał szczegóły, często prostował wieści, protestował przeciw złośliwościom pana Erazma.

-- Co u licha! Chyba ty tam bywasz poza moimi plecami! Szczególny gust! Cóż to, chodzisz na ryby ze Stefanem czy uczęszczasz na bale w murowance miasteczkowej z Zygmuntem? To ciekawe! Na takie towarzystwo nie trzeba mieć wiele arcyzmu.

Adaś wtulił głowę w ramiona i milczał.

-- Czterdziesty siódmy most! -- zawołał Konstanty. -- Rachuję, bo to osobliwość.

-- Stracisz rychło rachunek; pod samym dworem jest tego bez liku. Ale patrzcie no, zdaje mi się, że spotykamy oto pierwsza latorośl rodu Holanickich.

-- Gdzie, gdzie? -- spytała panna Felicja wychylając się ciekawie.

-- Tam oto w tej zatoce.

-- Tam ludzie sieci zarzucają. To chłopcy! -- rzekł Kostuś i przyglądając się uważnie.

Powóz zwolnił biegu; w zatoce, oblanej czerwonym blaskiem zachodu, olbrzymia sieć rozciągnęła się szerokim półkolem. Czterech ludzi ciągnęło liny od niej brzegiem. Szli ciężko, zgięci, w odzieży zlanej wodą, czarnej ód mułu. Wśród zatoki, na łódce drobnej, piąty sieć poprawiał, prostując drewniane pławki, komenderując rybakami. Taką miał na sobie odzież brudną, takiż opalony kark i ręce, także na nogach obnażonych chodaki lipowe. Był tak robotą zajęty, że nie zważał na powóz na drodze, ani ciekawy był, kto jedzie.

-- To Stefan Holanicki -- rzekł pan Erazm.

Ale przybysze z Algieru nie okazali bynajmniej zdziwienia. Panna Felicja rzekła:

-- Tęgi chłopak! Przypomina mi Zosię.

A Konstanty, śledząc ciekawie przebieg połowu, dodał spokojnie:

-- Ano, dobrze tak, właściciel najlepiej sam robi. Ciekawy jestem rezultatu.

-- Możemy stanąć i dopełnić znajomości -- zaśmiał się pan Erazm. .

-- Ej, nie -- wtrącił Adam. -- Byłoby mu przykro.

-- Tak, tak!(-- potwierdziła panna Felicja. -- Ruszajmy stąd.

Pomknęli dalej. Różycki wskazał na gromady drzew w dali i rzekł:

-- Otóż i Pryskow. Ten gąszcz na prawo to właśnie zbór ariański, a raczej jego ruiny.

-- Ciekawa jestem, czy mnie Zosia pozna -- uśmiechnęła się panna Felicja.

-- A ja ciekawym, czy dostaniemy co zjeść -- dodał Kostuś.

-- Z tym ostrożnie, bo tam nigdy rondli nie pobielają.

-- Co pan znowu opowiadasz? Ja tak się boję otrucia! -- zawołała panna Felicja.

-- Bardzo rad z tego jestem. Głód wróci mi panią do Rogalów!

-- Bóg wie co! Przecie musimy wprost stąd jechać do Tedwinów. Nadużyliśmy pańskiej uprzejmości aż nadto.

-- Ach, pani, żebym był tak zły, jak mnie ludzie przed panią oczernili, powinien bym przez zemstę za to słowo zostawić tu panią na łasce pani Zofii i jej koni.

-- I uczynisz pan to, bardzo proszę. Damy już sobie radę w domu siostry -- oburzyła się nabierając znowu rezonu.

-- *Ne dites jamais: fontaine, je ne boirai pas de ton eau!* -- zacytował sentencjonalnie pan Erazm.

-- Zobaczymy -- obstawała przy swoim.

-- A to znowu co za zbiegowisko -- zawołał Kostuś. Wjechali w ulicę dworską. Z prawej strony stał dotąd krzepki mur praszczura arianina, a pod nim roił się tłum bachorów żydowskich, chłopaków i dziewcząt mieszczańskich krzycząc, kułakując się, chwytając coś w pyłe drożnym.

Podróżni spojrzeli w górę, i ujrzeli na szczycie muru siedzącą postać dziewczyny. Bez kapelusza na rozwichrzonej głowie, opalona, w podartej odzieży, jedną ręką utrzymując się w niewygodnej pozycji, drugą czerpała z obok stojącego koszyka i rzucała na głowy urwiszów garście purpurowych wisien, starając się cisnąć jak najdalej i wciąż w innym kierunku. Bawiła się tym wyśmienicie śmiejąc się z całego serca z przebiegu walki.

-- To jest panna Jadwiga Holanicka -- oznajmił pan Erazm.

-- Ach, mój Boże, ona spadnie!

Ale właśnie w tej chwili dziewczyna ujrzała powóz i w okamgnieniu spadła do środka ogrodu, a tłum dzieci rozbiegł się jak stado wróbli po wystrzale, zostawiając na placu boju mnóstwo zdeptanych wisien i tuman kurzu.

Kostuś śmiał się jak szalony.

-- I oto ciocia nazywała pannę Klarę zbyt śmiałą! Podoba mi się ta kuzynka. Ten mur ze cztery metry wysokości. Skok nie lada!

-- Rada będzie pani Zofią z użytku owoców. Muszę jej to opowiedzieć!

-- Ależ, stryju, jak można! -- zawołał Adaś.

Pan Erazm spojrział nań spod oka i począł wąż motać z dziwnym uśmieszkiem.

-- Ho, ho! Artysta mój lubi amazonki! -- mruknął.

Adaś odwrócił głowę rad, że wjeżdżali na most ostatni przed dziedzińcem i nikt nań nie uważał.

Most był murowany i miał z obu stron szczątki słupów od nie istniejącej wcale bramy.

Dziedziniec bujnie porastały chwasty i zdiczałe krzewy maskujące szczęśliwie dom długi, niski, murowany i brudny, że się odeń z przyjemnością odwracało oczy. Z obu stron stały dwie równie brudne oficyny, a w kącie jakieś zabudowanie bez dachu, skąd zalaływała ostra woń nawozu końskiego.

Gdy powóz zaturkotał na moście, ze wszech stron, z chwastów, z krzaków, spod ganków wypadła zgraja psów różnej maści i wzrostu, bardzo tylko jednolicie chudych i wrzaskliwych Ob --

skoczyły konie, skakały do stopni, a najmniejsze pędziły w odwodzie. Przy wtórze okropnego szczekania Jurek pana Różyckiego zakreślił półkole, dwa razy palnął z bata i stanął u drzwi na roścież otwartych. Nikt jednak na spotkanie nie wychodził.

Panna Felicja zatkała uszy dłońmi, Różycki laską odpędzał psy, Kostuś schodził na ziemię, trzymając bat furmański, tylko Adaś wbrew swojemu wążłemu Wyglądowi, nieustraszenie wszedł

między zgraję.

-- Niech się pani nie lęka. One szczekają z radości, witają tak uprzejmie!

Jakoż psy obskoczyły go wnet pozwalając reszcie wylądować.

-- Zastępują gospodarzów, bo widocznie dom pusty -- zauważył Różycki -- ale ty ich znasz zanadto dobrze jednakże. Może wiesz także, gdzie znajdziemy domowych?

Sień, do której weszli, była niegdyś bielona. Znać to było po białych plamach, które dotąd pokrywały sprzęty i podłogę.

-- Bardzo tu konserwatywna służba -- rzekł pan Erazm szukając czystego miejsca na okrycie panny Felicji i swoje.

Potem zwrócił się do furmana.

-- Ruszaj z końmi do miasteczka, a przyjdź mi usłużyć wieczorem.

Panna Felicja poszła tymczasem już dalej. Drzwi wszystkie stały otworem, do jadalni, do salonu i

dalej. Wszędzie jednak było pusto i wszędzie równie brudno. W jadalni, w kącie, leżał stos ogórków, w salonie na stołach, krzesłach i kanapach schły jakieś zioła, w następnych pokojach były składy starych mebli i rzemieni, suszonych ryb, butelek, lnu i wełny.

-- Zosiu, Zosiu! -- zawołała siostra kilkakrotnie, nie otrzymując żadnej odpowiedzi.

Na fortepianie stał koszyk z jajami, leżał płócienny płaszcz i kapelusz, żałobny niegdyś, a teraz ładnie rudy, ale właścicielki nie było.

Różycki rozejrzał się także i zatrzymał pannę Felicję, w chwili gdy chciała poszukiwania przenieść do ogrodu.

-- Ostrożnie, łaskawa pani. Pamiętam, że się tu zawałem. Ten ganek, to pułapka.

-- Ale gdzież może być Zosia?

-- Zaczekajmy. Poślę Adasia na zwiady. Ten urwisz wydaje się tu jak u siebie. No, proszę, a ja tego nigdy nie spostrzegłem.

-- Pani Zofii nie znajdę -- odparł synowiec -- ale zobaczę, może Zygmunt jest u siebie w oranżerii.

-- Gdzie?

-- W oranżerii mieszkają chłopcy. Tam w końcu ogrodu, nad rzeką.

-- Idźże i sprowadź kogokolwiek.

Psy tymczasem robiły honory domu. W każdym pokoju ulokowało się ich kilka bez ceremonii zajmując najwygodniejsze miejsca. Jeden zaglądał do kosza z jajami, inny ściągnął suszoną rybę i zajadał pod kanapą warcząc na towarzyszków. Reszta odpoczywała dysząc, Adaś zbiegł z ganku po belce i utonął zaraz w gąszczu chmielu i łopianów, którymi ogród był pokryty. Był to park spacerowy, więc nikt się nim nie zajmował. Bujało swobodnie, co się samo zasiało. W gąszczu tylko ścieżyna się wiała, którą chłopak wnet odnalazł i poszedł nią szybko, snadź dobrze miejscowości świadomy. Po drodze minął lodownię, piwnicę, wędlnię, potem nad rzekę zbiegł, gdzie prano bieliznę, i o krynicy się otarł, skąd wodę czerpano. Jedna ścieżka obsługiwała wszystkie potrzeby.

Nareszcie w głębi parku ukazała się budowla szczególna, cieplarnia bez okien, a przy niej domek ogrodniczy utrzymany dosyć znośnie. Ścieżka szła dalej ku drodze i miasteczku zapewne, ale Adaś ją opuścił i do drzwi zakołatał. Szczekanie psa było i tu odpowiedzią, a wnet potem ozwał się głos burkliwy:

-- Czegóż, ośle, stukasz! Co to, czy ja Żyd kapitalista, żebym się zamykał? Otwarty pałac!

Adaś wszedł. Jedna izba, na dwoje niskim przepierzeniem rozdzielona, stanowiła całe wnętrze.

Zalegało ją śmiecie, pajęczyny, dym, a zdobiły różne trofea myśliwskie i rybackie. Zresztą, oprócz dwóch łóżek, stołu, zydla i ogromnych skrzyń, nic.

Na jednym z łóżek leżał -- młody człowiek bez surduta i założywszy ręce pod głowę, palił papierosa, i gwizdał. Spojrzał na wchodzącego.

-- A, to ty! Myślałem, że to Seweryn na karty. Dawno przyjechałeś?

-- Dopiero co i nie sam jeden.

-- Stary twój się przywłókł. Ano, to zmykam, zaraz mnie będzie pytał o to fiasko z sędzią. Skąd ten to wszystko wie?

-- Jest jeszcze więcej gości, i rzadkich. Ciotka twoja i bratanek z Algieru.

-- Z Algieru? Co ty mi od jakichś dzikich wymyślasz! A ja -- skąd tam mam mieć ciotki? Czy to mama utaiła jakąś siostrę?

-- Alboś jej kiedy o to pytał? Masz tam przecie wuja, ciotkę i kuzyna. Bardzo porządny chłopak.

-- Porządny! Dzięki Bogu, będzie choć jeden w rodzinie. Skądże oni się tu wzięli!

-- Przyjechali w odwiedzin.

-- Zacni ludzie. A przywieźli z sobą fig i daktyli?

-- Tego nie wiem. Powiedz mi raczej, gdzie jest twoja matka, bo dom zastaliśmy bezludny.

-- Mama dzisiaj jest niewidzialna. Wygrała proces i ma z komornikiem wyrzucać z domu tę jędzę Dziembowską. Nie warto nawet po nią iść, bo takiej gratki dla żadnych gości nie opuści.

-- Chodź zatem sam.

-- Ja? Jeszcze czego! Niech Stefan idzie.

-- Kiedy Stefan z siecią na połowie.

-- Trzysta tysięcy piorunów! To Jagę wyszukaj!

-- Panna Jadwiga nie ubrana. Chodź, mój drogi, tyś najstarszy przecie!

-- To i cóż z tego. Mogę dlatego właśnie wysługiwać się młodszą hołotą. Niech pies zje to światowe bzdurstwa! Ja nawet gadać z nimi nie potrafię! Dalibóg, że nie wiem, gdzie ten Algier leży i kto tam siedzi.

-- Ależ nikt cię o geografii nie będzie pytał!

-- Niech sobie, ale nie pójdę. Także mi satysfakcja! Ubierać się i bawić te małpy. Słyszane rzeczy! Dwadzieścia lat o nich mowy nie było i oto są. To jednakże ten upał ludzi konserwuje.

-- Zygmsiu, bój się Boga, chodźmy! Oni tam sami czekają i co sobie myślą?

-- Jeśli ciekawy jesteś, co myślą, to idź i spytaj. Mnie to nie zajmuje. Hulałem dzisiaj całą noc, jestem rozbity ze szczętem.

Wstał jednakże, mówiąc to. Kopnął nogą psa i klął:

-- Czego mi wchodzisz w drogę, zwierzę! Idź ty gości bawić!

-- O, i bez twojej Normy jest tam psów pełno!

-- Psów nic bywa nigdy zanadto, bo to nie ludzie -- burknął pan Zygmunt, naciągając surdut. --

Trzysta tysięcy piorunów! I czego ci ludzie włączają się jedni do drugich? Nie wiesz, czego ci chcą?

-- Mówię ci -- odwiedzić krewnych.

-- Także potrzebne! Ja bym w tym celu nie zrobił Dziesięciu kroków. Poznają ładną kolekcję! I to myślą jeść mamy obiady i spać w tych salach. Winszuję! No, chodźmy zresztą, niech cię lichy!

Po co tego nawiozłeś?

Wymyślając bezustannie, ruszył za Adasiem ku dworowi. Dopiero na ganku przestał mruczeć, widząc pana Erazma.

Panna Felicja wyciągnęła doń obie dłonie i pocałowała serdecznie w głowę.

-- Takim byłeś, takim, gdy wyjechałam -- mówiła, pokazując łokciową miarę. -- Ale poznałabym cię zawsze po rodzinnych rysach. Ty mnie pewnie nie pamiętasz ani Kostusia. Bawiliście się razem.

A gdzie twoja matka?

-- Mama pewnie w miasteczku. Ma dzisiaj komornika, bardzo zajęta. Zaraz pošlę do niej wieść i wezwanie.

Poszedł do kredensu, ale i tam nie było nikogo. Wrócił tedy, żując przekleństwa.

-- Pójdę chyba sam po mamę -- oznajmił.

-- Chodźmy zatem wszyscy, zobaczymy się prędzej -- zawołała panna Felicja. -- Podaj mi ramię, Zygmsiu, i prowadź.

Siostrzeniec spełnił rozkaz i oto znowu znaleźli się na drodze długiej, wiodącej do miasteczka.

Za bramą spostrzegł pan Erazm nieobecność Adasia, ale nic nie rzekł.

-- Cóż to, twoja matka uzyskała nareszcie wyrok na Dziembowską? -- spytał Zygmunta.

-- Tak. Dzisiaj ją wyrzucają.

-- Rozumiem szczęście pani Zofii: po trzech latach sądów postawić na swoim!

-- O cóż to chodziło? -- spytał Kostuś.

-- Ale posłuchaj, bo to ciekawe. Przed laty był tu w Pryskowie ogrodnik, Dziembowski, który na starość dostał domek i kawał ogrodu jako emeryturę. Po jego śmierci syn tę kolonię dalej dzierżawił na corocznym, odnawianym kontrakcie. Po jego śmierci czyniła to wdowa, aż oto przed pięciu laty odmówiła zapłaty dowodząc, że ta ziemia do niej należy. Po paroletnich korowodach pokojowych pani Zofia rozpoczęła akcję sądową. I oto po trzech latach nareszcie mają sprawiedliwość. Baba ustąpić musi!

-- Otóż i mama wraca! -- oznajmił Zygmuś.

Drogą szła prędko kobieta wysoka, sucha, a za nią biegło kilku Żydów i psów.

Na widok zbliżającego się towarzystwa przysłoniła oczy i stanęła struchlała.

-- Goście! -- szepnęła tonem, jakby mówiła: upiór!

Ale już panna Felicja wyprzedziła innych i biegła ku niej cała rozpromieniona.

-- Zosiu, Zosiu!

-- Awantura! Toż to Fela!

I rozległy się pocałunki bez liku, potem okrzyki, pytania, śmiechy, łzy, bezładne opowieści.

Zawrócono ku domowi, siostry naprzód, mężczyźni trochę opodal. Na drodze powoli ciemniało.

W bramie Holanicka już półuchem tylko słuchała siostry. Zewsząd obiegały ją myśli domowo-gospodarcze.

-- Aleście głodni pewnie! -- zawołała raptem. -- I czym ja was nakarmię? Kucharz zajęty w pasiece. Zygmusiu, a gdzie Janek?

-- Przecie go mama wyprawiła na łąki -- odparł.

-- Aha, trzeba go sprowadzić, ale kogo posłać?

-- Nie kłopotz się -- uspokajała panna Felicja.

-- Jakże, tacy goście! W Rogalach podobno straszne zbytki. Ja dzisiaj straciłam głowę, bo to i pszczoły się roją, i trawę koszą, i ten komornik. Zaraz, zaraz, proszę do sali. Gdzież to moje klucze?

Jadwisiu!

Zostawiła gości w salonie i pobiegła dalej, sprząając po drodze, co się dało.

Po dość długim oczekiwaniu, przerywanym wielkim rwetesem, „bieganiną i nawoływaniem, dziewczka bosa i rozczochna wniosła na tacy herbatę, a za nią ukazała się panna Jadwiga.

Widocznie zmieniła toaletę i nawet starała się zachować przyzwoicie, bo mimo prób i starań panny Felicji nie przemówiła słowa i nie spojrzała na nikogo.

Usiadła w kącie i cieniu, chowając nogi pod krzesło, a ręce w fałdy -- odświętnej sukienki.

-- Mnie nic, ale tak się boję, żeby Kostuś się do swoich nie zraził! -- przyznała swoją troskę.

-- Zabiorę go jutro ze sobą. Mam być przecie swatem, zacznę go tedy obwozić. Za tydzień przyjedziemy uwolnić stąd panią. Byle się tylko pani pupil zbytnio nie pokumał z szanownym Zygmysiem, bo to szkoła arcydziecka.

Panna Felicja poszukała oczyma synowca. Istotnie stali z Holanickim we framudze okna i coś sobie opowiadali półgłosem. Co chwila któryś wybuchał śmiechem i szeptał dalej zupełnie już poznanym. Patrzyła panna Felicja na nich, patrzył pan Erazm na drzwi do ogrodu. Tam stali naprzeciw siebie, oparci o futrynę, Adaś i Jadwisia. Oboje milczeli; zapatrzeni w ogród, który powoli napełniał się blaskiem księżyca. Zdawali się nie wiedzieć jedno o drugim.

-- Ładna dziewczyna będzie kiedyś, jeśli się okrzese -- zamruczał Różycki.

W tej chwili bosa dziewczka wpadła do sali, czerwona jak upiór i przesiąkała swędem kuchni.

-- Już, proszę pani! -- oznajmiła.

-- Co takiego? -- przestraszyła się panna Felicja.

-- Już, ja rybę przyniosłam, można jeść!

Zygmunt wyrzucił ją za drzwi.

-- Idź, proszę pani -- burknął.

Ryba była już zimna, gdy sprowadzono panią domu. Spożyto ją jednak, bogłód dokuczał, i przedebatowano obszernie sprawę Dziembowskiej.

Po wieczerzy nareszcie pani Zofia została w salonie. Zasunęła się w fotel i zaczęła rozmawiać z siostrą. Po chwili przestała sama mówić, potakiwała tylko głową, potem i te ruchy stały się nietrafne, powolne i nagle zachrapała na dobre. Rozbudziła się i starała się otrzeźwić, ale goście powstali i zaczęto się żegnać, Tyczyć, dobrej nocy, rozchodzić do sypialni. Przy tym pani Zofia okazała dla siostry -- jeszcze więcej serdeczności niż przy powitaniu i co rychlej zgasła lampę.

-- Jeśli posłyszysz jakie szmery, bądź spokojna, to tylko szczury -- rzekła na odchodnym.

Po chwili dom cały był głuchy i ciemny.

Panna Felicja ułożyła się do snu, bynajmniej nie spokojna. Okropnie właśnie bała się szczurów.

Zgasiwszy światło, nasłuchiwała chwilę, ale zmęczenie przemogło strach. Zasnęła. Nagle zbudził ją okropny łoskot. Zerwała się na równe nogi i potarła zapałkę.

Ujrzała swoje przybory toaletowe na ziemi i trzy szczury uciekające w różne strony. W minutę była ubrana i z parasolem w ręku, bez najmniejszej do snu ochoty.

Obejrzała szkodę. Słoik z pomadą był pusty, rękojeść szczotki ogryziona, mydła ani śladu.

Czwarty szczur spadł z szafy wprost pod jej nogi i ukrył się pod łóżkiem. Tego było za dużo. Ze świecą w jednej ręce, a z parasolem w drugiej, wyskoczyła do salonu. Ujrzała naprzeciw siebie pana Erazma, równie ubranego, w kapeluszu, z laską,

-- Co się dzieje? -- zawołał.

-- Szczury mnie wyгнаły!... Okropność.

-- A niechże ich, to dopiero dom!

-- I pana też wystraszyły?

-- Nie!... Ja idę na poszukiwanie chłopców.

-- Jakich?

-- Naszych, Konstantego i Adasia. Pokój ich pusty. Ciekawy jestem szczególnie, gdzie Adaś być może, bo Kostuś niezawodnie birbantuje z Zygmutem.

-- Sprowadź go pan!

-- A pani jak myślisz noc spędzać?

-- Mniejsza z tym, zdrzemnę się tu w fotelu.

-- A bodajże taką gościnnie! Nie lepiej to było w Rogalach? Ale pani upór miłości. Dla uporu poświęciłaś pani mnie i siebie.

-- A, dajże mi pan spokój. Także pora i temat stosowny! Idź pan sobie i sprowadź Kostusia.

Różycki machnął ręką i zszedł do ogrodu. Nie mógł zabłądzić, bo go chmiel i gałęzie utrzymywały na ścieżce, a kilka psów prowadziło.

Wreszcie oświetlone okno oranżerii doprowadziło go do celu. Zajrzał przez szybę do wnętrza.

Było tam ludno, wesoło i hucznie. Przy stole siedział Kostuś nad kieliszkiem wina i grał w diabełkę z

drugim, którego poznał Różycki. Był to sąsiad „Pryskowa, młody także człowiek, świeżo na gospodarstwie osiadły. Obydwaj partnerowie mieli kapelusze na głowie, cygara w zębach i w przerwach gry śpiewali, każdy co innego. Pięć świec różnej wielkości, przyklepionych do desek, oświetlało stół zarzucony resztkami jadła i butelkami. Z głębi ogień na kominie oświetlał, jaskrawo stancję i resztę publiki.

Zygmus, siedząc na brzegu łóżka, grał na harmonii, a na środku izby tańczyły cztery hoże dziewoje miasteczkowe. Całe to grono było bardzo z życia zadowolone i demonstrowało to, jak można najgłośniej. Toteż trudne było do uwierzenia, że Stefan potrafił spać przy takim wtórze. A jednak on jeden nie uczestniczył w zabawie. Spał, cały w blasku ognia, ubrany, jak wrócił z połowu, śmiertelnie snadź znużony. Na twarzy jego tępej i suchej snło się senne jakieś marzenie i smutek.

Różycki chwilę patrzył na tę scenę, potem oczy odwrócił ze wstrętem i odszedł.

-- To młodzi, co nas zastąpią! -- zamruczał.

Długą chwilę, ponuro zamyślony, szedł bez celu, przypominając własną młodość i badając sumienie swojego pokolenia. Czy nie było ich winy w tym skarleniu i upadku?

Potem ramionami ruszył i potarłszy dłonią szpakowatą czuprynę, stanął, orientując się położeniu.

Ścieżka doprowadziła go przez park wprost do zboru ariańskiego. Księżyc oświetlał czarne kontury budowli, czuby drzew owocowych i dwie wieże frontowe, na których, jak wielkie czapki, leżały gniazda bocianie. Noc była tak cicha, że pan Erazm zapomniał się długą chwilę, zasłuchany w szmery liści i owadów, zapatrzony w fantastyczne oświetlenie.

Znowu pamiętki młodości go opadły.

-- Inaczej się bawiono, inaczej kochano!

Może już śmierć niedługo w szybę zapuka i zabierze samotnika. I nic, i nikt po nim nie zostanie.

Stary kawaler westchnął i nareszcie przypomniał sobie cel wędrówki.

Gdzie Adaś być może? Doznał uczucia dumy, gdy go wśród biesiadników Zygmuś nie ujrzał, ale teraz zgoła nie pojmował, gdzie go ma szukać. Zamierzał już zawrócić, gdy uderzył go słaby, czerwony blask, oświetlający boczne dwa okna zboru, a raczej otwory od nich.

-- Czyżby arianin straszył naprawdę albo złodzieje za nic sobie mieli duchy?

W każdym razie zajrzeć warto. Różycki przeszedł ulicę i popchnął furtę zamczystą, strzegącą sadu i ruin. Wszedł na dziedzińczyk zarosły chwastami i stamtąd do drzwi zboru. Te znalazł

zamknięte. Począł tedy obchodzić wokoło budowlę, -- szukając innego wejścia.

Nareszcie znalazł drzwi od zakrystii, wpółprzymknięte. Wewnątrz słyhać było stłumiony szmer. Coraz bardziej zaciekawiony posuwał się naprzód, trzymając się ściany i próbując gruntu pod nogą;

nareszcie stanął we framudze drugich drzwi i zajrzał do wnętrza.

Miał przed sobą ogromną, pustą salę, w której mrok rozjaśniała jedna świeczka umieszczona na drewnianej skrzyni, służącej za stół dla dwóch osób siedzących przy niej na ziemi. Był to Adaś i Jadwisia.

Synowca domyślił się pan Erazm, bo był doń zwrócony plecami, za to dziewczyna była oświetlona cała. Klęczała łokciami oparta o skrzynię i recytowała zupełnie gładko:

-- Wszystkie kraje, podbite przez Arabów, podlegały władzy kalifa, następcy proroka. Stolicą jego była naprzód Medyna, potem Damaszek, nareszcie Bagdad.

-- W którym roku założono stolicę w Damaszku? -- przerwał Adaś.

Zająknęła się.

-- Data powinna stawić przed oczy wiek i okres. Kto dat nie pamięta, będzie ginął w historii jak w chaosie.

-- W roku sześćsetnym sześćdziesiątymi -- odpowiedziała, czerwona ze wstydu.

-- Co więcej stało się w tym roku lub około?

Była to najprozaiczniejsza w świecie lekcja historii, której jednak pan Erazm słuchał pilnie cały kwadrans, coraz jaśniej się uśmiechając.

Potem dziewczyna rozłożyła przed sobą tabliczkę łupkową i Adaś rozpoczął zadanie jakieś zawile z reguły trzech. Gdy je rozwiązywała, chłopak wziął pakiet zeszytów i jął coś w nich kreślić i prostować. Sponad tabliczki rzucała ku niemu niespokojne, zawstydzone spojrzenie, ilekroć poprawka była poważna.

Parę nietoperzów unosiło się nad płomykiem świecy, muskało niekiedy pochylone głowy, wielkie ćmy kosmate opadały na papier, ale oni nie zdawali się tego spostrzegać, nawykli do szczególnej dekoracji tych godzin nauki.

Pan Erazm parę razy chciał wystąpić, ale ogarniał go szacunek dla tych dwojga dzieci. Zresztą zapewne nie lękali się strachów, więc długo zabawiwszy, wziął się do odwrotu, jak mógł najciszej.

Gdy doszedł do furty, nie obył się przecie bez figla, wyjął klucz z zamku i poszedł tąż samą ścieżyną.

Mijając oranżerię, dosłyszał, że biesiada Zygmunia, doszła do szczytu upojenia, psy nawet wyły wokoło i ptactwo przerażone zrywało się z gałęzi odlatując na oślep. Nie zajrzał nawet przez szybę, nie chcąc sobie psuć świeżo doznanego wrażenia, i powrócił do domu sam, bez żadnego z chłopców.

W salonie już nie znalazł panny Felicji; musiała schronić się do siostry, bo słychać było rozmowę z sypialni pani Zofii. Powrócił tedy do siebie i niebawem twardo zasnął. Zdziwił się rano, ujrawszy nad sobą swojego furmana z przerażoną miną.

-- Co tam? Koń który zdechł? -- spytał.

-- Nie, proszę jasnego pana, ale byłem o pana niespokojny. Taki czas, a pan śpi.

-- A któraż to godzina?

-- Już blisko południe. Wszyscy państwo w salonie.

-- Jak to? I pan Zygmunt, i pan Konstanty?

-- O, ci już byli na kaczkach o świcie.

-- A bodajże ich! Oto szczęśliwa młodość! Mnie od tego nocnego spaceru kości bolą, a oni!

Ach, Erazmie, to darmo, dziad jesteś.

Tak monologując ubrał się spieszenie i wyszedł.

Całe towarzystwo siedziało w cieniu olbrzymiej lipy przed gankiem ogrodowym. Pani Zofia z siostrą szyły grube worki. Adaś flegmatycznie gatunkował garść ziół wyrwanych z murawy, Kostuś opowiadał ciotce o hodowli jarzyn w Algierze, Zygmunt beczynnie wpółleżąc, patrzył

przed siebie trochę mgławo i podniecał rozmowę dowcipami. Na uboczu siedziała Jadwisia, z tą samą miną głuchoniemej, nie podnosząc oczu, sztywna, ponura, obraz dzikości i ograniczenia.

Zdawało się, że się wcale nie znają z Adasiem.

Pan Erazm, pomówiwszy chwil kilka ze starszymi paniami, przysiadł się obok Zygmunta.

-- Seweryn zgrał się? -- spytał. Zygmunt spojrzał zdumiony.

-- A zgrał się. Skąd pan wie?

-- Ano, słyszałem od twojej matki.

-- Co? A mama skąd wie?

-- Chodziła dziś w nocy pod oranżerię!

-- Trzysta tysięcy piorunów! Ja widzę, że siedzi bardzo nadęta. Będzie dopiero piekło!

Skrzywił się i zamyślił markotnie.

Pan Erazm odszedł, przysiadł obok Jadwisi i chwilę obserwował ją w milczeniu.

-- Panno Jadwigo! -- rzekł wreszcie -- wie pani? Kalifowie Bagdadu daleko lepiej strzegli swoich tajemnic niż pani. Czy mam ten klucz oddać mamie?

Zarumieniona aż po gałki oczu wyciągnęła rękę z błagalnym wejrzeniem.

-- Oddaję, ale radzę na przyszłość być przezorniejszą. Co będzie, gdy mama zechce skontrolować w nocy całość swego ogrodu?

Uśmiech swawolny i pogardliwy zarazem prześlizgnął się po twarzy dziewczyny.

-- O, mamę tak niegdyś coś nastraszyło, że już drugi raz nie pójdzie! -- rzekła z cicha, chowając spiesznie odzyskany klucz.

-- Patrzcie, to pani bardzo przezorna! Ale, panno Jadwigo, jeszcze jedno: kto tak dobrze zna obyczaje i dzieje siódmego wieku, ten powinien i w dziewiętnastym być przytomnym i iść za jego wymaganiami i prawami. Nie można zostawać w nieświadom mości pewnych przyjętych form.

Dziewczyna podniosła głowę i słuchała nie rozumiejąc dobrze, czy też zdumiona zajęciem obcego dotąd człowieka. Z daleka, wciąż swoje zioła sortując, spode łba, równie zdumiony, przyglądał się Adaś tej parze.

Wtem płot opodal zatrzeszczał, i jak kot przesadził go Stefan. Był już ubrany przyzwoicie, niezgrabny i spętany odzieżą, do której nie nawykł. Zamiast witać się z gośćmi, podparł ramieniem lipę i rzekł:

-- A mama wie, że Dziembowska znowu do domu wlaźła?

-- Co? -- porwała się pani Zofia. -- Jak? Którędy? Klucz u mnie.

-- Wlaźła przez okno w nocy. Widziałem, jak doiła krowę rano -- odparł flegmatycznie Stefan.

-- To coś okropnego! Zygmsiu, weź konia i jedź w pogoń za komornikiem! Stefanie, zbierz ludzi, świadków, gminę!

-- Dzięki Bogu -- zamruczał Zygmus -- mama zapomni oranżerię.

-- A gdzież mama leci? -- upomniał Stefan. -- Przecie komornik nie spadnie z nieba. Zresztą on swoje zrobił, trzeba sprawę zaczynać powtórnie.

-- At, co ty wiesz! Mój dom, mój grunt, mam wyrok; jeśli nie dostanę komornika -- sama z parobkami ją wyrzucę.

-- Czemu nie, ona tego tylko chce! Za to mama odsiedzi w więzieniu pół roku i tyle! Niech mi mama da sto rubli, to ja Dziembowska wyrzucę bez sprawy! -- zaśmiał się Stefan.

-- Nie wstyd ci targi takie? Powiedz, co zrobisz?

-- Aha, zaraz, żeby mnie mama puściła z kwitkiem! Proszę pieniądze położyć na rękę u pana Różyckiego. Za trzy dni Dziembowskiej nie będzie, słowo daję.

-- Et, pleciesz. Zygmus sprowadzi komornika.

-- Niech" sobie mama czeka!

To powiedziawszy, Stefan na powrót płot przesadził i zniknął. Pani Zofia, cała wzburzona, wzięła się na powrót do roboty, ale niepokój zbyt ją trapił, nie mogła na miejscu usiedzieć.

-- Może przejdziemy się trochę! -- zaproponowała. -- Pokażę wam ogród przy zborze, pyszne tam są czereśnie. Jadwisiu, przynieś mi klucz.

Poprowadziła towarzystwo drogą dalszą poza parkiem i przechodząc pokazała opodal stojące domostwo i szmat ogrodu.

-- Oto macie tego raka, co mnie toczy! Klinem wchodzi w moje pole, co rok kawał zagarnia, szkodę robi, służbę demoralizuje. A na dobitek ma cztery córki i trzech zięciów. Jeden umie prośby pisać, drugi młyn postawił, trzeci założył szynk i psuje mi propinację.

-- Ładny komplet! -- zaśmiał się Różycki.

-- Dobrze panu śmiać się! -- przerwała. -- Pan tego u siebie nie masz!

-- To pewna, że nie miałbym tyle co pani cierpliwości. Płaciłbym rocznie policji i służyliby mi na każde zawołanie.

-- Płacić! Czym? -- oburzyła się pani Zofia. -- Mając troje dzieci, skąd grosz zaoszczędzić?

Pożytku z nich żadnego, a koszt szalony.

Różycki zaśmiał się, rzuciwszy okiem na sukienkę i trzewiki Jadwisi.

-- Tak, niestety -- rzekł -- dzieci nie mam, ale mam troje pupilów. Tylko moi bardzo mało kosztują. Każdemu z nich, gdy trochę doszedł do rozumu, oddałem jego część i rzekłem: Oto masz, rządź, jak chcesz, i na stryjaszka nie rachuj! Jeśli tylko który z was straci swoje, ja żenię się i figa z sukcesji! Lękają się tego jak dżumy i każdy swoje trzyma.

-- Ależ, stryju, ja pierwszy tego się nie lękam -- uśmiechnął się Adam.

-- Aha, a czemuż nie tracisz?

-- Bo, bo... -- chłopak szukał racji -- bo nie przyszło mi to na myśl!

-- A ty, panie Konstanty, tracisz? -- zagadnął uradowany Różycki.

-- Tracę! -- przyznał się szczerze zapytany.

-- A ojciec daje?

-- Ojciec powiada: zapracowałeś i straciłeś, pamiętaj? w dwójnasób odrobić, bo ja za twoje zbytki pokutować nie m

-- Bardzo logicznie.

-- Dawać młodemu pieniądze, to szalonemu miecz w rękę -- zdecydowała sentencjonalnie pani Zofia.

-- Trudno znowu, aby miał od razu stary rozum. A nie dać mu wyszumieć i wyszaleć w pełni sił

i zapalów, to kiedyś wspomni dobre życie? Niech ma młodość jako dobrą pamiątkę -- rzekła panna Felicja.

Różycki spojrzał na nią z uznaniem.

-- Powiedziała pani wielką i dobrą myśl. Kto z młodości swojej nie ma wspomnień szerokich i bujnych, kto nie upadał i nie dźwigał się, nie bolał, nie szalał, nie radował się, ten nigdy nie będzie człowiekiem.

-- Nowatorstwa, mrzonki, bzdurstwa -- oburzyła się pani Zofia -- Ja wierzę tylko w rygor staroświecki.

-- I w pigułki Morisona -- zakończył pan Erazm.

Kostuś się roześmiał.

-- U nas w domu nie słyszałem nigdy: nie wolno -- nie mam też dla ojca żadnych tajemnic. Gdy zawiniłem, czułem, że muszę odpokutować i pracowałem w dwójnasób. Ojciec mnie zawsze traktował jak równego sobie pracownika i towarzysza.

-- Ach, Jan! On był zawsze liberałem.

-- Lata płyną i nic na świecie nie stoi w miejscu -- wtrącił Adaś.

-- W tym cała zguba! Wierzę tylko w mój system; za stara jestem, by się nowych uczyć!

Dysputa gniewała ją, każdy więc umilkł, zachowując zdanie dla siebie. Milczała też Jadwisia, która mogłaby najlepiej zaświadczyć doskonałość systemu.

Klucz zgrzytnął w furcie. Kostuś zwiedził zaraz ruiny i wstąpił nawet obejrzeć arianina w krypcie. Jadwisia go tam sprowadziła i otworzyła trumnę. Zwłoki zachowane były doskonale, rysy nawet przetrwały, obciążnięte skórą barwy brudnego wosku. W rękę trzymał Biblię swojego wyznania. Przyglądali się w milczeniu tej resztce, gdy nagle Jadwisia odezwała się szyderczo:

-- Ten także myślał, że świat stoi w miejscu; budował loch dla następców!

Zdziwiony takim odezwaniem się dziewczyny, którą miał za idiotkę, Kostuś spojrzał na nią.

-- Nie boisz się go, kuzynko?

-- Tego trupa? Ja się nawet żywych nie boję.

Adaś odczytywał napis na trumnie i wmieszał się do rozmowy.

-- A jednak źle pani zrobiłaś porównanie. On właśnie myślał, że podlega ruchowi rzecz jedna, jedyna, niewzruszona: opoka Piotrowa! Dlatego sam tu jest.

Spuściła zaczerwienioną twarz; Kostuś ruszył brwiami.

-- Nie przypuszczałem, żeś taki ultramontanin.

-- Ano, są jeszcze tacy, ale nie lubią się tym przechwalać. I w tym jest postęp.

-- Co do mnie, kwestia wiary jest tym, czym dla ciebie robienie długów; nie przyszła mi nigdy na myśl.

-- To dowód, żeś nie był nigdy ani w pełni szczęśliwy, ani beźmiernie nieszczęśliwy, ani śmiertelnie chory. Myśli takie przy chodzą na szczytach lub w otchłani.

Kostuś się zamyślił, przypominając odnośne chwile w życiu, i głową potrząsnął. Nie pamiętał nic podobnego.

Wyszli tymczasem z grobowego podziemia i spotkali Stefana, który zagadnął siostrę:

-- Oberwałaś tę czereśnię osypaną piaskiem. Sądnym tam dzień teraz. Mama posłała po trzewiki całego domu i będzie mierzyła ślady. Idź z oczu, aż złość minie!

Jadwisia sekundę się zawahała, ale wnet odzyskała rezon. -- Niech mierzą! -- rzuciła zuchwale. --

Ja wcale czereśni nie obrywałam i nie boję się.

-- Aha! -- zaśmiał się Kostuś. -- To były te wiśnie wczoraj na murze. Mam tajemnicę kuzynki.

Proszę kupić moje milczenie, bo wydam!

-- I warto -- burknął Stefan. -- Byłem wczoraj taki spragniony, a ona, ladaco, mnie nie poczęstowała. Warto, żeby ją mama wybiła!

-- Oj, źle, kuzyneczko! -- żartował Kostuś. -- Za milczenie żądam buziaka, inaczej wszystko opowiem. Proszę płacić!...

Jadwisia podniosła na niego oczy, w których malował się przede wszystkim podziw. Pierwszy raz w życiu poczuła się kobietą, pierwszy raz usłyszała, czym ma płacić. Dotąd hodowana i wzrosła z chłopcami, sama jak chłopiec, płaciła pięścią, a brała guzy i sińce. Zdziwiła się tym, potem zawstydzila czując instynktowo beźmierne upokorzenie. I, sama nie wiedząc dlaczego, poszukała wzrokiem Adasia.

. On stał i patrzył na ruiny udając, że nie słyszy całej sprawy, tylko blady rumieniec zabarwił

jego skronie i mimo woli wargi zadrżały.

Nagle oburzenie i wściekłość ogarnęły dziewczynę i wyjrzały przez oczy.

-- Niech kuzyn wydaje, ja za siebie zapłacę mamie! -- rzekła dziko, wyprzedzając ich i idąc śmiało w głąb ogrodu, skąd rozchodził się dyszkancik pani Zofii mocno rozsierdzonej.

Od dworu już Janek, lokaj, biegł niosąc w pole pęk różnego obuwia.

Mijając, spytała go Jadwisia:

-- A te wzięłeś?

-- Ojej, same pierwsze! -- odparł śmiejąc się z porozumieniem.

Czereśnia wzmiankowana, najwcześniejsza, widoczna była z daleka. Przed kilku dniami pani Zofia, aby się ustrzec żarłoczości dzieci, kazała ją wokoło osypać piaskiem, który sama zagładziła starannie, poznawszy tajemniczo.

Dziś nic z tego nie było. Piasek był najbezczelniej zdeptany, na drzewie żadnego owocu.

Miotła się pani Zofia w bezsilnym gniewie.

-- Niech poznam, czyje to ślady, a pokażę władzę. Osiekę własnoręcznie przy wszystkich. To pewnie ty, błażnico! Przyznaj się zaraz!

-- Nie -- ruszyła ramionami Jadwisia.

Panna Felicja była przerażona okropnie. Różycki tak ubawiony, że aż dobył binokle i przez szkła obserwował ślady.

-- Niezła nóżka, a co za fason obuwia! Paryskie, dalibóg, paryskie! -- mówił mierzając laską stopy ogromne, szerokie, niezdarne.

Janek przykucnął do ziemi i jął próbować obuwie.

-- To starszego panicza, nie pasuje; to młodszego, ej, nie; to panienki, daleko. Ot, jest, akuratnie takie.

-- A to czyje?

-- To u jasnej pani stały przy łóżku.

-- Co? Moje -- pantofle ranne? Pokaż! Także „gadanie! Miałam je wczoraj na sobie!

-- Otóż to, to jasna pani wstąpiła przez zapomnienie -- odparł Janek z głupia frant.

Pani Zofia osobiście zmierzyła ślady i podniosła się cała czerwona.

-- To jest coś okropnego! -- zamruczała. -- Miałam je wczoraj na sobie, nic nie rozumiem!

Nikt nie wydał Jadwisi. Wszyscy hamowali śmiech, a panną Felicją zakończyła pojednawczo:

-- Wprędce inne drzewa dojrzeją, będziesz miała obfitość owoców, pewien procent trzeba zawsze oddać wróblom i psotnikom. Dziękuj Bogu, że nie miewasz szarańczy.

-- O, mam ją, mam! -- mruzczała gospodyni, patrząc z ukosa na Stefana i Jadwisię i obmyślając w duchu zemstę i karę.

Wrócono do domu. Po drodze Różycki rzekł do synowca:

-- Cóż, Adasiu, ruszamy po obiedzie?

-- Jak stryj chce.

-- A może chcesz zostać pod opieką panny Felicji? Bo ja zabieram Konstantego ze sobą.

-- Konstanty chce tu zostać, a ja nie. Niech więc stryj poprzestanie na moim towarzystwie.

-- Ty nie chcesz zostać? To dobre! -- śmiał się pan Erazm.

-- Nie -- odparł Adaś lakonicznie i spokojnie.

Była to dla Różyckiego nowa zagadka.'

„Muszę się z chłopcem rozmówić na serio. Co on mi będzie Murzyna bielił! Niech śpiewa prawdę!”

Z tym postanowieniem zaraz po obiedzie kazał podać konie i śpieszył się widocznie. Na odjezdnym wziął na stronę pannę Felicję.

-- Koszuś się nam zbuntował, i jechać nie chce, dowodzi { mydłek, że mu ojciec polecił panią pilnować.

-- Doprawdy, to pocziwie z jego strony!

-- Rzeczywiście, wruszające przywiązanie. Jeśli pani jednak na serio chcesz go żenić, to proszę tu długo nie bawić, bo projekt w łeb weźmie. Myślę, że trzy dni gościny wystarczy na Pyskow.

Niech pani we czwartek prosi o konie i rusza do Tedwinów.

-- Tak i ja myślałam. Zosia bardzo zajęta, a te szczury i ta zgraja psów! Tak, pojedziemy stąd we czwartek.

-- To dobrze. Postaram się spotkać panią w Krzyżopolu u Tadwinów. Stamtąd łatwo wyciągnę Kostusia do panien. Tymczasem do widzenia.

Pożegnał się i wsiadł do powozu.

-- Pani Zofio, dobrodziejko! -- wołał jeszcze. -- Daj pani pokój z sądami! Radzę raz jeszcze smarować łapy -- i poganiać! To mój system i dobrze na nim wychodzę.

-- Nie mam sposobu! -- wołała pani Zofia rozkładając ręce.

Kłęb kurzu opadł za nim, psy żegnały go z całych płuc i przeprowadziły aż na trakt.

A Stefan, porozumiewszy się z bratem, ponowił swoją propozycję:

-- Niech mama da sto rubli, a Dziembowskiej jutro nie będzie.

-- Sto rubli, a złotówki mi wczoraj nie oddałeś za rybę.

-- Pewnie gdzieś wpadła za podszewkę. Na co mi mamy złotówka!

Ruszył ramionami i znowu z bratem szeptał.

-- Proszę mu dać sto rubli, dobry projekt! -- odezwał się Zygmus.

Pani Zofia miała słabość do pierwородnego, zapewne z powodu, że o nią najmniej dbał.

Poczęła się wahać, wchodzić w targ.

Po godzinie umowa stanęła na osiemdziesięciu rublach, z których połowę Stefan dostał do rąk, resztę złożono w depozycie u panny Felicji.

Zaraz potem Stefan zniknął. Do czółna swojego złożył sieć, dużą barylkę, zawołał swoich kompanów rybaków w zdwojonej liczbie i popłynął na połów.

Gdzie ciągnęli tonie i czy obfite, nie wiadomo. Nie wiadomo też, co mówili w samotności wód i łozy. Późny był wieczór, gdy gromada chłopów, tego podchmielonych, śpiewając i krzycząc wstąpiła do szynku Dziembowskiej.

Zażądali więcej wódki, płacili gotówką, traktowali tych, których zastali, i tych, którzy wchodzili po nich. Hałas rósł w miarę pochłanianych kwatek. Nareszcie wódki zabrakło i gospodarze, zaniepokojeni humorem gości, poczęli ich namawiać do rozejścia. Był to jakby sygnał wybuchu.

Chłopi rozpoczęli bitwę regularną. Z brzękiem szyb wyleciały ramy okien, potem drzwi i piece. Z

ław robiono tarany do dalszego zniszczenia. Szło to jak szarańcza.

Gdy rozbito wszystko wewnątrz, obdarto dachy, płoty, walono ściany, rozrzucono budowle gospodarskie, wypędzano dobytek.

Dziembowska z rodziną zrazu próbowała stawić opór, lecz potem uszli, ratując własną skórę i droższe sprzęty. Hałas pijącej tłuszczy rozbudził wreszcie miasteczko. Ten i ów biegł tam i zaalarmowano policję. Zanim jednak się zebrała, osady Dziembowskich jakby nie było, a na placu

boju leżało kilku sprawców, którzy najbardziej przebrali miarkę. Reszta na hasło policji dała nurka w zboża i zapewne już bezpieczna po bruzdach spała na laurach.

Z daleka od dworu, okryci cieniem nocy, przypatrywali się temu Zygmunt i Kostuś.

-- Co teraz będzie? Kryminalna sprawa -- rzekł Jamont niespokojnie

-- Jakim sposobem! Dziembowska *de jure* od wczoraj nie powinna być w osadzie.

-- Ano, to znowu bardzo wygodne, hm... oryginalne! A ja myślałem...

-- At, chce się tobie myśleć! Chodźmy do budy, Seweryn miał przywieźć kompanię.

W tej chwili ze zboża wynurzył się Stefan w stroju rybackim, z nieodłącznym workiem na plecach.

-- Nie wiecie, czy ciotka Felicja śpi? -- zagadnął.

-- A tobie ona po co? -- zaśmiał się Konstanty.

-- Odebrałbym zaraz swoje pieniądze.

-- Zdałyby się! -- zauważył Zygmunt. -- Bestia Juda dziś mi nic nie przyniósł.

-- Zobaczysz je jak swoje ucho! -- oburzył się Stefan. -- Trzeba było tyle, co ja, namordować się, to byś miał.

-- Wielka awantura, jutro ci je oddam.

-- Pewnie, znam ja twoje jutro. Nie dostaniesz; nie mam butów ani surduta. Już mi zbrzydło żyć z ryby. Mama łaje za byle złotówkę; tytoniu nawet braknie!

. -- Jakże wy opędzacie potrzeby? -- spytał zdumiony Konstanty.

-- Ja daję weksle -- odparł Zygmunt. -- Procenty zeżrą moją część, jeśli mama lat dziesięć jeszcze pożyje.

-- A mnie żywi strzelba i sieć. Mnie nie chcą pożyczać, bo nie umiem gadać. On łże jak z nut, a ja zaraz się jąkam. To szczęście, że mama nie lubi czółna, boi się wody i prochu. Zje licha, zanim mnie skontroluje!

-- No, a Jadwisia?

Bracia ruszyli obojętnie ramionami.

-- Czego dziewczynie potrzeba? Donasza mamy odzienie, może sobie latać boso i obywać się bez koszuli. Taka błaznica.

-- Ależ to podłe życie! Ja bym uciekł!

-- Pewnie, że podłe! -- potwierdził Stefan. -- Co wieczór ręk i nóg nie czuję ze zmęczenia.

-- Jużbyś przepadł, żebym cię nie karmił, a ty mi żałujesz tych czterdziestu rubli.

-- Ja nie żałuję, owszem, pewnie, że mnie karmisz, ale widzisz, buty!

-- Wielka mi historia! Sprawię ci sam buty w procencie!

-- To dobrze, tylko pamiętaj.

-- Et, nie zawracaj głowy, toż cię widzę co dzień i twoje dziury! Ot, idź, dostań pieniądze i przynieś zakąski z miasteczka. A my ruszajmy do budy.

Odeszli. Zygmunt się roześmiał.

.....

O tej samej porze Różyccy dojeżdżali do Rogalów. Wokoło las szumiał, a konie zhasane szły stępą. Dotąd rozmawiali o ogólnych przedmiotach; pan Erazm zwlekał ze śledztwem.

Ale wreszcie kilka wiorst tylko zostało, trzeba było mówić.

-- Adasiu -- spytał nagle -- dawno poznałeś pannę Jadwigę Holaniczką?

Chłopak, jakby przygotowany był do tego, nie stropił się wcale.

-- Od dwóch lat -- odparł spokojnie.

-- A często tam bywałeś?

-- Dosyć. Przez lato zwykle co parę tygodni.

-- A czemuż to chowałeś w tajemnicy przede mną? Nie jestem, zdaje mi się, tyranem.

-- Nie, stryju, ale nie chciałem robić wielkiej sprawy z czegoś, co rychło minie.

-- Jak to, przecie kochacie się z dziewczyną?

-- Nie było o tym nigdy mowy między nami.

-- Tak? To bardzo idealne i nawet prawie wierzę, ale przypuszczam, że pomyślałeś o tym i masz zamiar te studia zakończyć ślubem. Czy wasze teorie postępowe inaczej uczą?

-- Ja, stryju, ani kochać, ani żenić się nie mam prawa. Kto ma już śmierć w sobie, o życiu powinien myśleć bardzo mało. A stryj wie, że mam w sobie dziedzictwo matki, suchoty. Nie chciałem stryjowi nigdy tego mówić, ale to racja, dla której ani nie szukam kariery, ani nie wybieram fachu, ani nie robię planów. Po co? Ja do życia sił nie mam, niczego nie zdołam wykończyć, więc nie zaczynam. Wiem, że to stryja gniewało często, ale cóż robić? Mnie nie trzeba liczyć między żyjącymi i

pracownikami. Przechodniem jestem, rychło odejdę precz!

Pan Erazm uczuł okropny żal i wstyd, że dotąd chłopaka nie poznał. A przecież ten najczęściej bawił przy nim i najmniej zwykle martwił. Miał go za ciemięgę i maniaka, lekceważył.

-- Skądże ci znowu te suchoty? Nie kaszlesz nigdy -- rzekł markotnie i miękko. -- t Jutro sprowadzę doktora Zimnickiego i każę cię zbadać. To jakaś mrzonka twojej wyobraźni.

-- O, byłem już w rękach doktorów nieraz. Zresztą ja tę śmierć bezustannie czuję po niemocy wielkiej, ogólnej.

Pan Erazm uczuł potrzebę reakcji, otrząsnął się gwałtem z przygnębiającego wrażenia.

-- Niemoc! To już fałsz. Masz siłę i ochotę bakałarzować po całych nocach w ruinach. Jeśli jednak tak myślisz, to po co rozpoczynałeś stosunek z dziewczyną, która niezawodnie jest w tobie rozkochana?

-- Nie myślę, aby mogła się we mnie kochać.

-- A ja ci mówię, że kłamiesz w tej chwili. Wiesz, że kocha i sam kochasz; po co te korowody?

Adaś milczał chwilę.

-- Gdy ją poznałem, od razu miała do mnie więcej śmiałości. Nie mogłem patrzeć na takie zmarnowanie bogatego umysłu, spaczenie wybitnego charakteru. Są tam skarby woli i inteligencji nieprzebrane. Pracowałem nad nią i kształciłem i daję ci słowo honoru, stryju, nie pomyślałem nigdy więcej nad to, że gdy umrę, ona mnie wspomni z wdzięcznością i uznaniem. Może to kochanie, stryju, ale tak kochać i mnie wolno.

-- Nieprawda. Nikomu nie wolno brać serca i życia czyjegoś na sumienie. Robi to dziewięć dziesiątych ludzkości, ale właśnie tyleż nie posiada uczciwości, a ty ją masz.

-- Ależ ja, stryju, nigdy nie spojrzałem dla siebie na pannę Jadwigę, nie dotknąłem jej ręki, ona myśli tylko o nauce.

-- Tak, żeby dorósł cię. Czyż ty, dziecko, nie wiesz, że mężczyzna za dobrodziejstwo płaci dłonią, głową, krwią -- kobieta zawsze tylko sercem! Podobno to większy nad wszystko skarb serce, twoje własne, tobie oddane!

Adaś oburącz czoło ścisnął i wzdrygnął się.

-- Więc jeśli panna Jadwiga jest materiałem, z którego robią bohaterki, ona ci za wiedzę, za światło, za staranie odda duszę na własność. A ty?

-- Nigdy, stryju, tego nie przypuszczałem. To niemożliwe; ona kocha tylko naukę, czuje tylko ambicję dojścia wyżej i wyżej, ceni tylko siłę. Co stryj mówisz, to rojenia. Ale żebym nawet w rojeniu winien nie był, powiem jej, czym jestem. Chociaż pewnie zdziwi się i nie zrozumie, dlaczego to

mówię. Stryj ją ma za kobietę, a to dziecko!

-- Mój drogi, nie wierzę w osiemnastoletnie dzieci, nie bardzo też wierzę w twoje suchoty, a jeśli tak jest, szykuj się, że cię rychło wyślę do Egiptu.

-- Ach, nie stryju! Nic mi nie zależy na kilku latach dłuższego istnienia; dawno się z tą myślą pogodziłem.

-- Łotrze, ale mnie na tym zależy! Nie hodowałem cię na to, żeby tracić. Pozwól, że zachowamy regularną kolej; ja z brzegu, po co mnie odpychasz? Poczekaj!

Starał się żartować.

-- A gdy się ze swoją uczennicą rozmówisz, powtórzysz mi jej odpowiedź; dobrze?

-- Dobrze, stryju.

-- Ładna dziewczyna. Wiesz co, żeby mnie taka kochała, niełatwo dałbym się śmierci; borykałbym się do ostatka.

Adaś smutno się uśmiechnął.

-- Ślimaku! -- oburzył się stryj. -- Za moich czasów inna była młodzież! Cóż, jakże ci się nasi goście podobali?

-- Bardzo, stryju! Panna Jamont jest jedyną starą panną bez odrobiny śmieszności, a Konstanty ma wiele zalet.

-- Lampart! Co oni tam z Zygmuntem dokazują! A wiesz, z kim go myślę wyswatać?

-- Z Wojniczówną zapewne.

-- Z twoją siostrą.

-- Z Ritą? Ależ, stryju, ona wcale za męża iść nie chce.

-- Et, banialuki, bo się o nią nikt nie starał.

-- Owszem, znam dwóch, którzy dostali odkosza.

-- Co? Ta może też choruje na suchoty!

-- Nie, ale poszła swoją własną drogą i da małżeństwa nie ma powołania.

-- Zobaczymy. Napisałem już, wzywając ją, i myślę, że tu stanie za parę tygodni.

-- Nie sądzę też, aby Konstanty okazał się zbyt uległy ciotce i stryjowi. Jemu wcale niepilno żenić się. Mówił mi, że małżeństwo jest pokutą, na którą zawsze dość czasu.

-- A to mydłek, a wygląda jak chodząca uległość. Poczekaj, mnie on nie ujdzie.

Zajeżdżali pod ganek. Różycki przypomniał sobie najważniejszą sprawę i wysiadając, rzekł do furmana:

-- Jurek! Ruszaj rano do miasta i przywieź doktora Zimnickiego. Powiesz mu, że bardzo pilno.

Jurek wytrzeszczył oczy i rzekł nieśmiało:

-- To może, proszę jaśnie pana, za jednym zachodem i proboszcza zabrać. Tyle drogi, konie bardzo zhasane!

-- Nie rezonować! -- upomniał Różycki ostro.

Jurek zawrócił do stajni mrucząc:

-- Cholera, te goście, darowałbym im i te pięć rubli gościńca! Lejcowe już do szczętu ochlapły.

Coś do pana „przystąpiło”! A w tym kochanym Pryskowie to mnie za jeden dzień nędza zżarła.

Bodaj go pioruny!

W Pryskowie tym jednak Jamontowie wytrzymali dni kilka. Panna Felicja pogodziła się z losem i nawet nie starała się zatrzymać siostry będącej w nieustannym ruchu. Była prawie cały dzień sama w domu i zawsze, pragnąc być użyteczną szyła worki lub sprzątała pokoje. Chłopcy byli niewidzialni, dziewczyna też wybierała najodleglejsze zakątki i błąkała się jak owca bez pasterza.

Służba była używana do różnych robót, tylko nie do tych, które należały z urzędu. Kucharz, jeśli nie był pijany, łowił i osadzał roje, lokaj pilnował ogrodu, ogrodnik uganiał się za gęsiami wioskowymi po sianożęci, bosa Jewa dawała koniom obrok, furman zbierał wieczorem rozproszone indyki. Wskutek tego nic nie było zrobione w porę i dom miał pozór chwilowego koczowiska.

Zbierano się przy obiedzie, który bywał pomysłu pani Zofii, a wykonania pierwszego lepszego dyletanta. Biedna panna Felicja udawała, że je, przez uprzejmość. Chłopcy nie tykali niczego. Głód trapił pannę Felicję. Była to istna męczennica obowiązków rodzinnych.

We wtorek wieczorem, gdy właśnie, udając się na spoczynek, ubezpieczała się od szczurów, zatykając czym się dało, najgorsze otwory w podłodze, ktoś do drzwi cichutko zapukał.

Przeraziła się, ale tylko na chwilę, bo w szparze ukazała się wesoła twarz Kostusia.

Dźwigał koszyk w ręku.

-- Co to ciocia robi? -- spytał patrząc zdziwiony. Stała trzymając w ręku parasolkę i kłębek szmat.

-- Chodź, chodź! Ja się barykaduję od szczurów. Co ty niesiesz?

-- Kolację dla cioci.

-- Ach, dobrze, dziękuję ci! Gdzieś to dostał?

-- Kupiłem w miasteczku. Są sardynki, chleb, jaja i butelka piwa. Ciocia musi być tego głodna!

-- Przyznam ci się, że tak. Ten nieznośny Różycki wystraszył mnie nie bielonymi rondlami. Boję się jeść.

Zasiedli do stołu. Ona jadła chciwie, on naprzeciw, rozparty, patrzył ubawiony.

-- My z Zygmuśm co dzień żywimy się w ten sposób -- rzekł.

-- Biedna Zosia nie może wydołać domowemu gospodarstwu.

-- Ej, ciotka to lubi, to system!

-- Może jej zawadzamy; trzeba będzie jutro poprosić na czwartek o konie. Pojedziemy do Tedwinów.

-- Zygmus mówił, że konie tutejsze nigdy nas tanv nie dowiozą. Może lepiej zamówić pocztę?

-- Nie wypada. Cóż? Cztery mile dowleczymy się. A ty się tu nie nudzisz?

-- Nie. Chłopcy bardzo uprzejmi; bawiłbym chętnie dłużej, ale mi cioci szkoda.

„Oho! -- pomyślała panna Felicja -- zanadto mu wesoło z Zygmuśm, trzeba zmykać!” Ta myśl i dobry posiłek dodały jej energii. Nazajutrz poprosiła siostrę o konie do Krzyżopola.

Pani Zofia, zaabsorbowana przyjazdem geometry, który miał prostować jakąś sporną granicę, przyjęła tę prośbę dość obojętnie.

-- Koni wam trzeba? Dobrze, dobrze, każę je na noc nakarmić. Ja bo, widzisz, nie lubię koni opasłych, wolę je bić, niżby one mnie biły; pasza u nas doskonała nad rzeką. Nie wiem tylko, czy nejtyczanka zreperowana; ostatnim razem połamano w niej stelwagę. Każę to wszystko wam urządzić.

Chociaż ów „ostatni raz” był przed dwoma laty, okazało się, że nejtyczanka była dotąd w stanie niezdolnym do użytku. Zajęto się jednak gorliwie jej reperacją. Cała służba była w ruchu koło tej landary i wskutek tego kolacji nie wydano wcale. Za to nazajutrz pod stajnią stała gotowa do drogi bryka, srodze zewnątrz zniszczona przez słoty i błoto, wewnątrz przez myszy i mole.

Całe pół dnia chodził około niej stangret pryskowski, chłop z głową jak kądziel i wiecznie zdziwionymi, bladoniebieskimi oczami. W stajni cztery siwosze, podeszłe w latach, dziwiły się bardzo owsowi w żłobach i stękały, z doświadczenia wiedząc, że taka szczodroblliwość pani Zofii nie wróży im nic dobrego.

Na obiad pożegnalny dano mnóstwo sałaty i półmisek raków; miały być nawet kurczęta, ale te któryś

z psów wykradł, zanim doszły różna. Zaraz potem landara zajechała przed dom i zaczęto się żegnać.

Pani Zofia rozczuliła się i ściskając siostrę, zapraszała na powtórny pobyt, przy czym zerkała niespokojnie na chmurzące się niebiosa. Zygmunt na stronie umawiał się z cicha z Kostusiem.

Jadwisia przyglądała się kufrom, na których bieleły kartki kolejowe i zapewne żałowała, czemu nie jest pakunkiem ludzi, którzy tyle świata przejechali. Stefan, praktyczny, obejrzał zaprzęg i spytał

furmana:

-- Wzięłeś siekierę i sznurki?

Brzmiało to złowieszczo, ale podróżni nie dosłyszeli i z dobrą myślą zasiedli w landarze.

Wśród ostatnich okrzyków pożegnania zaprzęg ruszył i wnet utonął poza dworem w piasku gościńca.

-- Zawszeć to lepiej niż z Alkonem -- mówiła panna Felicja pocieszająco.

-- Zapewne, *Chi va piano, va sano!* -- odparł Konstanty, ziewając, rozstrojony biesiadami Zygmunia.

O parę wiorst zaprzęg stanął.

-- Co tam?

-- To nic, postronek się zerwał -- odparł furman, schodząc niezgrabnie na ziemię.

Okazało się przy tym, że był bosy.

Po chwili ruszono dalej, ale znowu na drugiej wiorście nastąpił chwilowy popas.

-- Co tam?

-- To nic, gdzieś zgubiliśmy mutrę od koła.

Wrócił piechotą, szukając zguby. Nie było go dobry kwadrans, ale mutrę przyniósł.

Niewiele odjechawszy, znowu się zatrzymano.

-- Co tam?

-- At, coś nie łądzi. W złą godzinę wyjechaliśmy widocznie... Orczyk się złamał.

Dobył siekiery i poszedł w las. Przyniósł stamtąd kawał brzeziny i jako tako szkodę naprawił.

-- Bardzo przemyślny człowiek -- rzekła panna Felicja.

-- Mus rodzi talenty -- zaśmiał się Kostuś. -- Słuchaj no, człecze, a co będzie, gdy się nam koło rozsypie?

-- Bywa i to -- odparł zagadnięty z całą zimną krwią. -- Ano, jakoś poładzim!

Znowu wygramolił się na siedzenie, co czynił w sposób zupełnie oryginalny, gdyż rękami wkładał nogę do pudła, a za tą nogą wkładał mozolnie resztę korpusu.

Kostuś zanosił się od śmiechu. Jechali dalej, ale niedaleko nastąpił popas.

-- Dalibóg, zdaje się, że ja zablądziłem. Trzeba było zawracać przy karczmie, a ja pojechałem w bok, u krzyża. Zdaje mi się, że tędy pojedziemy do Krasek, a nie do Krzyżopola. Państwu może wszystko jedno!

-- Ale gdzie tam! Ruszaj do Krzyżopola!

Nastąpiła rejterada, przy czym w nejtyczance coś pękło złowieszczo. Przy karczmie furman stanął.

-- Trzeba koniom dać wytchnąć, zmachały się -- zdecydował.

-- Ruszaj! -- krzyknął gromko Konstanty.

Człek wtulił głowę w ramiona i coś mrużąc konie popędził. W landarze klekotało coś nieustannie. -- Co tam stuka w spodzie? -- zagadnęła panna Felicja.

-- Taka susza, rozeszło się.

Zaledwie tych słów domówił, powóz przechylił się raptownie i jednym bokiem osiadł na ziemi.

Kostuś z impetem wypadł i legł na piasku klnąc. Zapomniał o obecności ciotki.

-- A co! -- rzekł furman. -- Ot i wymówił pan w złą godzinę. Koło się rozsypało. Ja mówiłem pani, że będzie „okazja”. Trzeba było ten „fajtonik” zamoczyć na dobę w rzece; dla zmocowania.

Ach, bieda!

Wszyscy obstąpili koło, przypatrując się szkodzi bezradnie. Konie tylko bardzo obojętnie poczęły szukać pożywienia i targać uprząż.

-- A bodajże taki ład! -- wybuchnął Kostuś. -- Otóż i wybrała ciocia lokomocję. Trzeba było przyjąć konie Różyckiego i basta. Teraz pojedziemy konno na oklep, przedstawimy się Tedwinom oryginalnie.

-- Cóż myślisz, furmanie? -- spytała panna Felicja odurzona zupełnie.

-- A cóż? Zabiorę koło i pojedę z nim konno do wsi, może się kowal trafi. Państwo tu poczekają.

-- Przyjemne! -- burknął Kostuś. -- Chodźmy piechotą.

-- A moje kufry? Ja zostanę.

-- Nikt ich nie ruszy! Nieprawda, furmanie?

-- Pewnie. Jeśli się trafi pieszy, to nie ruszy, a jak kto z furą, to czemu nie ma wziąć? Ojej, taka znajda, kto by rzucił!

Pokręcił głową z miną taką, że on pewnie by nie porzucił. To zdecydowało pannę Felicję.

-- Zostanę i będę czekała -- rzekła siadając na skraju drogi, -- z parasolką nastawioną jak dzida na spodziewanych napastników.

Wtem za nimi rozległ się turkot i -- o, rajskie widzenie! -- siwosze rogalskie wpadły z kopyta na miejsce wypadku. Jurek szyderczo uśmiechnięty, a w powozie blada twarz Adasia.

Uśmiechał się i on.

-- Zbawco! -- krzyknął Konstanty. -- Jak widzisz, siedzimy na mieliźnie!

-- Stryj się tego spodziewał i sam zajęty, mnie kazał jechać śladem państwa. Istotnie, trop bardzo wyraźny, bo bryka ta każdym kołem kreśli osobną kolej. Nic podobnego nigdy nie widziałem.

Witam państwa!

-- Jeśli pan jesteś poczciwy, o jedno błagam -- zawołała panna Felicja. -- Nie opowiadaj stryjowi, jak nas zastałeś.

-- I owszem, zachowam tajemnicę. Tymczasem proszę państwa do mojej podwoły. W

Krzyżopolu są już uprzedzeni i oczekują zapewne.

Nie obyło się bez certowania o kufry. Panna Felicja nie przenosiła łatwo rozłączenia z nimi.

-- Myślałby kto, że ciotka ma tu kontrabandę albo materiały wybuchowe, a to tylko szmaty --

zniecierpliwiał się Kostuś.

-- Nie mów o rzeczach, na których się nie znasz. Moje szmaty stanowią dowód, że mi u twojego ojca niczego nie brak -- rzuciła z godnością.

Ta racja zamknęła mu usta. Pocałował ją serdecznie w rękę i miał odtąd dla kufrów należne względy.

Pozostawiono je tymczasem pod opieką bosego sługi pani Zofii, który przy połamanej bryczce zasiadł do podwieczorku i patrząc za odjeżdżającymi, z podziwem głową kręcił.

-- Ot, lecą, Matko święta! A nasza pani wierzyć nie chce, że od obroku dopiero jest charakter w nogach.

IV

Gdy się wjeżdżało do Krzyżopola, miało się wrażenie miasteczka po pożarze. Wszędzie budowle. Jedne gotowe, inne dopiero w robocie, inne chylące się do upadku. Żelazne kominy sterczały tu i tam, leżały stosy drzewa, desek, wapna, cegły; snuło się wielu ludzi, w powietrzu pełno było świstu, zgrzytu, dymu i pyłu.

Wśród tego dom mieszkalny, naśladowający szalet szwajcarski, pstro pomalowany, stanowił

śmieszny dysonans. Dojeżdżało się doń długą, brukowaną ulicą, a przed nim na trawniku pasły się pawie i błyszczała wielka kula srebrna wśród eleganckich klombów dywanowych.

Zupełny brak drzew uderzył Kostusia.

-- Pan Tedwin ich nie znosi -- objaśnił Adaś.

-- A te kominy od jakichże fabryk?

-- Nie wiem dokładnie. Bywam tu rzadko i za każdą bytnością było tam co innego. Są młyny i pytle, garbarnie, folusze, mielarnie kości, nie pamiętam wszystkiego. Mój stryj nazywa Krzyżopol Manchesterem poleskim i dowodzi, że tylko hodowla nasion jest użyteczna i praktyczna.

-- Ale jakże tu ludno i elegancko! O, wielka zmiana, znać pracę i staranie! -- mówiła rozglądając się panna Felicja.

-- A panny ładne? -- zagadnął Kostuś.

-- Zaraz je zobaczysz, bardzo też eleganckie. Słyszałem, że bawi tu również pan Józef Jamont.

-- Doprawdy? Jakże jestem rada! Zobaczę kogo z Sadyb.

Konie stanęły przed gankiem.

Dwóch lokajów, którzy mieli herby Tedwinów nie tylko na guzikach, ale jeszcze i haftowane na piersiach, wyskoczyło na przyjęcie gości.

-- Czy państwo w domu? -- spytała niespokojnie panna Felicja, zdziwiona, że nikt na spotkanie nie wychodzi.

-- W domu, jaśnie pani! -- odparł jeden drab.

W przedpokoju, po dość długiej chwili dopiero, ukazała się niewiasta tuszy przeobfitej, sapiąca, zziązana i otworzyła ku przybyłej pulchne ramiona.

-- Ach, Matyldo, witaj!

-- Ach, Feluniu, co za niespodzianka!

I panna Felicja utonęła na siostrzanym łonie. Potem spojrzały sobie w oczy i znowu uściski.

-- Ależ wyschłaś, kochanie!

-- Ależ utyłaś, najdroższa!

-- Jakże Jaś, czemu nie przyjechał?

-- Czasu nie ma.

-- Ach, Boże! Mógłby zdać troski na rządcę, odwiedzić rodzinę.

-- Rządcę? My tego nie mamy, nasz rządca ze mną przyjechał. Oto Kostuś, syn Jasia. Kostusiu, uściśnijże ciotkę!

„Kto by ją tam objął!” -- pomyślał Kostuś pochylając się do ręki.

Ale tłusta ciocia objęła go za szyję i wycalowała serdecznie.

-- Rówieśnik mojego Wiktora, pamiętam! Ach, jakże wyrósł! Może żonaty?

-- Nie, kandydat! -- odparł Kostuś rad, że może choć lekko się uśmiechnąć.

Nastąpiło powitanie Adasia zbyt serdeczne, aby nie dało do myślenia, że go też uważała za kandydata do własnych córek.

Potem ponowne okrzyki, pytania i Bóg wie, jak długo bawiono by w przedpokoju, gdyby nie wejście gospodarza domu. Był to mężczyzna niski i szczupły, trochę łysy, w okularach, bardzo żywy w ruchach i mowie.

-- Porzuciłem próbę nowej zniwiarki, żeby takich gości przywitać. Szanowna szwagierka wygląda ślicznie! Jakże się mój Krzyżopol podobał, co? Ale cóż to, moja pani przyjmuje gości w sieni? Bardzo proszę do salonu!

Wkroczone tedy do domu. Salon był wysłany dywanem, umeblowany bardzo elegancko. Panna Felicja obejrzała się.

-- Gdzież twoje dzieci, Matylido?

Pani domu, wyczerpana zupełnie, osunęła się na fotel i dyszała jak po godzinnym wyścigu pieszym. Osoba bardzo pokornego pozoru, która przy stoliku haftowała w krosnach, podała jej Szklanę limoniady i poczęła chłodzić wachlarzem.

-- Dzieci -- odparł pan domu -- zapewne na spacerze. Cóż, panie Konstany, nieprawda, że Krzyżopol wybitnie robi wrażenie w tym kraju? Tu wszędzie zastój okropny, a to jak oaza. Oto, co może zrobić praca! Niech młodzi biorą ze mnie przykład.

-- Widziałem dotąd bardzo mało z bliska, ale w Rogalach uderzył mnie ład i dobra uprawa.

-- Rogale! -- rzekł Tedwin przeciągle -- Taak! Ale cóż tam? Rola i koniec, stara rutyna. Pan Erazm przez sen wie, co robić, na włos nie zmieniając od lat kilkadziesiąt. To jest konserwator, jak ja ich tu wszystkich nazywam. Ja wyprzedzam, toruję nowe drogi, uczę postępu!

Dużo by jeszcze zapewne było „ja”, gdyby nie turkot przed gankiem.

-- Ktoś przyjechał -- rzekła panna Felicja.

-- Nie, to młodzi wracają ze spaceru -- wymówiła pani Matylda. -- Zobaczysz moje dziatki. Bez przechwałki -- udały mi się.

Twarz jej promieniała lubością.

Wszyscy spojrzeli ku drzwiom, ale zamiast spodziewanych latorośli domu Tedwinów, ukazał się w nich tylko człowiek średniego wieku, niski, otyły, uprzejmie uśmiechnięty.

Uśmiech ten nie schodził mu nigdy z twarzy wygolonej, lśniącej i bez wyrazu.

Uczernione miał włosy, wąsy, nawet brwi. Widać było staranie, by udawać młodego i eleganta, chociaż odzież nie wyglądała jakoby jego własna, a motylkowate ruchy przy o cięższej postaci były tylko śmieszne.

-- Więc to Józio! -- wyszeptała panna Felicja z jakimś wielkim żalem nie ruszając się z miejsca.

A ów Józio szedł do niej z ruchem teatralnym i ułożonym frazesem.

-- Towarzyszko zabaw dziecięcych, witaj! O, jakże błogosławię pamięć młodości, która cię do nas na powrót przyniosła!

Podawała mu rękę do pocałunku, ale słowa odpowiedzi nie znalazła w ostygniętym nagle sercu.

Jakże teraz żałowała, że ogarnięta pamięcią młodości przyjechała, by odgrzebywać groby.

Józef Jamont zwrócił się do Kostusia i witał dalej w tonie oratorskim:

-- Pozdrawiam cię, młody człowieku, w imieniu przodków jako jedyny przedstawiciel rodziny Jamontów. Mam nadzieję, że im zaszczyt przynosisz. Klejnot rodzinny nakłada szczytne obowiązki.

Kostuś, oszołomiony tym wstępem, przyglądał mu się ciekawie.

-- Bardzo mi miło poznać krewnego -- odparł wreszcie dość chłodno.

-- Nazywaj mnie kuzynem, a uważaj za przyjaciela gotowego do wszelkich usług. Złość ludzka i nieszczęśliwe warunki pozbawiły mnie majątku. Jeśli wypłynąłem z tego rozbicia, zawdzięczam to tylko mojej głowie i zdolnościom.

-- Mój Józefie -- przerwał pan domu -- dodaj, że gdybyś moich rad słuchał, nie straciłbyś majątku.

-- Zapewne, zapewne, rady twoje cenne na wagę złota, ale nie byłem sam. Bracia chcieli być mędrszymi od ciebie, to była ich zguba.

-- Józefie, gdzież są młodzi? -- omdlewającym głosem spytała pani Matylda.

-- Poszli zmienić toaletę. Spacer okrył nas kurzem, ale cel był nadzwyczaj zajmujący. Ta nowa ferma jest jednym więcej klejnotem Krzyżopola.

-- A co? Mówiłem ci, że ja wiem, co robię -- rzekł Tedwin mrużąc oczy z dumą.

Józef Jamont witał teraz Adasia z jakąś nadzwyczajną uniżonością i przymileniem.

-- I panu jestem wdzięczny, że nam przywiozłeś tak drogich wędrowców. A stryj pana, czy zdrowy?

-- Zasluga moja bardzo mała w tym razie. Jechałem tu i na drodze spotkałem panią; połamanej bryce zawdzięczam przyjemność wspólnej podróży. Stryj mój zdrowy, dziękuję panu.

-- Co za krzepka starość! -- zauważył pan Józef.

-- Starość! Sądzę, że stryj mój jest w pana wieku.

-- Pomyślność i dobrobyt go odmładzają.

-- Józefie, sprowadź dzieci -- rzekła pani domu. Gdy wyszedł, pochyliła się ku siostrze.

-- Biedny Józef! -- szepnęła. -- Mój mąż używa go jako agenta twoich fabryk. Wiesz, Sadyb już nie ma.

-- Wiem, a jednak chciałabym je zobaczyć choć z daleka. -- Mój Boże, co się tu dzieje!

-- Ja nawet myśleć o tym nie chcę, szkodzi mi to na zdrowiu. Nie uwierzysz, jak muszę się szanować! Przechorowuję każde wrażenie. Ach, otóż i Wiktor! Prawda, co za śliczny chłopak!

Młody człowiek, wchodzący do salonu, był jak wycięty z żurnala mód, sztywny, zimny, zajęty sobą.

Nosił angielskie faworyty, miał włosy ufryzowane, ręce wypieszczone, w rysach przykry chłód i cynizm. Powitanie odbyło się bardzo ceremonialnie, bez żadnej serdeczności, tylko rozkochane oczy matki nie schodziły z pięknego Wiktora.

-- Młodszego nie ma w domu -- rzekła do siostry -- pojechał do Łęczny na jarmark. Zajmuje się sportem, wielki znawca koni.

Wiktor, obejrzawszy Kostusia od stóp do głowy, zatrzymał oczy dłużej na jego opalanej cerze, krótko ściętych włosach i rzekł:

-- Znać na kuzynie afrykańskie słońce. Czy tam macie jakie stosunki cywilizowane?

-- Żadnych na kolonii. Zresztą, kto by je uprawiał! Prace bezustanne, a klimat przygnębia. Dla stosunków wyjeżdża się do Paryża.

-- Byłeś w Paryżu?

-- Przechodziłem tam szkoły, a potem bywałem dla rozrywki.

Ta wiadomość usposobiła życzliwiej pięknego Wiktora.

-- Ja umiałbym bawić się tylko w Anglii -- rzekł, gładząc faworyty.

-- A ja równie Paryża, jak Anglii nie znoszę -- wtrącił Adaś. -- Wszędzie tam czuje się zasadę: jesteś bydlę, używaj -- lub: jesteś bydlę, pracuj, żeby zebrać miliony! Ja lubię tylko Włochy i południowe Niemcy.

-- Alboż człowiek nie bydlę, choć do tego przyznać się nie lubi? -- zaśmiał się Kostuś. --

Włochy i Niemcy znam tylko z okna wagonu.

Spojrzał ku drzwiom i powstał, bo do pokoju weszły dwie panny.

Starsza miała postać i ruchy królowej, młodsza naśladowała strojem i ułożeniem pasteczkę z Arkadii. Obie były przystojne, delikatne, bardzo elegancko ubrane. Znowu chwilę trwało zamieszanie powitań i już wszyscy w komplecie obsiedli salon, którego punktem głównym był

fotel z panią domu, a zakończeniem grupa trzech młodych ludzi u okna.

Pan Józef motylkował od grupy do grupy

-- Grywasz w karty? -- zagadnął Kostusia.

-- Nie mam o nich pojęcia.

-- Nauczmy cię! Bo i cóż byś tu robił? My wieczory spędzamy przy zielonym stole. Czymże się u was zabawiają?

Nie słuchał odpowiedzi. Przez salon przechodziła właśnie osoba w popielatej sukni, niepozorna, pobrząkując kluczykami. Pan Józef poszedł za nią spieszenie do jadalni, skąd rozległ się brzęk porcelany i szkła, zwiastujący przygotowania do herbaty.

-- Kto to jest ta dama? -- zagadnął Kostuś Wiktora.

-- To panna zajmująca się apteczką; szpetny grat! Już to ojciec nie ma gustu.

-- A ta druga, co haftuje?

-- To lektorka mojej matki; straszycie!

Kostuś spojrział na dwie swoje kuzynki i mocno się zamyślił, czym też one się zajmują?

-- A ty pracujesz z ojcem? -- zagadnął.

-- Nie -- ruszył ramionami Wiktor. -- System ojca nie podoba mi się, zresztą za stary jestem, żeby kogoś słuchać. Nie cierpię być pod kuratelą i pracować jak sługa. Na oficjalistę nie jestem urodzony.

Spojrzął w lustro i spytał:

-- A kobiety tam macie w Algierze? Adaś powoli wycofał się od okna, usiadł przy starszej panie i zaczął rozmawiać.

-- Kobiety! -- zaśmiał się Kostuś. -- A gdzież ich nie ma? I tu nie brak.

-- At, śmiecie! -- skrzywił się piękny Wiktor. -- Znam już V je Wszystkie nadto dokładnie.

-- Poznałem i ja twój ideał. Jechaliśmy razem koleją. Śliczna kobieta!

-- Któraż to?

-- Helena Wojakowska.

-- Ach, Hela! Niebrzydka, ale mi dokuczyła natarczywością. Tak, miałem z nią bagatelkę.

-- Jak to bagatelkę? -- spytał Konstanty czując, że mu uszy czerwienieją.

-- No tak, romansik. Ona to wzięła na serio, myślała, że się ożenię. Dobra sobie, bez grosza posagu! Cha, cha!

-- Więc miałeś z nią romans? -- powtórzył Kostuś oszołomiony.

-- Mówię ci, bagatelkę! Nieszpetna była, ale trochę za chuda. Nie lubię takich.

Z jadalni powrócił pan Józef oblizując się. --

-- Herbatkę zaraz podadzą. Doskonale sucharki. Wiktor, wciąż przed lustrem układając swoje faworyty, cedził przez zęby:

-- Werbiczówna tu rej wodzi i nos drze. Myśli swoim posagiem opłacić romans, który miała z nadleśnym.

-- Co? -- zawołał pan Józef. -- Ta kasztelanka? Nie może być!

-- Ja wiem, co mówię! -- sucho i ostro rzekł Wiktor, z góry mierząc rezydenta.

-- A zresztą wszystko bywa! -- poprawił się zaraz Józef. -- Stary Różycki żyje u siebie jak sułtan.

Podobno kochają się z własną synowicą.

-- To fakt -- potwierdził Wiktor. -- Ten -- oczami wskazał Adasia -- wie o tym i toleruje, więc jest w łaskach; z tamtym drugim bratem porywają się do nożów.

-- A rodzona moja siostra! -- zjadliwie dodał Józef. -- Naiwni plotą: ogrody, sklep, skrzętność; także bajki! Dzisiaj z kapitału trudno wyżyć; mężczyzna z głową, jak ja, ledwie się przebije.

-- Stary doktor tam dopomaga -- zaśmiał się Wiktor.

-- Przysięgnę na to! -- poparł pan Józef, mrugając oczami złośliwie. -- Ten bogaty, kto w środkach nie przebiera. Na przykład Zawirski: kradnie w gorzelni.

-- To jeszcze mniejsza. W Malewiczach dwa razy ten sam las sprzedał.

-- Cha, cha,, cha! I udało się?

-- Naturalnie. Żona ma stosunki.

-- Podobno Wojnicza złapano na jarmarku, kiedy robił wolty.

-- To u niego zwykły proceder!

-- Ach, mój Boże! -- westchnął pan Józef. -- I to magnaci! A ja, co nigdy nikogo nie ukrzywdziłem...
-- zakończył patetycznym ruchem.

W jednej chwili jednak zmienił pozę i zwrócił się ku jadalni.

-- Herbatka! -- rzekł z lubością. Potem, zwracając się do Wiktora, szepnął:

-- Daj mi, duszko, cygarko!

Towarzystwo parami przechodziło do jadalni. Zastawa stołu jarzyła się od sreber i kryształów, trzech lokajów uwijało się wkoło. Kostuś znalazł się między dwiema kuzynkami, ale długą chwilę nie zdobył się na rozmowę, oszołomiony poprzednią powieścią Wiktora. Nareszcie przypomniał

sobie obowiązek towarzyski i zwrócił się do jednej z sąsiadek. Była to starsza, zajęta ożywioną dysputą z Adamem o jakiejś zabawie sąsiedzkiej. Krytykowała wszystko i wszystkich. Adaś bronił delikatnie.

-- *C'etait vulgaire!* -- powtarzała z dąsem. -- Nie rozumiem, jak mogli nas zapraszać i narażać na zetknięcie z tak mieszanym towarzystwem. Była nawet aptekarzowa.

Kostuś zwrócił się do drugiej sąsiadki:

-- Słyszę, że był tu bal niedawno. Kuzynka lubi tańce? Pastereczka zaśmiała się i spuściła oczki.

-- Lubię, ale to mnie męczy. Na wieczorach nie dają mi chwili odpoczynku, a mężczyźni tu tańczyć nie umieją; tacy niezgrabni! Nie mogę się z tym oswoić po Warszawie.

-- Kuzynka była na pensji w Warszawie?

-- O, nie, byłam u stryjenki. Profesorowie przychodzili do domu.

-- A egzaminy gdzie się odbywały?

-- -- Egzaminy? -- zaśmiała się -- czyż ja się uczyłam na guwernantkę? Brałam lekcje angielskiego, muzyki i śpiewu. W karnawale tańczyłam dużo.

-- Więc kuzynka gra i śpiewa? To bardzo cenny talent, na wsi szczególnie.

-- Tu nie grywam, fortepian bardzo stary. Jak mi papa kupi nowy, będę grała. Zresztą czasu brak.

Tu Tedwin przerwał im rozmowę interpelując Konstantego.

-- Po herbacie pokażę ci moje gospodarstwo. Jestem pewien, że potrafisz je ocenić i skorzystasz.

Szwagierka dowodzi, że znasz się na tym.

-- Bardzo ciocia łaskawa, ale system tutejszy jest dla mnie zupełnie obcy. My jesteśmy tylko koloniści.

-- Teraz poznasz gospodarkę na wielką skalę, połączoną z przemysłem. Drugiej takiej tu nie zobaczysz.

-- Owoce muszą być wyśmienite w Algierze? -- spytała pani domu łykając ślinkę.

-- My ich produkujemy bardzo mało, uprawiamy winnicę i warzywa; mamy też nieco daktyli.

-- Ach, winogrona i daktyle, co za delicje! Chciałabym tam być.

-- Za gorąco byłoby dla mamy -- odparł Wiktor.

-- A lwa widzałeś kiedy? -- spytał pan Józef.

-- Zabiłem dwa, a jeden omal mnie nie pożarł -- rzekł Kostuś.

-- Ech! -- ruszył ramionami Wiktor -- wasze opowiadania myśliwskie to zwykle blaga.

Czytałem, że lwów w Algierze nie ma.

-- Gdzie czytałeś? -- wtrącił Adaś. -- Pewnie w Tartarinie.

-- Ja nie jestem myśliwym. Polowałem na nie służąc w wojsku w Konstantynie. Dwa zabite zostawiły mi skóry, które ciocia ma w domu, „ale to nie dowód, bo je mogłem nabyć. Trzeci za to naznaczył

mnie doskonale: zdarł mi plecy do kości, zanim go mój pułkownik położył trupem.

-- Ja nie lubię polowania -- rzekł Wiktor. -- Zajęcie brudne i dzikie, zajmujące mnóstwo czasu.

-- Bardzo dobrze, mam zwierzynę dla gości! -- zaśmiał się Tedwin. -- Moje polowania są sławne. Mam sarny, dziki, łosie.

-- O, ja lubię łowy! -- ozwał się pan Józef. -- Bigos bywa świetny, a wieczorem partyjka i kolacja gorąca. Już to nie ma jak myśliwi.

Wstawano od stołu, a gospodarz domu zaraz porwał i pociągnął za sobą Kostusia. Zaczęto szczegółowy obchód gospodarstwa, -- zwiedzono obory i stajnie, ogrody i owczarnię, wreszcie fabryki. Znać było wszędzie silenie się na wystawę i szyk i wahanie w obiorze stałego kierunku.

Próbowano różnych ras bydła, zmieniano system chowu, rzucano się do ciągłych nowości. W

fabrykach panował chaos. Tedwin brał nad siły, do pomocy trzymał pułk dozorców i oficjalistów, sam tworzył tylko projekty, na których dokładne wyzyskanie brakło mu wytrwałości. Projekt powstawał nerwowo; Tedwin rzucał go na papier, dawał do wykonania podwładnym i po jakimś czasie już go nie cenił, stworzywszy nowy. W ten sposób zaniedbywano często najlepsze, utrzymywano najniewłaściwsze. Kostuś w myśli rachował koszty i zastanawiał się, jakim sposobem człowiek ten dotąd nie zbankrutował, a owszem wyglądał dostatnio i bezpiecznie? Nie śmiał jednak dotknąć tej kwestii i z należną uległością zdawał się wierzyć w bajeczne opowieści dochodów i doskonałość każdej rzeczy. Dlaczego miał wątpić, jeśli sam autor tych dzieł w to wierzył święcie?

Tedwin nie kłamał: on tak widział i czuł, straciwszy przez bezustanną chwałbę zupełne poczucie braków, zepsuty do reszty uznaniem sąsiadów, powagą wśród nieuków.

Gdy wrócili do domu, w salonie już czekał stół zielony, a wkoło niego kręcił się niespokojnie pan Józef.

-- Nie traćmy czasu, nie traćmy czasu! -- powtarzał. Starsze panie udały się na spoczynek, w mniejszym gabinecie panny zabawiały Adasia. Posadzono Kostusia do nauki wista. Miernie go to bawiło, ale nie mógł się wymówić. W czasie gry jeden tylko Tedwin zachowywał się przyzwoicie.

Roztargniony, zajęty swoimi projektami, znosił klęski i błędy partnera stoicznie. Wiktor i Józef z gry robili domową wojnę. Wymyślali sobie wzajemnie, rzucali karty, po każdej partii powtarzali ją ustnie skacząc do siebie jak dwa koguty.

„Ładna zabawa towarzyska!” -- myślał Kostuś, któremu, pomimo nieuctwa, szczęście sprzyjało stale.

Grano tak do późna w nocy. Panny odeszły, Adaś po chwili obserwacji graczy udał się też na spoczynek, a oni trwali, pochyleni nad stołem.

Nareszcie do obrachunku przystąpiono. Konstanty był zwycięzcą. Tedwinowie zapłacili, pan Józef szperał po kieszeniach.

-- Zostawiłem pieniądze w mieszkaniu. Do jutra, rozegramy różnicę. Zanotowałem na rogu!

Dobranoc!

I wymknął się spiesznie.

Gdy się Konstanty znalazł w swoim pokoju, który dzielił z Adasiem, sen go jeszcze nie morzył.

Otworzył okno i rzeźwił się świeżym powietrzem. W głowie miał zamęt i chęć rozmowy o doznanych wrażeniach. Rad też był, że Adaś się obudził i z natychmiastową, zwykłą delikatnym naturom, przytomnością spytał:

-- Przecie uwolnili cię. Wyglądałeś jak ofiara.

-- Powiedz mi, czy jutro odjeżdżasz? -- zagadnął go Kostuś zamiast odpowiedzi.

-- Tak, jutro. Spodziewam się lada dzień siostry.

-- Pojadę z tobą.

-- Ach i owszem, ale twoja ciotka wspominała, że chce ci pokazać Sadyby. Właściciel jest nieobecny, więc układano wycieczkę tę na pojutrze.

Kostuś zaklął przez zęby w niezrozumiałym żargonie i zamykając okno, rzekł:

-- Nie chcę sprzeciwiać się ciotce, ale mam już dosyć Krzyżopola.

Adaś milczał, zapatrzony w sufit.

-- Czy znasz dobrze Wiktora?

-- Wcale nie. Jak wiesz, mało dotąd gościłem w domu.

-- Więc to jest tutejszy zdobywca kobiet?

-- Tak mu się zdaje zapewne!

-- Czy wiesz, jeśli ten człowiek nie kłamie i nie jest wyjątkiem, społeczeństwo całe jest warte stryczka!

-- Społeczeństwo, mój drogi, jest to złożona budowa: składa się na nią i kamień, i żelazo, i glina, i piasek. Gdy je lepiej poznasz, wydasz własny sąd. Wiktora ogólnie nie lubią, ludzie zaś nie lubią zwykle albo bardzo czystych, albo bardzo brudnych.

-- Ten jest antypatyczny.

-- Starsza paniienka jest inteligentna -- rzekł Adaś wymijająco.

-- Daruję ci obie na własność. Wolę już Jagę z Pryskowa, chociaż ją silnie podejrzewam, że pończoch nie nosi.

Adaś nic na to nie odrzekł, zakaszłał i zabrał się na powrót do snu.

Nazajutrz Kostuś spotkał ciotkę samą przy rannej herbacie. Towarzyszyły jej tylko lektorka i szafarka, które bardzo były zdziwione, że raczy z nimi rozmawiać uprzejmie, czego nikt ani z domowych, ani z gości dotąd nie czynił.

-- Ciocia podobno chce odwiedzić Sadyby?

-- Tak, mój drogi. Nowy dziedzic wyjechał, a zarządzający zna Tedwina i pozwoli zwiedzić ogród. Dom stary już przebudowany na gorzelnie.

-- Więc po co cioci tam jechać? Czy mało ją jeszcze bolesnych zmian i zawodów spotkało?

-- Masz rację, ale to jakby pielgrzymka. Jest tam kaplica grobowa, pomodłę się i stare swoje ścieżki obejdę. Widzisz, byłam tam młoda i szczęśliwa, a ojciec twój pytać mnie o to będzie.

Pojedziemy, to stąd niedaleko, parę mil.

-- Ano, to pojedziemy, kiedy cioci o to chodzi.

O godzinie jedenastej zaledwie zeszło się całe towarzystwo. -- Piękny Wiktor, wystrojony jeszcze cudaczniej, woniejący perfumami, powitał kuzyna zdziwiony.

-- Ależ wstajesz rano, jak fornał! To jest barbarzyństwo zbieranie się przed obiadem.

-- Mój Boże, jaki on piękny! -- szeptała matka, pożerając go rozkochanym wzrokiem. --

Nieprawdaż, Feluniu, że trudno o piękniejszego mężczyznę? Co za szyk w postaci, jak on ubrany, co za wzięcie!

Panna Felicja, która nad swojego Kostusia nie uważała nikogo, potakiwała przez grzeczność.

Ukazały się też panny w rannych tualetach, i jak wczoraj czas upływał na rozmowie o plotkach, nowinach miejscowych, dowcipach złośliwych z nieobecnych. Westchnieniem pożegnał Konstanty Adasia i z bohaterstwem dał się Tedwinowi wyciągnąć na ponowny obchód cudów gospodarskich.

Jeszcze przed obiadem pan Józef namówił go do kart. Zasiedli do baccarata tym razem i nie wstali, aż na wezwanie do jadalni. Kostuś przegrał i zapłacił. Pan Józef gorączkowo zgarnął

pieniądze, śmiał się uszczęśliwiony i zacierał ręce. O swojej wczorajszej należności zupełnie zapomniał.

-- Odegrałem się! -- pochwalił się, zasiadając do obiadu i przeprowadzając pożądanymi oczami półmiski.

Jadł za trzech, dolewał sobie sam wina, śmiał się, i dowcipkował jak człowiek, najszczęśliwszy.

Korzystając z nieobecności Adasia wzięto na język Rózyckich. Za panem Erazmem i Adasiem ujął

się jednak tak żywo Kostuś, że musiano swoje sarkazmy przenieść na starszego brata -- Szymona, i na pannę. On był skończonym socjalistą, ateuszem, apostatą, ona awanturnicą.

-- Ejże, czy nie dostałeś od niej rekuzy? -- zaśmiał się Kostuś.

-- On? -- zawołała oburzona matka.

-- Może ty dostaniesz! -- odparł Wiktor pogardliwie.

-- A może. Bo mi się tak z twojej opowieści podoba, że niezawodnie zacznę konkury.

-- Winszuję gustu! Ułatwię ci wygrane, bo rywalizować nie będę!

-- Jaki on szlachetny! -- szepnęła pani Matylda.

-- Finansowo to dobra partia -- rzekł Tedwin. -- Rózycki ma szalone szczęście. Bez nauki, teorii, znajomości rzeczy zbiera podobno fundusz. Szczęście Polikratesa.

-- Jego fundusz ma szerokie ujście na własne przyjemności -- rzekł pan Józef.

-- Tak, ale i synowicy nie skrzywdzi -- zaśmiał się złośliwie Wiktor.

-- Podobno jest ładna i bardzo oryginalna -- wtrąciła starsza panna.

-- Więc kuzynki jej nie znają?

-- Nie. Nie bywa tu nigdzie, tylko w miasteczku, u panny Stefanii Jamont.

-- Stryj się nią nie chwali -- dodał Wiktor.

-- Więc może i ty jej nigdy nie widziałeś?

-- Nie potrzebuję widzieć ani znać.

-- W takim razie twoja znajomość ludzi jest zupełnie fantastyczna i wierzyć jej trudno. Człowieka często poznać nie można po długim nawet obcowaniu, tym bardziej na zasadzie plotek.

-- U nas się nie zajmują plotkami! -- oburzyła się zupełnie szczerze pani Matylda.

Panna Felicja bardzo zdziwionymi oczami popatrzyła na siostrę, ale nic nie rzekła. Zamilkł też Kostuś, z czego korzystając Tedwin rozpoczął wykład o zastoju przemysłu i sposobach, aby go wzbudzić.

-- Moim zdaniem -- wtrącił Wiktor -- nie wzbudzą go nigdy dyletanci tacy jak papa. Te wszystkie

próby niszczą tylko nasz fundusz.

-- Tymczasem, mój fundusz! -- poprawił stary.

-- Nie papy, ale nasz. Papa jest tylko jego dożywotnikiem i powinien pamiętać, że my wcale nie będziemy wdzięczni, gdy wskutek błędów papy zostaniemy w konieczności pracowania na chleb.

Już i tak fortuna pójdzie na działy, ponieważ nie mamy tu majoratów, które jedne tylko są rozumne.

-- I niesprawiedliwe -- rzekł Kostuś pragnąc rozmowę ściągnąć na grunt neutralny.

Stary Tedwin, czerwony, dotknięty do żywego, gryzł wąsy hamując oburzenie i wybuch.

-- Ach, więc ty jesteś demokratą!

-- Zapewne. Znajduję, że każde dziecko powinno być równo uposażone, ponieważ nie jest jego winą ani zasługą data urodzenia lub płeć.

-- Ach, więc równouprawiasz i kobiety!

-- A jakże, bądźmy logiczni, uważamy je za słabsze, a dajemy, mniej niż silniejszym.

-- Jak to widoczne, że siostr nie posiadasz!

-- Nie posiadam też funduszu, tylko o tyle, o ile go sobie sam uezieram. Żebym miał siostrę, przede wszystkim zbierałbym dla niej, aby miała byt niezależny i wygodny.

-- Kawalerowie szukający posagu byliby ci bardzo wdzięczni.

-- Siostra moja, mając swój fundusz w rękę, nie spieszyłaby tak nieopatrznie za mąż i miałyby swobodę wyboru.

-- Nie posiadasz też braci. Bardzo łatwo apostołować poświęcenie w takim razie. Inaczej byś myślał, żebyś miał perspektywę, iż twoją kolonię wypadnie dzielić na części.

-- Kolonia jest własnością ojca, a ja nie kaleka ani idiota, abym tylko na gotowe rachował. Cóż to! Świat mały? Ojciec mój znalazł chleb w Algierze, ja mogę go poszukać w Australii lub Ameryce.

-- Ja bym tego nie przeżyła! -- rzekła pani Matylda. -- Któż by mi oczy zamknął?

-- Któż by mnie zastąpił? -- dodał Tedwin, zapomniawszy już o początku rozmowy.

Dysputa stawiała się gorąca, gdy ją szczęściem przerwał pan Józef zwracając się do gospodyni domu:

-- Czy uważasz, Matyldziu, twój kucharz znowu włożył cynamonu do kremu? U jakich on posesorów służył przedtem?

-- Nie może być! Doprawdy, nie zauważyłam. Ignacy, zawołasz do mnie kucharza! Muszę mu to sama

wymówić. Do jakich granic dojdzie samowola terażniejszej służby! Czy u was Feluniu, dzieje się coś podobnego?

-- Nigdy! -- zaśmiała się panna Felicja. -- Nasza kucharka, Murzynka, jest tak niezaradna, pomimo dwudziestoletniej służby, że ja sama odtąd siedzę w kuchni podczas gotowania obiadu.

-- Ach, Boże! I nie miewasz migreny? Ja w kuchni nigdy nie byłam, ale tam podobno okropny swąd i gorąco. Straciłabym apetyt.

-- Biedna ciocia poświęca się dla nas -- rzekł Kostuś, posyłając jej serdeczne spojrzenie. -- I ojciec, i ja na próżno jej to codziennie wymawiamy.

-- No, no, kiedyście mnie zrobili gospodynią domu, to się do moich czynności nie wtrącajcie. Ja ciebie nie uczę nawadniania i niwelacji, ty mi się do kuchni nie mieszaj. Jak się ożenisz, będziesz żonę musztrował.

-- Masz się żenić na serio? -- zagadnął Wiktor.

-- Tak -- potwierdziła stanowczo panna Felicja.

-- Ano, to ja ci wyswatam pannę! -- ofiarował się pan Józef, zacierając ręce.

-- Dziękuję, może znajdę i sam. Mam gust oryginalny, możemy się w wyborze nie zgodzić.

-- Zazdroszczę ci możliwości żenienia. Mnie brak na to środków -- rzekł Wiktor.

-- Czy tu prawo wymaga do tego aktu funduszów? Myślałem, że na to trzeba tylko mieć wiek odpowiedni, obopólną zgodę i legitymacje w porządku dla urzędu świeckiego i duchownego.

-- Ja potrzebuję dziesięć tysięcy rubli na staranie i drugie tyle na postawienie domu na odpowiedniej stopie. Zresztą trzeba uważać, kogo wybrać, aby na sumie posagu nie oszukano.

Trafia się to coraz częściej. Obiecują setki tysięcy, a po ślubie kończy się na dziesiątkach albo na procencie od sumy, która istnieje na lodzie. Literalnie nie ma panien w naszych stronach.

-- Werbiczówna zaś nie pojedzie tak daleko -- wtrąciła pani domu, mimo woli zdradzając niepokój, by Konstanty o tej nie pomyślał.

On się zaśmiał niefrasobliwie.

-- Może się trafi taka, co się odważy, tym bardziej że mi nie bardzo chodzi o posag. A jeśli nie --

i w tym świat nie ciasny!

Czuć było w tonie, że o dozgonne śluby nie bardzo mu chodziło.

Zakończenie obiadu przerwało rozmowę. Znowu towarzystwo obsiadło salop, spędzając czas na

próżniaczej gawędce. Dziwił się Kostuś, jak może tylu ludzi zdrowych i młodych nic nie robić i kto właściwie pracuje za nich i dla nich.

-- Dużo zapewne wuj trzyma służby! -- zagadnął Tedwina, który w pół leżąc w fotelu, delektował się cygarem i kawą.

-- A jakże! Mam rządcę, trzech ekonomów, dyrektora, technika, mechanika, a w biurze kasjera, buchaltera i trzech pisarzy. To stanowi wyższy zarząd.

Wiktor, rozwalony na kanapie, czytał romans francuski, starsza panna wyszywała coś jedwabiem, młodsza bawiła się swoimi bransoletami, pani domu drzemała, przez sen ruszając jeszcze szczękami, pan Józef kładł pasjans z kart.

Tak się czas włókł powoli.

-- Dziwna rzecz, że nie ma gości -- mówił od czasu do czasu ktoś wyzierając oknem.

Ktoś inny znów wychodził na ganek i wracał zmęczony.

-- Co za upał! Nie sposób pomyśleć o spacerze. Biedna panna Felicja, nawykła do zajęcia, umęczona była bezczynnością.

W Pryskowie było wesoło, mogła i miała co sprzątać dzień cały; tu nie było nawet fałdu w dywanie, odrobiny kurzu na stole. Przeglądała albumy, a wreszcie zagadnęła siostrę:

-- Może, Matyldziu, masz jaką robotę? Dopomogę ci z przyjemnością.

-- Robotę? -- zdziwiła się pani domu, otwierając szeroko oczy, co jej nie przychodziło łatwo, gdyż tonęły w warstwie tłuszczu. -- Jakąż robotę? Ja latem nawet sama czytać nie jestem w stanie.

Taki upał! Dajże pokój; my, dzięki Bogu nie potrzebujemy pracować, jest na to służba.

Panna Felicja poszła tedy na piętro do swojego pokoju i przyniosła z sobą swoje rękawiczki, w których poczęła wyszukiwać usterek. Każde rozprucie witała z radością i zaszywała powoli, żeby starczyło na długo. Kostuś z nudów dał się znowu wciągnąć do kart z panem Józefem.

Wieczorem pojechano na spacer. 8 Panny i pan Wiktor, w bardzo eleganckich strojach, towarzyszyli konno, reszta towarzystwa, z wyjątkiem pani Matyldy, wsiadła do dwóch wolantów i objechano dalsze posiadłości Tedwina, wszędzie słuchając zachwyty właściciela nad jego rozumem i postępem.

Po powrocie spożyto kolację i mężczyźni znowu siedli do kart i sprzeczki. Tymczasem obie siostry przysłuchiwały się angielskiej rozmowie panien. Rozmowa wyglądała na kłótnię, sądząc z ruchów i min. Panna Felicja była strwożona.

-- Matyldziu, one się chyba gniewają na siebie -- zauważyła szeptem.

-- Gniewają? -- odparła matka z lubym uśmiechem -- tego nie wiem, ale uważaj, co za akcent, co za wprawa! Mieliśmy zawsze rodowite Angielki w domu. To teraz światowy język. Ja go lubię słuchać; taki elegancki.

Panna Felicja nie znajdowała, aby te dźwięki szczekliwe mogły mieć pretensję do elegancji, ale zgadzała się wciąż w trwodze, że siostrzenice wreszcie wydadzą sobie formalną bitwę. Skończyło się jednak na odwróceniu starszej i spokój zapanował z braku walczących.

Burze podobne były rzeczą powszednią w Krzyżopolu. Rodzeństwo ciągle się kłóciło: jeśli nie siostry z sobą, to z bratem, który był opryskliwy i niedelikatny, a ustępował chyba w takim razie, gdy go obie opadły. Wtedy trzaskał drzwiami i odchodził do siebie, rzucając im na odchodnym dosadny epitet. Wszystko to jednak odbywało się po angielsku i nie wzruszało bynajmniej rodziców.

Następnego dnia Rostuś, rozumny doświadczeniem, ukazał się w jadalni bardzo późno.

Zaznajomiono go na wstępie z drugim kuzynem, który powrócił do domu w nocy. Był to zupełnie odrębny typ. Wysoki, barczysty, czerwony na twarzy, nosił długie wąsiska, zwichrzoną niedbale czuprynę i śmiał się bezustannie opowiadając sceny jarmarczne, handle końskie i awantury karciane. Wyglądał trochę na stangreta, trochę na aferzystę nawykłego do gorączkowych transakcyj. Dość obojętnie powitał krewnego, w dalszym ciągu opowiadając, jak na jarmarku komuś nieświadomemu sprzedał źrebięca kuca i wyhandlował dwa konie za czwórkę, spoiwszy właściciela i przekupiwszy faktorów. Interes był świetny, konie dobrane. Teraz poprowadzi je za parę tygodni na jarmark świętojański do miasteczka powiatowego. Uszczęśliwiany był z rezultatu i wszyscy śmiali się z pobłażaniem i kpinią nawet z naiwnego fryca.

-- A gra była wysoka? -- badał pan Józef.

Drugi ten temat zajął całą godzinę czasu. Potem pan Ludwik poszedł spać na laurach, by nabrać sił do nowych trudów, a reszta towarzystwa poczęła układać wycieczkę do Sadyb. Ochotników brakło. Pan Wiktor wręcz odmówił, bo było dla niego za gorąco, panny żałowały strojów na kurz, a cery na słońce.

Pani domu nikt nawet spaceru nie proponował.

-- Ja nie mogę patrzeć na moją krzywdę... -- rzekł patetycznie pan Józef.

-- Pojedziemy tedy we troje -- odrzekł Tedwin. -- Pomówię z zarządzającym o najmie lokomobili.

-- Ojciec lubi popularyzować się z byle kim -- rzekł Wiktor pogardliwie.

Pomimo tej uwagi Tedwin ofiary nie cofnął i wnet po śniadaniu ruszono w drogę.

Co krok teraz pamiątki młodości zabiegały oczy panny Felicji.

-- Dlaczego właściwie ciocia się tu hodowała? Czy dziadziowie nie mieli swojej posiadłości? -- zagadnął Kostuś.

-- Straciliśmy oboje rodziców bardzo wcześnie. Stryj nas czworo zabrał do siebie i chował z własnymi dziećmi. To był dobry człowiek. Gdyśmy dorośli, oddał nam posagi, twojemu ojcu dał majątek, ale Jan go zaraz sprzedał i wyjechaliśmy. Sadyby pozostały naszym gniazdem. Patrz, oto one. Ale cóż to? Gdzież się podziała wysada?

-- Niemiec wyciął większą część na gorzelnię -- objaśnił Tedwin. -- Moim zdaniem rozumnie zrobił.

-- A tak. On się nie bawił dzieckiem po tych gajach. Ależ i lip nie ma przed domem!

-- Z lip podobno zrobili jarzma; bardzo lekkie drzewo.

-- Mój Boże! Czyż to Sadyby? To nie one! Nad domem żelazny komin, fabryka!

-- Gorzelnia. Właściciel mieszka, w oficynie. Powóz stanął na dziedzińcu.

-- Wstąpię do rządcy, nim szwagierka zwiedzi ogród i kaplicę -- rzekł Tedwin, idąc na spotkanie rudego Niemca w skórzanej kurcie, który ukazał się na bocznym ganku oficyny.

-- Chodźmy! -- szepnęła panna Felicja głuchym głosem.

-- Musiała to być niegdyś pańska rezydencja -- zauważył Kostuś spoglądając na front domu.

Oczy jego uderzyła tablica żelazna wmurowana w szczycie, cała rdzą stoczona.

Po długim wpatrywaniu się i mozole ostry jego wzrok wyczytał na niej:

„Roku Pańskiego 1714 Sylwester i Brygida Jamontowie ten dom postawili dla siebie, dzieci i wnuków. Oby ich w tym domu Bóg w zdrowiu duszy i ciała uchował przez długie wieki!” Półgłosem powtórzył młody człowiek ostatnie słowa i zamyślony poszedł za ciotką poza dom, do ogrodu. Tu jeszcze część drzew stała: olbrzymie lipy i dęby pokiereszowane, osmalone, zaczepiane ręką wandalów. -- Panna Felicja błędziła wśród nich, szukała pamiątek, ścieżek, ławek, kroków swoich dawnych.

-- Tu był nasz ogródek dziecięcy. Siostry sadziły kwiaty, my z Jasiem drzewka. Jeszcze jeden jego kasztan pozostał, a to pień po mojej brzoźce. Tylko tyle, mój Boże!

Mówiła do siebie, zupełnie zapominając o synowcu, i pamięcią starą wiedziona, szła dalej, przez chwasty i złomy, co krok nowe odnajdując wspomnienia.

-- Gdzie idziemy, ciociu? -- spytał Konstanty.

-- Do kaplicy; ta przecie została. Jeśli zamknięta, poprosimy o klucz do grobów.

Ale kaplica była otwarta. Dach nad nią zapadł, a okna nie miały szyb. Nie było czego zamykać.

Wnętrze, obdarte ze szczętem, służyło za skład narzędzi ogrodniczych. Drzwi do lochów stały też

otworem i słyhać tam było gwizdanie i kroki człowieka.

Panna Felicja zstąpiła w głąb i stanęła nagle jakby rażona gromem. Szeroko rozwartymi oczami patrzyła przed siebie, wargi i powieki jej drżały. Loch grobowy pokryty był grubą warstwą nawozu końskiego, na którym białe szeregi pieczarek. Wśród nich uwijał się ogrodnik, Niemiec, z fajką w zębach i polewaczką w ręku. Skracał sobie czas śpiewaniem. Spojrzał z ukosa na niespodziewanych gości, stanął i spytał:

-- Czego państwo sobie życzą?

Panna Felicja zwróciła się nagle i uciekła prawie rękami zakrywając oczy.

Usiadła na progu kaplicy i zapłakała gorzko.

-- Mój Boże, mój Boże! I grobów nie ma! -- szepnęła wśród łez.

Kostuś tymczasem wdał się z ogrodnikiem w rozmowę, ułatwiwszy wstęp monetą.

-- Tu były trumny poprzednio? -- spytał.

-- A były podobno, ale ja ich już nie zastałem. Mówią, że były cynowe, więc je nocami rozkradli. Wtedy pan dziedzic kazał kości zebrać i zakopać na cmentarzu, a mnie klucze oddał.

Dobra piwnica na pieczarki. Warzywo i owoce też dobrze się przechowują. Tyle miejsca nieboszczykom na co?

Zaśmiał się i dalej swoje grzyby polewał. Młody człowiek ruszył też z powrotem, a nie wiedząc, czym by ciotkę pocieszyć, usiadł opodal niej na pniu niedawno ściętym i w milczeniu palił cygaro.

Tak ich znalazł Tedwin z wezwaniem do powrotu.

-- Idź pan, zobacz, na co oni używają sklepów grobowych, ci świętokradcy! -- zawołała panna Felicja.

-- Słyszałem, widzieć nie chcę -- odparł Tedwin. -- Ano, praktyczni, trzeba się od nich uczyć.

Żebyś widział, Konstany, jaki u tego Niemca rygor i ład! Zazdrość ogarnia. Stanowczo szanuję ich i podziwiam.

I dalej mówił, już przechodząc na swoje „ja”, podniecony własnymi słowami, sobą tylko zajęty.

Milczenie panny Felicji i lakonizm znudzonego Kostusia nie zbijały go z tropu. Mówił i mówił.

Po powrocie panna Felicja spytała o pana Józefa. Spał po śniadaniu.

Chciała koniecznie z nim pomówić, dać folgę swojej boleści i oburzeniu, czatowała na chwilę swobodną.

Wreszcie pod wieczór zastąpiła mu drogę, gdy się wymykał do kart.

-- Czy wiesz, że naszych zmarłych wyrzucono z grobów? Stał, ruchem teatralnym rozkładając ręce.

-- Wyrzucono? Tak, i to też spada na sumienie mojego rodzeństwa. Wzburzyło się we mnie wszystko, gdy się o tym dowiedziałem; przechorowałem, słowo daję. Potem radziłem się prawników, czy Niemiec nie może być zmuszony do wynagrodzenia mi tego? Ale cóż? Może bym go i zmusił do zapłacenia, gdybym nastraszył procesem, lecz na proces trzeba gotówki. Udawałem się o to do Stefki, lecz ona zaparła się dawno uczuć rodzinnych, odmówiła! A ja, pracujący krwawo na chleb, cóż mogę więcej uczynić? Staram się o tym nie myśleć. Jestem Janem bez Ziemi, tak, Janem bez Ziemi! -- powtórzył, rad z ułożonego frazesu.

Panna Felicja popatrzyła na niego długą chwilę, nic nie rzekła i odeszła. Ale odtąd nie przemówiła więcej do niego. Kostus tymczasem, do ostateczności znudzony, tylko wyglądał

Rózyckich.

Tydzień minął, a z Rogalów nikt się nie zjawiał. Nareszcie pewnego wieczoru pan Erazm przyjechał, wnosząc z sobą jakby kłęb bujnego życia.

Jakże się tu od razu wszystko zmieniło!

Tedwin przestał mówić o sobie, Józef zmałał i skurczył się, Wiktor umilkł, panny nie odzywały się po angielsku, a pani domu osobiście dysponowała kolacją. Bóg wie, ale Rózycki musiał

zrozumieć popłoch, który wzbudził; na ustach plątał mu się zwykły uśmiech szyderczy, a oczy żywe latały bacznie, obserwując wyrazy oblicza zebranych.

-- Spóźniłem się! -- rzekł do panny Felicji przy powitaniu -- ale synowica mi przyjechała z Włoch. Musiałem się nią nacieszyć.

Dojrzał szczególne, spojrzenie między Józefem i Wiktorem i zastanowił się, co by to znaczyło.

Myśl ich jednak była mu tak obca, że na żaden domysł nie wpadłszy, zwrócił się do Kostusia.

-- Teraz cię biorę w niewolę. Pojedziemy jutro.

-- Ach, dobrze! -- odparł chłopak z tak widoczną radością, że aż się stary roześmiał mitygując go jednak spojrzeniem.

-- Jakże zdrowie pańskiej synowicy? -- zagadnął Wiktor.

-- Nie znam jej chorej ani smutnej -- odparł Rózycki. -- : A brat jej, Szymon, nie zjedzie tego lata?

-- Wątpię. Wybrał się z jakimiś Czechami na wycieczkę etnograficzną w Bałkany.

-- Panna Rita nie wychodzi za mąż? -- spytał Wiktor.

-- Nie. Kto wie, może dlatego że ciebie poznała zeszłego roku.

-- Poznanie było zbyt chwilowe.

-- To nic nie znaczy. *Veni, vidi, vici*. Zwrócił się teraz do Tedwina i spytał go:

-- Mam zamówić desek w tartaku. Czy dostanę?

-- Tartak już zamknąłem. Ten sam motor będzie służył w krochmalni. Może chcesz do spółki przystąpić? Pokażę ci kosztorys i rachunki. Szalony interes.

-- Co by to za ciekawe było, żeby ten twój motor napisał swoje pamiętniki! Do spółki trzeba kapitału, a ja nie lubię z tym przyjacielem się rozstawać. No i trzeba masy fantazji, a tego daru poskapili mi rodzice.

-- Pan zawsze szydzisz. To broń, z którą nigdy walczyć nie umiałem. Rezultaty za mnie świadczyć będą.

Różycki usiadł przy panie Felicji.

-- Czy odwiedziła już pani pannę Stefanię w miasteczku? -- spytał.

-- Nie, ale byłam w Sadybach i wiesz pan? Nie chcę nikogo i nic widzieć! Pisałam do brata, że zapewne zostawię tu Kostusia, a sama odjadę z powrotem. Jasiowi nic nie powiem, nic. Niechaj on sobie śni dalej o tym, cośmy zostawili odjeżdżając.

Różyckiego czoło nabiegło rumieńcem i oczy zabłysły mu gniewnie.

-- Cha, cha! Jaka pani wygodna! A patrzeć na to lat dwadzieścia nie łaska! Miałem panią za głębszą i sprawiedliwszą.

-- Ależ, panie Erazmie, pan to bierzesz za osobistą obrazę, a nie chcesz wejść w moje położenie.

Przecież tu ludzie ani myślą, ani pracują, ani dobrze życzą sobie. Wśród Kabylów czuję się mniej obcą! A Kosuś, czy pan rozumiesz, jakie on zbiera wrażenia?

-- Kostusia zabiorę z sobą i postaram się pogodzić z losem, a pani radzę jutro poprosić o konie i pojechać do panny Stefanii. Tam pani nabierzesz ducha. Za parę tygodni przywiozę pani synowca zaręczonego i wtedy pogadamy obszerniej.

-- Co pan masz za cudowną energię -- szepnęła ze szczerym podziwem.

-- Mam, bo muszę mieć -- odparł wstając.

Oczy jego przez sekundę jakby cofnęły się w głąb i stały się smutne i ponure, ale w chwilę potem już ze zwykłą maską napastował panny o politykę z gazet angielskich, które wyłącznie czytały. Przy wieczery znowu rozpoczął rozmowę z Ludwikiem, który po śnie całodziennym wybierał się w nocy

na jakieś kawalerskie zebranie w sąsiedztwie.

Życie tej odrośli rodu Tedwinów było plecionką handlów końskich, kart, bezustannych jazd, snu i jedzenia. Zapracowany był też i na myślenie literalnie nie miał czasu, wiecznie się śpiesząc.

Niekiedy powtarzał cudze anegdoty i koncepty, których ostrza jednak nigdy sam nie rozumiał i przypisywał sobie bardzo wybitną rolę między towarzyszami. W tym przebijało się ojcostwo szanownego reformatora przemysłu krajowego.

Po wieczery Kostuś dowiedział się z radością, że i oni ruszą na noc z powodu upału. W mig był gotów i słysząc palenie z bata, niecierpliwie słuchał ostatnich poleceń i ostrzeżeń ciotki.

Nareszcie ucałowała go na zakończenie i chłopak żegnał się z domowymi jak student wypuszczony na wakacje.

Wsiedli do bryczki i ruszyli.

-- Jurek! -- upomniał Różycki -- a ostrożnie między tymi fabrykami, bo to nic nie skończone albo porozbierane, więc pułapek na końskie nogi i nasze kości pełno.

-- O, już ja to znam! -- odparł furman. Księżyc świecił świetnie. Wywinęli się szczęśliwie z labiryntu fantazji Tedwina i wybiegli na drogę srebrną i gładką.

Kostuś raz i drugi, nic nie mówiąc, odetchnął głęboko. Różycki się roześmiał.

-- Cóż, chłopcze, lepiej w oranżerii Zygmunta, co? Przyzwoitość ci dokuczyla!

-- Żartuj pan zdrow. Miałem ochotę obwiesić się z nudów. Wiktor obrzydził mi całą ludzkość.

-- To dowodzi, żeś zupełnie obcy. My, miejscowi, tak przywykliśmy do plotek i oszczerstw, że nie zwracamy na nie uwagi. Jest to zatrudnienie większej części naszego społeczeństwa.

-- Ładne społeczeństwo zatem! Mężczyźni, zamiast pracować, szkalują siwe włosy i kobiety.

Gdzież u was opinia publiczna, gdzie honor, gdzie prawo?

-- Opinia w muzeach zapewne, bo się z nią spotkałem raz ostatni przed laty dwudziestu, a honor? Bywa czasem wspomniany gdy jeden drugiego obedrze w karty z pieniędzy, które trzeba pożycząć często na zastaw sumienia. Zresztą zaraza oszczerstwa coraz się rozwija w miarę upadku fortun, no, a co zwykle za tym idzie, zasad. Upadli, upokorzeni, nędzni plwają na tych, którzy stoją, coś znaczą, szanują siebie i stanowisko. Weź to za pewnik: jeśli obgadują mężczyznę lub kobietę, to niezawodnie są to jednostki wybitne, a zbyt dojrzałe duchowo, żeby na podobne napaści podobną bronią odpowiadać. I tak się stało, że dobro u nas milczy, cnota się kryje, zasługa bywa poniewierana, a winą próżniactwo naszych mężczyzn. Wiktor zresztą doszedł w tym do tej perfekcji, że go już nawet nie cierpią koledzy. Poznałeś okaz wystawowy! A Józef -- to nikczemnik, po którym deptałoby się, żeby nie żał obuwia.

-- I tak wszędzie? -- ze zgrozą spytał Kostuś.

-- Niestety, prawie wszędzie. Rozmowy o ludziach, sprawy miejscowe, zawiść lub zemsta, niechęć jednych do drugich, radość z upadku sąsiada, zasklepienie w ciasnym egoizmie lub bezmyślny szal. Anormalna zupełnie niższość umysłowa i moralna kobiet i zobojętnienie na wszystko, co nie jest zabawą lub łatwym sposobem dostania pieniędzy. Staw, którego żywą wodę odwrócono w bok i który porósł po wierzchu pleśnią, pod spodem szlamem i w którym żyć mogą jestestwa wód martwych.

-- To jest okropnie smutne i gdybym był rybą w tym stawie, doprawdy kazałbym się owej czapli z bajki przenieść gdzie indziej.

-- I to bywa -- zamruczał Różycki. -- Mówię to wszystko dlatego, że ci tego więcej nie pokażę.

Będziesz widział wyjątki. Zawiozę cię do Werbiczów, potem do Janickich. Są ludzie przecie i są bardzo dobre kobiety.

-- Werbiczówna? Ta, co ma romans z nadleśnym?

-- Aha, jest Wiktor! Mój drogi, po pierwsze, Werbicz ma majątku zaledwie kilkanaście morgów lasu, więc nadleśnego nie posiada i w okolicy nikt podobnego urzędnika nie ma. Po wtóre -- panna Werbiczówna ma tyle poważnych zajęć w domu i umysł tak poważny, że dość spojrzeć na jej życie, żeby lekceważyć podobnie brudne insynuacje; po trzecie, co najważniejsza, odmówiła niedawno swojej ręki pięknemu Wiktorowi.

-- Ale moja wdowa była jego kochanką! -- jęknął chłopak, rzetelnie zmartwiony.

-- Co za wdowa? Ach, Hela Wojakowska! Kochała go, prawda, ale od tego do zostania kochanką u naszych panien jest tak daleko, że mocno powątpiewam w twierdzenie pięknego Wiktora. Ma dużo fantazji po ojcu; szkoda tylko, że raczej jej nie zużywa, jak stary, na opowiadanie swoich zwycięstw przemysłowych.

-- A nie wiesz pan, gdzie moja wdowa osiadła?

-- Nie. Zapewne u sióstr dewotek.

Zamyślił się Różycki długo i milczał, zapatrzony w cienie przydrożne.

Wreszcie westchnął głęboko i bardziej do siebie, niż do towarzysza zamruczał:

-- Żywot jest piekłem. Dlaczego ludzie grają w nim jedni dla drugich role oprawców? Czy to ich zła natura, czy jakaś dla nas niepojęta tej ziemi klątwa? A tak łatwo można by mieć spokój!

Ogromna lipa w ogrodzie rogalskim nosiła od dawna nazwę „lipy panienki”.

Tam zawsze, skoro zaszczycała Rogale swoją obecnością, rozwieszała hamak, zносиła książki, rozpięła wielki parasol biały i spędzała większą część upalnego dnia.

Rita Różycka pędziła żywot swobodny, barwny i pracowity.

Zimę zajmowały studia jakie we Francji lub Szwajcarii, wiosnę wycieczki na Południe, lato sprowadzało ją do kraju, gdzie wypoczywała, aby jesienią ulecieć znów do pracy. Nikt nie kontrolował tej czynności, nikt nigdy nie wpływał ani nakazywał. Była to jednostka wychowana dość oryginalnym systemem pana Erazma, który w ciągłej obawie, aby tych troje sierot nie poczuło sieroctwa, uznał za najlepsze na wszystko im pozwalać, a uważał za szczęście, że go wszyscy troje nie brali za stryja i mentora, tylko za kolegę i przyjaciela. On zestarzał się, oni dojrżeli, a stosunek w niczym się nie zmienił, owszem z latami stał się dla wszystkich duchową potrzebą.

W parę dni po przyjeździe Konstantego do Rogalów Różycki wyprawił chłopców do Pryskowa, a sam, wróciwszy z lustracji folwarków, odnalazł Ritę w ogrodzie. Na widok stryja odłożyła czytaną książkę i uśmiechnęła się w milczeniu. Zachowała swoją niedbałą pozę w hamaku, który od czasu do czasu końcem bucika wprawiała w nieznaczny ruch kołysania.

Była to dziewczyna nieładna, bardzo śniada, brunetka, z gęstwiną kędzierzawych włosów na głowie i bardzo charakterystycznym profilem. Ubrana zresztą elegancko, nie miała w sobie, oprócz śmiałego spojrzenia i trochę drwiącego wyrazu twarzy, nic więcej, co by zdradzało wychowanie i życie w odmiennych od zwykłego toru warunkach. Przechyliwszy się nieco, podała stryjowi krzeselko składane i nakierowała parasol, aby go od słońca zakryć.

-- Cóż, stryju, migrena dzisiaj nie dokucza? -- spytała serdecznie.

-- Obudziłem się zdrów. Przeszkodziłem ci czytać.

-- Ależ nie! Jeśli tego studium nie przeczytam, niewiele stracę. Jedna teoria zbija drugą, -- jeśli więc tej nie poznam, będę miała mniej chaosu w głowie i mniej trudu odnalezienia prostej drogi i własnego sądu.

-- Po cóż czytasz zatem?

-- Przez szacunek dla cudzego rozumu i przez obowiązek wakacyjny.

-- Myślałby kto, że jesteś niewolnicą przykutą do Rogalów. Czemu nie zawierasz stosunków z ludźmi?

-- Ach, stryju, ja ich już znam za wiele i dawno straciłam tę ciekawość i zajęcie!

-- Wstydz się, Rito, starzejesz się!

-- Niezawodnie, stryju, mam już ćwierć wieku na barkach, dajże mi w Rogalach ciszę. Żebyś wiedział, stryju, jaka to rozkosz obcować tylko z tą lipą.

-- Tak, tak, tylko te romanse i lipą trwają niedługo. W drugim miesiącu będziesz wertowała różne programy szkolne i karty geograficzne rozmyślając czego nowego się uczyć i dokąd zbiec od tej lipy.
(

Dziewczyna roześmiała się, potakując tym śmiechem. Różycki odchrząknął i począł obrabiać cygaro.

-- No, jakże ci się podoba nasz gość? -- rzucił ze zbyt wielką obojętnością, aby była szczerą.

-- Gość? Ten Jamont? Ano, niebrzydki -- odparła Rita, śledząc zachody małej sikorki, wlokącej dla swoich piskląt olbrzymiego chrabąszcza.

-- To mniejsza, że przystojny, ale to chłopak zacny, energiczny, pracowity i gruntowny.

-- Doprawdy? No, to i owszem. Mnie się zdawało, że wyznaje, moralność arabską, politykę francuską, zarozumiałość niemiecką, a lekkomyślność słowiańską.

-- Ty bo masz zawsze uprzedzenie do mężczyzn.

-- Akurat tyle co do kobiet. Stryj chciałby, abym miała dla mężczyzn wyjątkowe względy. To trudno. Hodowałam się wśród was trzech tu w domu i może wskutek tego nimb tajemniczości i wyższości zbladł do zera w mojej wyobraźni.

-- Dziękuję za komplement.

-- Nie ma za co. Bronię się przed zarzutem.

-- Pomimo to, wiesz, Jamont byłby dla ciebie wybornym mężem.

-- Może być. Jak zechcę męża, niech go stryj dla mnie zakonserwuje w spirytusie.

-- Rito! Twój język bywa z roku na rok swawolniejszy! W jakich ty się towarzystwach obracasz? To zgroza!

-- A, prawda. Zawsze muszę stryja zgorszyć.

-- Powiedz mi, czy ty kiedy myślisz o przyszłości?

-- Nie, stryju, to takie nieprodukcyjne! Ale mogę w tej chwili, jeśli to stryja bawi, o tym myśleć.

No, cóż? W przyszłości będę chora, stara, siwa, zgrzybiała, bezzębna, no i umrę. I co mi z tego myślenia przyjdzie? Żadnej z tych konieczności nie odwrócę!

-- Zapewne, ale w przewidywaniu tego trzeba myśleć o jakimś celu, obowiązku i na stare lata o podporze i opiece.

-- Sprawię sobie *garde-malade* Angielkę. Będziemy wertowały Szekspira i warzyły ziółka.

Kupię sobie domek nad morzem, zgromadzę w nim wszystkie pamiątki i będę czekała śmierci.

-- Rito, to bardzo puste i smutne życie.

-- Może być, ale nie wymyślono dotąd nic weselszego na zakończenie.

-- Owszem, jest życie rodzinne.

-- No, przecie nie przypuszczam, że wy się mnie wyrzeczecie, dlatego że jestem stara!

-- Ja umrę, bracia założą własne gniazda, ty powinnaś uczynić to samo, jeśli chcesz być użytecznym członkiem ludzkości.

-- Wcale mi o ten zaszczyt nie chodzi.

-- Ależ, Rito, czyś ty nigdy nie kochała?

-- Ja? Może być, niech no sobie przypomnę. Zamyśliła się serio, z brwią ściągniętą. Po chwili roześmiała się znowu.

-- Kochałam raz profesora literatury w Krakowie. Ślicznie deklamował! Marzyłam o nim, coś ze trzy tygodnie. Aż raz na dworcu kolei spotykam go z żoną i czworgiem dzieci, ot, taki drobiazg, i węzełków sztuk dziesięć. Żona karmiła najmłodsze, on drugie z rzędu nosił na rękę, reszta plątała mu się pod nogami. Był taki śmieszny, taki trywialny, taki niezdarly, że ze wstydu uciekłam.

-- Przecież mu nie mogłaś mieć za złe, że jest dobrym ojcem, i mężem.

-- Drugi raz kochałam malarza -- opowiadała Rita dalej nie zważając na przerwę. -- Był

Führerem w naszej szkole w Dreźnie. Co ten człowiek prawił o ideale, o świętości sztuki, o wzlotach, o powołaniu artysty! Potem dowiedziałam się, że żył z łaski jakiejś Żydówki, którą w dodatku oszukiwał za jej własne pieniądze, a gdy mu brakło funduszków, wykraadał jej kosztowności. Pospolity infamis.

-- Ten zawód, rozumiem, był gorzki -- mruknął Różycki. -- Trafiałaś nieszczęśliwie, ale kochałaś tylko wyobraźnię. Zresztą kobieta, jeśli nie kocha przed ślubem, pokocha potem.

-- Skąd stryj o tym wiedzieć możesz? Zresztą bywało tak może niegdyś, gdy kobiety inaczej chowano; dzisiaj to anachronizm, szczególnie w zastosowaniu do mnie. Nie czuję w sobie najmniejszego powołania na żonę i matkę, a przy tym byłabym bardzo nierozsądna szukając czegoś nowego, gdy mi jest obecnie dobrze.

-- Byłoby ci stokroć lepiej.

-- Dlaczego? Czy na starość mniej by mi dokuczały reumatyzmy lub powstrzymałoby to wypadanie

zębów i niedołążność? Ech, stryju, chcąc mnie wydać za męża, trzeba było inaczej hodować, nie dawać mi swobody, funduszu, niezależności, nauki oraz swojego i bratniego serca.

Mam anormalny wśród kobiet los i stanowisko, po cóż się więc cofać, na ciężką niewolą tyłowiekową utarty szlak?

Była to nieokiełzanego umysłu i niełatwa do pokonania dziewczyna, pomimo wszystkiego, czym by jej mógł zaoponować, utrzymałaby swoją tezę zwycięsko. Miała tyle za sobą argumentów.

-- Czy stryj zaręczy, że mąż nie straci mojego funduszu, uszanuje moją godność i nie będzie tyranem? Czy stryj zaręczy, że dzieci moje znajdą chleb i naukę, że się nie złamią w walce z losem, a dorósłszy, nie zapomną o rodzicach? Czy stryj przewidzi, że obca rodzina, w którą wejdę, przyjmie mnie łaskawie, i że porzuciwszy was, znajdę tam takie serca bratnie? W dwadzieścia pięć lat mam się wyrzekać swoich gustów i niechęci, sympatyj i antypatyj, sposobu życia, wszystkich nawyków, a może nawet zasad, aby w zamian otrzymać co? Pana? Byłabym bardzo nierozsądna!

Różycki odrzucił niedopałek cygara, a zarazem odrzucił swój projekt widząc, że był mrzonką.

Rita spojrzała na niego, dojrzała zawód na czole i przechylając się pieszczotliwym ruchem, objęła go za szyję i ucałowała serdecznie.

-- Stryjku, nie dąsać się! -- rzekła ze śmiechem. -- Przeznaczeniem jest snadź w naszej rodzinie, by każde pokolenie miało samotników. Bodaj bym tylko tyle zdziałała, co stryj w życiu, a dosyć będzie na mój rachunek. Oto lepiej, zamiast się spierać, chodźmy do pasieki.

Zeskoczyła na ziemię i pociągnęła go za sobą, a za nią snuł się wesół śmiech i piosenka niefrasobliwa jak ptaszka. W pasiece Różycki znowu sobie coś przypomniał.

-- Ale, wiesz, że Adaś zakochany?

-- Wiem -- odparła.

-- Przyznał ci się?

-- Alboż który z nich cokolwiek uczyni, aby mi tego nie opowiedzieć? Szymek dowodzi, że póki ja czego nie wiem, on odczuwa tylko połowę wrażenia, a Adaś, wciąż walczący ze skrupułami, na nic się nie zdecyduje, aż ze mną przedebatuje kwestię. Te chłopcy, to jakby moje dzieci!

-- Tylko że Szymon nosił cię na ręku.

-- To nic! A, żebyś, stryju, wiedział, jak on mnie się boi! Oho, jakie on bury miewa okrutne!

Żeby nie ja, byłby pewnie socjalistą, a jest tylko uczonym. Zmusiłam go do etnografii, a teraz jest mi wdzięczny.

Gdy to mówiła, twarz jej była tak poważna i serdeczna zarazem, że można było nie wątpić, iż umiała i mogła nawrócić, gdy kochała.

-- Adaś to marzyciel, to dziecko. Jego trzeba pieścić i broń Boże, nie zadrwić; trzeba delikatnie głaskać i przez uczucie działać, no, i te jego skrupuły nieszczęsne wciąż logiką zwojowywać. Ale go trzeba mniej pilnować od Szymka; on nic złego nie potrafi uczynić. Tamten to lew, a ten to gronostaj.

-- A ty co?... -- zaśmiał się Różycki.

-- Ja? Niech oni mnie nazwą!

-- Cóż myślisz o sentymencie Adasia?...

-- Myślę, że on nie pokochałby złej. Zresztą powiem mój sąd, gdy ją poznam.

-- Jak to? Wybierasz się i ty do Pryskowa?

-- Tak dalece nie. Adaś miał dzisiaj namówić którego z jej szanownych braci, aby ją dostawili do panny Stefanii Jamont, Tam nastąpi nasze poznanie.

-- Więc przecie wyjrzysz w świat, mizantropko?

-- Ano u panny Stefanii być muszę. To bardzo śmieszne, że uważamy naszą bytność u osób, które czcimy, obowiązkiem światowym. Świat rzadko bywa na tyle konsekwentny, że dyktuje sam coś zgodnego z potrzebą duchową -- Te ceregiele i statuty są zwykle tak osobliwe, że to dziwne, iż w tym razie nie stoi tam: „Osobom, które poważamy i czcimy, wizyt składać nie wypada”.

-- Moja Rito, jeśli uważasz na prawidła światowe, bądźże logiczna i odwiedź pannę Werbiczównę, która ci w zeszłym roku pierwsza złożyła wizytę.

-- Nie chcę mieć na sumieniu buntów i niepokojów, które jej sprawia moja obecność.

-- Cóż to znowu?

-- Ano tak. Uważa stryj, Werbiczówna jest to kawałek człowieka, kawałek ryby.

Tu Rita końcem parasolki nakreśliła na piasku ilustrację syreny i prawiła dalej:

-- Do wody jej tęskno, ale ponieważ wyhodowała się na ziemi, więc, ani rusz, na nurka nie może zaryzykować. Gdy zaś widzi, jak ktoś do niej podobny pływa i nurkuje, ogarnia ją żal i tęsknota, i nuda, i wstręt do ziemi. Niemiłosiernym jest czynić jej niewczesne już pokusy. Niech się hoduje dalej na stałym lądzie, aż straci swoje łuski rybie i przemieni się w normalną kobietę.

-- To bardzo porządna i obowiązkowa dziewczyna -- wtrącił Różycki.

-- Ale czy ta porządna i obowiązkowa dziewczyna, oprócz pochwały stryja, dostaje od świata jakiegokolwiek wynagrodzenie za swoje cnoty?

-- No, cóż chcesz? Jest bardzo użyteczną w domu, czegóż jej więcej trzeba?

-- Ależ jej wszystkiego trzeba, stryju, a przede wszystkim uznania prawnie pełnoletności.

-- Et, ona wcale emancypanką nie jest, ma w domu obowiązki, ma utrzymanie.

-- Wiem, wiem! Dostaje od ojca na suknie i bieliznę parę -- set rubli na rok, ubiera się bardzo elegancko i za trzydzieści lat ma prawo czasem odwiedzić Warszawę, jeśli w domu nie jest rodzeństwu potrzebna.

-- Ma posag bardzo piękny, trzydzieści tysięcy.

-- Ma? Doprawdy? Gdzież on?

-- No, u ojca. Dostanie, gdy wyjdzie za mąż.

-- To mąż dostanie zatem. A jeśli za mąż nie wyjdzie?

-- To go jej bracia wypłacą po śmierci ojca.

-- Ależ ci bracia, skoro tylko skończą szkoły, bywają wyposażeni. Ona, zdaje mi się, z odznaczeniem skończyła instytut.

-- Et -- oburzył się Różycki -- co wam teraz w głowach świta! Ty jesteś wiadoma fiksotka. A ona, kiedy z losu nierada, czemuż za mąż nie wychodzi? Miała doskonałe partie.

-- Mój stryju, doskonała partia jest taka, wobec której rozsądek ślepie i gruchnie, a ona widocznie takiej nie miała i na tego nurka też zaryzykować się nie może. Tak, tak, biedny wyrodek!

Powiadają, że syty głodnego nie rozumie; nieprawda, bo ja ją rozumiem bardzo dobrze i żałuję serdecznie.

-- A ja myślę jej wyswatać naszego Jamonta.

-- Dobrze, że stryj mu po mnie nie swata którejś z Janickich, tych perlic, bo byłabym śmiertelnie obrażona. Ale cóż ten Jamont za kukła, że sam nie wybiera? Muszę ja go zbuntować.

-- Dajże pokój, Rito! Ciotka mi go zleciła, a ja rad bym dobrze jej usłużyć.

-- Ta ciotka to stryja narzeczona i ideał! Mam bardzo złe o niej wyobrażenie.

-- Bardzo proszę! To nie jest osoba, z której pozwoliłbym żartować.

-- Ja nie żartuję, ale czemu nie została moją stryjenką?

-- At, ludzie popsuli. Kiedyś ci to opowiem, ale to diament, perła; takich już nie ma teraz. Wy wszystkie macie przewrócone głowy, a ta -- zdrowa i czysta dusza!

-- My to może mówić będziemy naszym synowicom. Świat nie stoi i każdy wiek wytwarza właściwe

sobie typy. Mam może przewróconą głowę, ale w tym przynajmniej dojrzała, że „nie plwam wzgardliwie na to, co niegdyś wieńczono wawrzynem”. W zamian niech stryj nie poniewiera moich dążeń i zasad!...

Znowu spoważniała i oczy jej się pogłębiły pod myślącym czołem, na którym już parę bruzd lekkich pokreśliło życie.

-- Ja jestem anomalią, stryju, bo jestem tylko protestem... Cóż! Każdy wiek i każdy stan, i każda klasa posiada w swoich dziejach takie anomalie. Rupiecie potem się usuwa i znika, ale musiało być potrzebne, jeśli było.

-- Rupiecie. -- uśmiechnął się gorzko Różycki -- Tak, i ja czuję, że jestem podobnym rupieciem.

Dziwnie mi wśród postępujących lat!

Wśród tej rozmowy wyszli niepostrzeżenie z pasieki i z ogrodu, i z dziedzińca. Wąską, zieloną dróżką szli między dwiema ścianami dojrzałego żyta, które muskane przedwieczornym powiewem, coś szepcząc, chyliło się im w pokłonie.

-- Moje łany już skończyły pracę tworzenia -- rzekł pan Erazm zamyślony przesuwał ręką po ciężkich kłosach.

Rita w dal rzuciła oczy i wskazała mu łan sąsiedni, czarny, nagi.

-- A tam na ciebie znowu siew czeka, stryju! Siej, siej dalej, ciągle, bo z nas żadne ciebie nie zastąpi! Do tej pracy myśmy za słabi i nieudolni. Tyś gospodarz tutaj!

Różycki wyprostował się i uśmiechnął. Pochwała dziewczyny doszła mu do serca.

-- A cóż? Nie porzucę! -- odparł. -- A silny jestem, wiesz dlaczego? Bom stary!

Szli dalej, ukołysani ciszą do łagodnego smutku.

-- Wiesz, dziecko, jednak mi bardzo ciężko, że z was żadne mojego trudu kochanego nie pokochało -- zaczął stary znowu. -- O, nasze zimy takie długie samemu!

-- Już ja nad tym myślałam, stryju. Adaś za słaby i nazbyt artysta, ale Szymka ja nawrócę, stryju! Za lat kilka stanie przy tobie do pracy.

-- Myślisz! -- zawołał z rozjaśnieniem w oczach.

-- Zobaczysz. Jeszcze teraz niedojrzały on, jeszcze za młody, za gorący. Ale ja nad nim pracuję, z tego wrzenia, z tych wpływów różnych utworzą się kryształy i wtedy będziesz się nim cieszył, stryju, o, będziesz rad! I mnie już nie zwymyślasz od „przewróconych głów”, zobaczysz!

Stary objął jej głowę oburącz i ucałował serdecznie. Były to i przeprosiny, i podzięką.

-- On się tak wzdraga, gdy mu wspomnieć wieś i rolę -- ozwał się z powątpiewaniem.

-- Czyż stryj nie rozumie? On się wzdraga, bo się boi ciężarów obowiązku, a pojmuje je poważnie i spełni sumienne. Ale jeszcze sił dosyć nie czuje, a przy tym ta rola jest własnością stryja, a on jak widma boi się interesowności. Więc powiada: Gdy będę miał technikę i hartu nabiorę, a stryjowi będę potrzebny, pójdę do niego na służbę. Teraz nie mogę tam być.

-- O, Rito, jeśli mnie kochasz, utrzymasz go w tym zamiarze! Widzisz, ja się tak lękałem, że wy nie dbacie o mój trud. Ujęłaś mi dziesięć lat życia, tak spoważniałem. No, przecie! Wytykano mnie palcami za wasze wychowanie amerykańskie, no, przecie! A ja się broniłem: żeby własne dzieci, tobym ostrzej trzymał, ale sieroty braterskie, trudno! Dam z siebie uczciwy przykład, dam naukę, dam fundusz, a dalej swobodę. Niech sieroty Bóg musztruje!

-- Myśmy nigdy przy tobie, stryju, nie poczuli sieroctwa, każde ci teraz gotowe duszą zapłacić! I zapłacimy, zobaczysz!

Różycki nagle stanął i popatrzył na nią. -- Rito -- rzekł z namysłem -- jak to dobrze, że ty do małżeństwa nie masz powołania. Ci chłopcy bez ciebie jeszcze by się pomarnowali, doprawdy! A przy tym, gdybyś miała głowę pełną kawalerów, czyżbyś miała czas i ochotę pomyśleć o nas tak gruntownie, tak nas poznać, wszystko ułożyć? Nie!

-- Cha, cha, cha! -- wybuchnęła Rita swawolnym, serdecznym śmiechem, -- w którym była niemała doza triumfu z pobicia starego własną jego bronią.

Zaśmiał się też Różycki, bynajmniej nie urażony, ale po chwili spoważniał znowu.

-- To jest moje osobiste zapatrywanie, samolubne i ciasne, bo zresztą, pomimo że cię kocham i cenię, Rito, wyznać muszę, iż taki typ jak twój jest nienormalny; zdrowe organizmy społeczne nie powinny wydawać podobnych. Ty jesteś okazem choroby, „wycieńczenia, nieprawidłowego tworzenia czegoś nowego w świecie. Warunki, które cię taką ukształtowały, to ferment wielu stuleci! I dlatego pomimo wszystkich szczęśliwych warunków i ty szczęśliwa być nie możesz.

Teorie nowe trzeba na starej praktyce szczepić; oderwane, same niczym nie będą. Będiesz to czuła zawsze rozdzwieniem w sobie.

Rita popatrzyła na niego uważnie, zamyśliła się i milczała. Może w gruncie przyznała mu słusność, ale wstręt do owych starych praktyk był nad to silniejszy.

Wracali już ku domowi w błękitnym zmroku, a spokój ich spaceru pozostał za nimi na tej ścieżce polnej. Teraz na utartej drodze ruchem i gwarem wieczoru byli otoczeni. Ż pastwisk ciągnęło bydło z tupotem ciężkich racic i długimi porykami, potem szara ćma owiec zagroziła im drogę, podnosząc tuman kurzu, potem szła armia robocza ludzka, słońcem spalona i potem oblana, a przecież taka zdrowa i wesola. Śpiewy ich napełniały powietrze falą przeciągłej melodii. A na ostatek szły maszyny rolnicze zgrzytające swoimi kadłubami żelaznymi, dziwacznych kształtów, jakby ciężka artyleria z placu boju wracała.

Eskortowali je fornale oklep na koniach, a zamykał pochód wódz tej drużyny, stary rządcą, rówieśnik i towarzysz pracy pana Erazma. Ten, na widok pana, zatrzymał swojego dropiatego mierzyna, zsiadł i do towarzystwa się przyłączył.

Rozmowa przybrała lokalno -- praktyczny kierunek, do którego wnet się zastosowała i Rita ku wielkiej ucieście starego agronoma.

-- A panienska nasza dotąd ze mną w polu nie była. Coś zhardziała! -- rzekł już u bramy na pożegnanie, uśmiechając się do niej dobrodusznie.

-- Jak to zhardziała? -- oburzyła się. -- Ot, zaraz jutro pojedziemy.

-- Dobrze, dobrze, ale trzeba do dnia wstać, bo mnie potem cały dzień nie ma w domu.

-- Wielka rzecz! Jak pójdzie na upartego, to ja jeszcze na pana będę musiała czekać.

-- Oj trudno, trudno! Ja stary, mało sypiam, teraz o trzeciej już pacierze odmawiam na dziedzińcu.

-- Zobaczmy! -- zuchwale rzuciła Rita żegnając go z uśmiechem.

Gdy już zasiedli na ganku, rzekła wesoło:

-- Jaki u stryja ład i dostatek, aż miło patrzeć!

-- Cóż chcesz? Całe życie jedno robiąc można nabrać rutyny.

-- A dłączegóż wokoło wciąż słyhać o ruinach albo przynajmniej o bardzo złych interesach?

Czy to są wszystko niedołęgi i rozrzutnicy?

-- Różnie bywa. Tyle lat żyjemy z kapitału, trudno wytrzymać. A zresztą jedni umieją za wiele, drudzy za mało, a już rachować to stanowczo nikt nie umie. Ja trwam, bo posiadam kapitał. Majątek teraz potrzebuje w kieszeni zapasu, równającego się prawie jego wartości. Wtedy maszyna ta działa prawidłowo; inaczej to kula u nogi topielca lub galernika. Wszyscy nasi rolnicy to dyletanci. Siedzi na ziemi, bo siedzieć musi, bez względu na to, czy do tego stworzony, czy nie. No, a do tego, jak do innej pracy, trzeba powołania. Więc wyobraź sobie, że tym fachem zajmuje się i ten, co umie, i ten, co nie ma o tym pojęcia, i ten, co to lubi, i taki, co tego nie cierpi, i ten, co chce, i taki, co musi, a zrozumiesz, jakie z tego wynika pospolite ruszenie. Na dobitkę, w razie wspólnej narady i ogólnej sprawy, nikt nikogo słyhać nie chce i żaden nie uwzględnia interesu ogółu, a widzi tylko i gardłuje za własnym, ciasnym. Te coroczne zjazdy na kontrakty to zmora moich bezsennych nocy. Po każdym muszę jechać do Karlsbadu, bo mi wątrobą do cna się dezeluje.

-- W tym roku pojedę i ja ze stryjem. Zabawię dni parę u panny Stefanii Jamont.

-- A dobrze. Opowiem ci na świeżo wszystkie moje potyczki i porażki.

-- No, ale przecież muszą być chociaż dodatnie wyjątki.

-- Są, owszem. Werbicz byłby nie lada głową, żeby ta jego nieszczęsna głowa nie była tak zmęczona osobistymi sprawami. Z majątku spłacił dwóch braci i trzy siostry, więc odłużył go okropnie... Spodziewał się lepszych czasów, doznał klęsk. Miał grad, nieurodzaj, pomorek bydła, pożar. Zagrzał po szyję. To cud jego pracy, rachunku i zdolności, że trwa dotąd. A w domu sześcioro dzieci, siły zaś naderwane. Jak żądać, aby ten męczennik oddał się publicznym sprawom?

-- Czemuż, go stryj nie ratuje? Różycki uśmiechnął się tylko.

-- Robi się cokolwiek -- rzekł oczami mrugając.

Rita zrobiła w myśli uwagę, że to „cokolwiek” jest bardzo poważną sumą.

-- Zdolny też jest i Zawirski, ale tego bogactwo i świetne stosunki uczyniły egoistą i próżniakiem. Mógłby wiele uczynić Janicki, ale go namiętność do kart gubi. A reszta to tylko lik bez treści. Materialnie bankruci, moralnie zera.

-- Nie potrafiłabym tu żyć -- mruknęła Rita.

-- Zapewne, zapewne. O wiele wygodniej, w Dreźnie -- zaśmiał się Różycki.

-- Stryj ma mnie zawsze za konika polnego! -- oburzyła się Rita. -- Owszem, szanuję i lubię pracę, ale wlewanie wody w dziurawą beczkę znajduję absurdem.

-- A ja znajduję, że ślepi mówiący o barwach są oprócz kalectwa jeszcze półgłówkami.

Dziewczyna ruszyła ramionami i korzystając z tego, że lokaj przyniósł świeże gazety i listy, zajęła się swoją korespondencją. Różycki rozerwał opaskę ostatniego numeru dziennika i zatopił się w czytaniu artykułu wstępnego. Szelest papieru przerywał ciszę. Wreszcie pan Erazm odłożył

gazetę, westchnął i wstał, wezwany do biura przez rządcę.

Przechodząc, pogładził Ritę po głowie i rzekł:

-- No, dziecko, nie dąsaj się. Byłem już siwy, gdy cię do chrztu trzymałem. Przyznaj, że wiem i znać mogę to, co mi włosy ubieliło, lepiej od ciebie.

Dziewczyna, przejednana, zdjęła jego dłoń ze swojej głowy i pocałowała w milczeniu.

Wieczór tymczasem zapadł zupełnie. Rita, pozostawiona sobie, usiadła na schodach ganku i nucąc coś półgłosem sumowała wrażenie rozmowy ze stryjem. Poczynała ją opadać wątpliwość, czy dobrze robi i czy zgotuje szczęście starszemu bratu, przygotowując go i namawiając na następcę pana Erazma. Postanowiła przynajmniej nie przynaglać go do tego epilogu młodości. Tak rozmyślając, doczekała się zupełnie nocy i ciszy, tej wielkiej, jaką tylko wieś dać może. I w tej ciszy rozróżniła wreszcie daleki turkot powozu.

Uśmiech przemknął po jej twarzy.

-- Co też Adaś przywiezie? -- szepnęła do siebie wstając. W całym domu jedno okno było oświetlone. Podeszła doń i ujrzała stryja, który przy biurku coś rachował, wertując wielkie księgi gospodarcze. Światło obejmowało jego pochyloną głowę, rysując wyraźnie stanowczy profil i zmarszczki oblicza, srebrząc złowieszczo włosy. Starszym jej się wydał niż w dzień, spracowanym, znękanym samotnością.

Zastanowiła się długą chwilę.

-- A jednak Szymek tu być powinien! -- zamruczała. -- Będzie miał mistrza, a może w sobie jakie zrównoważenie ciężaru tej pracy. Kto go lepiej nauczy niż ten nasz stary? Zbliżyła się do szyby i zapukała.

-- Jadą z Pryskowa -- oznajmiła z uśmiechem. Turkot się zbliżał. Pan Erazm wyszedł na ganek.

-- Przysięgnę, że tylko Adaś wraca. Tamten urwis nie opuści okazji odprawienia bachanalii w Oranżerii u Zygmunta. To też nie lada paliwoda.

-- A niedawno stryj go chwalił jak nieboszczyka -- zaśmiała się Rita.

Powóz stanął przed gankiem i pierwszy wysiadł Konstanty.

-- Wróciłeś? Osobliwość! -- wykrzyknął Różycki.

-- Dlaczego nie miałem wrócić? -- odparł młody człowiek spoglądając na Ritę i witając się.

-- Ano, Zygmunt, oranżeria:..

-- Doprawdy nie powstało mi to w myśli. Spieszno mi było tu wrócić i żeby nie mój towarzysz, którego ledwie odnalazłem błakającego się po parku, to wróciłbym daleko wcześniej.

Znowu Różycki przejął jego spojrzenie na Ritę i pomyślał: „Aj, do licha, chłopiec gotów zabłądzić ze swoją miłością. Trzeba go jutro wieźć do Werbiczów.” Rita tymczasem już zajęła się bratem. Rozmawiali z cicha idąc powoli do domu. Z tonu mowy znać było, że Adaś, jak zwykle, nie uczynił nic praktycznego.

U stołu, przy kolacji, Różycki coraz więcej się trwożył. Oczy Kostusia nie schodziły z Rity, a błyskały bardzo podejrzenie.

„A to dopiero kłopot! Ładnie przysłużę się panie Felicji!” -- myślał pan Erazm.

Nareszcie Rita poczuła też na sobie ten wzrok i spojrzała ku niemu.

Zaśmiała się niefrasobliwie i dalej rozmawiała o rzeczach potocznych.

„Dzięki Bogu! -- zakończył swoje uwagi Różycki. -- Ta go prędko otrzeźwi!”.

Po wieczerzy rozchodzono się na spoczynek.

-- Wstąpię jeszcze do ciebie -- szepnęła Adaś idąc za siostrą z miną bardzo ważną.

Zostali sami w jej pokoju.

-- Wiesz? Jamont chce się z tobą żenić! -- rzekł chłopak.

-- Już? Onegdaj mnie poznawszy? Przyznam się, że ma gust pomidorowy!

-- Ależ czy to żarty, Rito? Podobałaś mu się bardzo. Co to dziwnego? Musisz się podobać każdemu rozumnemu. Ja mu potakiwałem.

-- Może z zapалу ręką i sercem moim rozporządziłeś się?

-- Ty zawsze drwisz, gdy o tobie mowa.

-- Cóż mam robić słuchając absurdów? Powiedz swojemu Jamontowi: *qu'il aille se faire pendre ailleurs!*

-- Nie powiem ci nic, Rito! On cię nie obraził, jest prawy i rozumny, posiada całe moje uznanie.

Tyś taka dla nas dobra, źle byłoby, żebym ciebie przez egoizm chciał pozbawić osobistego szczęścia.

-- Czyście się dzisiaj na mnie sprzysięgli z tym Jamontem? Daj mi spokój! To wstyd, że mnie tak mało znasz, ty utopisto! Raczej# pilnuj swojej sprawy; uważam, że sam sobie nie umiesz dać rady.

-- Przecie już zagailem interes. Powiedziałem panie Jadwidze, że przyjechałaś.

Rita popatrzyła na niego zupełnie serio.

Wydrwiłaby każdego innego, ale Adaś był wyjątkiem.

-- To dobrze zrobiłeś. A upewniłeś się, że przyjedzie do miasteczka, do panny Stefanii?

-- Tak. Powiedziałem, że ty masz do niej interes. Bo widzisz, ja jeszcze nie wiem, czy mi się godzi zakłócać jej spokój. A jeżeli pomimo wszystko ja mam suchoty? Ten doktor mógł się mylić.

-- Ależ, moje dziecko, nie bądźże maniakiem! -- upomniała łagodnie, gładząc go po głowie. --

Żebyś miał suchoty, nie miałbyś sił i ochoty nawet do kochania. No, dobranoc, idź marzyć!

Odprawiła go, otworzyła okno i chwilę rozkoszowała się pogodną nocą, potem usiadła do pianina i poczęła grać z cicha, od rzeczywistości i świata zupełnie oderwana.

Nazajutrz pan Erazm i obaj młodzieńcy zasiadali właśnie do śniadania, gdy za oknem mignęła sylwetka Rity na spoconym koniu. Po chwili ukazała się w jadalni.

-- Czy wiesz, stryju, że zbudziłam dzisiaj rządcę? Od kilku godzin lustruję gospodarstwo.

-- I jakież rezultaty lustracji? Czy dostanę wzmiankę pochwalną? -- śmiał się Różycki.

-- Ano, nie gorzej. Tylko chłopcy pasą na łąkach najbezczelniej! -- odparła zajmując miejsce u stołu.

-- Zapewne im wolno. Słyszałem -- o takim obyczaju, który się nazywa serwitutem -- rzekł

Konstanty. -- To bardzo oryginalne!

-- Nie tyle oryginalne, ile przyjemne -- dodała Rita ramionami wzruszając. -- Ale w Rogalach tej oryginalności nie ma, o ile wiem.

-- Nie -- potwierdził Różycki -- ale moi włościanie i bez tego moje i twoje uważają za jedno. Jest to także miejscowy obyczaj...

-- Który stryj szanuje przez poszanowanie dla tradycji.

-- At, przez całe moje życie miałem jeden proces i przysięgłem nie mieć drugiego. To jedna racja, a druga, doświadczenie, że mimo tej ślamazarności ze wsią nie zubożałem. Widocznie mogą oni bez szkody żyć przy mnie, więc niech żyją!

-- Pani doskonale zna miejscowe stosunki, tak mało żyjąc w tym kraju -- rzekł Konstanty. --

Myślałem, że jest on dla pani równie obcy jak dla mnie.

-- O, ja nie cierpię być obcą, czegoś nie znać lub nie umieć. Zresztą to mój kraj.

-- Jednak go pani z łatwością i na długo opuszcza. Nostalgia nie znana jest pani.

-- Nie, bo gdy mnie to uczucie opada, pakuję manatki i jestem tutaj. Gdybym tego nie mogła uczynić, nie ruszałabym się z Rogalów.

-- A gdyby losy zagnały panią na drugą półkulę bez możliwości powrotu?

-- Ach, losy! Także określenie kłamliwe. Ludzie wszystkie swoje bezsensy, słabości i niezaradności nazywają losem. Bardzo wygodne zepchnięcie na coś urojonego odpowiedzialności za własną głupotę.

-- Przecie nie możemy zawsze zaręczyć za jutro.

-- Możemy, jeśli wczoraj i dziś, i zawsze logicznie trzymamy się jednej zasady i jesteśmy wolni!

-- Niewola bywa też czasem słodka -- uśmiechnął się.

-- Atrament bywa też czasem smaczny -- odparła szyderczo. -- Wierzę, bo widzę rozmaite zboczenia i ułomności.

-- Nie próbowałem atramentu -- wtrącił Różycki -- ale wierz, że niewola w miłości jest słodka.

-- Czemuż jej stryj na sobie nie zechciał doświadczyć? A ja powiadam, że to absurd; żadna miłość nie opłaci utracenia swobody.

-- Pani chciałaby panować?

-- Ja chciałabym, żebyś mi pan cokolwiek o życiu w Algierze opowiedział zamiast próżnej szermierki zdań. Nie cierpię dysput doprowadzających do wszystkich herezji, a ponieważ jest ich już dosyć, więc będę słuchała pana pod lipą.

Wstała i odeszła do swojego pokoju, by zmienić ubranie. Młodzi ludzie zabrali jej hamak i ruszyli do ogrodu. Po chwili całe towarzystwo tam się zebrało i Kostuś zaczął opowiadać. A miał

spory zapas opowieści w swoim życiu ruchliwym i mówić umiał z prostotą, humorem i płynnie.

Różycki dopytywał o stosunki ekonomiczne i polityczne, Adaś o przyrodę i typy ludzi, Rita o sposób pracy i awantury. Tak im niepostrzeżenie upłynęło parę godzin, aż wreszcie pan Erazm westchnął i wstał.

-- Ano, tak tam dobrze, że szkoda, iż to nie u nas -- rzekł.

-- A pana nie bierze ochota tego doznać?

-- Nie, na emigranta się nie zdałem. Gawędzić miło, ale nam, chłopcze, trzeba do Werbiczów ruszać. Panna Felicja pewnie myśli, że jesteś już zaręczony.

-- Biedna ciotka w Krzyżopolu, a mnie tak nieśpieszno stąd odjeżdżać!

-- Kiedy tak, to siedź tutaj, pojedziemy jutro.

-- Stryj odchodzi? -- zawołała Rita.

-- Ano, ja nie jestem na wakacjach, muszę pracować. Gwarzyli tedy we troje dalej, aż i Adaś ich opuścił spłoszony upałem. Zostali sami.

-- Pan nie odczuwa gorąca? -- zauważyła Rita. -- O, nie! Przywykłem do afrykańskiego skwaru.

-- A jednak pracować w taki upał musi być niesłychanie męczącym.

-- Nie wiem jak innym; mnie gorzej męczy bezczynność w skwar. Więcej się myśli o tym utrapieniu wtedy i odczuwa stokroć silniej.

-- Nie lubisz pan próżnować?

-- Mało tego doświadczyłem w życiu. Sądzę, że nie lubiłbym, bo mi już teraz tęskno do pracy.

-- Dłgie pan sobie oznaczyłeś wakacje?

-- Ano, nie wiem, to zależy od ciotki.

-- Przecie to pan masz się żenić?

-- A ja? -- odparł, brwi wznosząc.

-- Cóż to! Ochoty pan nie masz?

-- Owszem, ożeniłbym się z każdą tu poznaną panną, ale jednej wybrać nie potrafię.

-- Bądź pan spokojny. Mężczyźnie się zdaje, że to on wybiera; zostawiono mu ten pozór. W rzeczy samej ożeni się z tą, która go wybierze, zρέcznie w sieć obmota i wmówi, że to ona jest kochana. Jeszcze się będzie drożyła.

Zamyślił się.

-- Ma pani słuszność. Kobiety są od nas daleko chytrzej sze i zręczniejsze.

-- Cóż pan chcesz! Słabość swoją musiałyśmy czymś nad -- sztukować.

-- A pani, czy już wybrałaś ofiarę do swoich sieci?

-- O, już dawno! Lada dzień czekam poddania. Popatrzył na nią niedowierzająco, ale dziewczyna miała minę tak spokojną i poważną, że się nie domyślił drwiny. Westchnął tylko.

-- Szkoda, że nie wiedziałem o tym pierwej. Może bym się ja dostał w te sieci.

-- Cóż robić? Stało się. Oplącze pana ktoś inny.

-- Kiedy bo coraz więcej tracę nadzieję powodzenia.

-- Ileż pan doznał zawodów?

-- Już dwa.

-- Tylko tyle! Bagatela. Może panna Werbiczówna pana pocieszy, chociaż to nie żona dla kolonisty.

-- Dlaczego?

-- Zobacz pan sam. Opowiadać nie będę. U nas, w Rogalach, wykluczona rozmowa o ludziach znajomych. Stryj i my nie cierpimy tego, bo to pierwszy krok do fałszywych sądów i obmowy, a w rezultacie kwasów i plotek. Jest tyle tematów ciekawszych -- o rzeczach.

-- I w tym się zgadzam z panią. My na kolonii nie mamy prawie sąsiadów, więc dopiero tutaj zrozumiałem do jakich potworności dochodzą próżniacze plotki. W Rogalach oddycham swobodnie, a stryj pani po moim ojcu jest mi wzorem!

-- Wczoraj osądziłam pana fałszywie. Dziś pogodziłam się z panem. Nie jesteś pan zarozumiały, samochwał i szanuje pan starszych. W ogóle porządny z pana człek i obiecuję pana wyswatać.

-- Ej, pani, jeżeli nie ze sobą, to nie. Dziękuję.

-- Cóż znowu? Mój wybrany ma lat pięćdziesiąt, stosownie do mojego wieku. Mogę panu być ciotką. Niech pan szanuje moje lata dojrzałe i nie sprowadza mnie z drogi obowiązku dla mego narzeczonego.

-- Czy pani czeka, aby ten szczęśliwiec miał lat jeszcze więcej.

-- Właśnie; tym więcej będzie mnie cenił i nie doznam zazdrości.

-- Pani żartuje. Jeżeli on jednak w tym oczekiwaniu nie oprze się śmierci (nie chcę pani martwić, ale wiek podeszły!), w takim razie stawię się na kandydaturę następcy!

Zaśmiali się oboje.

-- Bardzo dobrze! -- odparła Rita, z przykrością widząc się pobitą, ale gotowa do odwetu.

-- Może pan śmiało żenić się tymczasem. Ja też zadowolę się rolą następczyni, a mój wybrany przeczeka pierwszą żonę pańską niezawodnie. Ma zdrowie żelazne.

Znowu się śmiali ubawieni tą szermierką. Tworzyła się między nimi oryginalna sympatia.

Podobał się jej za tę szczerłość i dobry humor, odnajdywała w nim koleżeństwo ducha i upodobań.

On, pomimo że była nieładna, czuł pociąg do niej, ciekawość, przyjemność, że tak osobliwie była nowym typem i że tak łatwa była z nią znajomość. Było mu z nią po trzech dniach tak swojsko, jakby lata wspólnie przeżyli.

Dalej i dalej snuła się gawęda. Oboje zwiedzili świata sporo, znali różnych ludzi. Jej poglądy były śmiałe, oryginalne, punkt widzenia bardzo często odrębny od utartego szablonu. Podobało mu się to, zastanawiało, budziło śmiech lub podniecało do dysputy. Czuł jednak, że z nikim dotąd czas nie upływał tak mile, i poddawał się bezwiednie wpływom głębokiego umysłu i niepospolitej bystrości sądu.

Dzień upłynął niepostrzeżenie, potem drugi i trzeci. Kostuś nie odstępował Rity, a ona zdawała się wyśmienicie bawić. Chłopak się nie spostrzegł, że jej się zwierzył” z najskrytszych myśli, że jej zdanie miał za własne, że jej się radził i słuchał. Każdego dnia mieli sobie coraz więcej do mówienia. Nareszcie dnia trzeciego Różycki wziął się ostro do swego nowego pupila.

-- No, mój drogi, dzisiaj stanowczo ruszamy do Wer -- biczów.

-- Po co mnie pan tam wlecze? -- zaprotestował pupil.

-- Powinieneś poznać pannę Werbiczównę.

-- Na licha mi ona potrzebna. Nie ożenię się z nią.

-- Skąd możesz wiedzieć.

-- Bo to nie żona dla kolonisty -- powtórzył zdanie Rity z całym przejęciem. -- A zresztą kocham inną.

-- Co? Tę wdowę?

-- Nie, pannę Ritę.

-- A wdowa? Jesteś niepoczytalny. Kochasz każdą po kolei. Doprawdy, nie chciałbym być twoją wybraną. Zresztą Rita to także żona nie dla kolonisty. Bądź więc logiczny.

-- Więc ja wcale .żenić się nie chcę. Nie mam powołania do małżeństwa.

Było to także zdanie Rity, ale on przysiągłby, że miał je od czasu, jak zaczął myśleć.

-- To są brednie. Rozmów się z ciotką. Ja cię do Werbiczów i Janickich zawieźć muszę i basta.

Dałem na to słowo. Ożenisz się, z kim chcesz. Konie już zaprzęgają.

Kostuś zbuntował się zupełnie.

-- Dziękuję panu za jego uprzejmość, ale nie pojedę. Za godzinę opuszczę Rogale i udam się do Pryskowa.

Uklonił się i odszedł. Różycki przestraszony ruszył do pokoju Rity. Pisała listy i przyjęła go z uśmiechem.

-- Czego stryj tak zalterowany? -- zapytała.

-- Co to będzie z Jamontem? Zbuntowałaś go i do Werbiczów jechać nie chce. Po co ty go bałamucisz na żart? To nie ma sensu. Wyleciał obrażony za moje dobre chęci i ucieka do Pryskowa.

Ładnie się pani Felicji przysłużył!

-- A stryj chce, aby jechał do Werbiczów? Ano, to dobrze, zaraz mu powiem -- odparła spokojnie wstając.

Kostuś pakował swoje manatki, gdy go wezwano pod lipę.

-- Jak to dobrze, że pan jedziesz do Werbiczów -- rzekła Rita. -- Poznasz pan nowe typy i stosunki i zobaczysz drugiego po stryju pracowitego gospodarza. Za parę dni spotkamy się w miasteczku u panny Stefanii i będziemy dalej zbierali wrażenia i morały z każdej poznanej rzeczy.

Niech się pan dobrze bawi.

Kostuś natychmiast spuścił z tonu.

-- Doprawdy, pani ma, jak zwykle, słuszność. Uraziłem pana Różyckiego jak błazen. Dlaczegoż nie miałbym jechać? Przecież mnie gwałtem nie ożenią.

-- Naturalnie, a zabawisz się pan. Bardzo jestem ciekawa zdania pana o panie Werbicównie.

-- Opowiem pani moje wrażenie. Zaraz idę przeprosić pana Różyckiego i jedziemy.

Patrzyła za nim, gdy odchodził, i śmiała się dyskretnie. Po godzinie ułaskawiony pupil opuszczał z opiekunem dziedziniec rogalski.

VI

Werbicz był gospodarzem i obywatelem z powołania, z tradycji i z wiekowego doświadczenia i nauki. To znaczy że doznał w życiu wszystkich strat materialnych, zawodów rachunkowych, figłów przyrody, przewrotów ekonomicznych i społecznych. Znał gruntownie złodziejstwo i nieudolność władnych, niespodziane ciężary pieniężne, nieurodzaje i grady, ulewy i susze, epidemie bydłęce, pożary i burze. Wskutek tego nauczył się gruntownie trzech rzeczy: wyciskać pieniądze z kamienia, nie dziwić się żadnemu niepowodzeniu i bez mrugnięcia nawet powieką patrzeć na otchłań u swoich stóp. Otchłań tę przecie nie on sobie zrobił jak inni. On ją dostał w udziale na życie. Postawiły go losy nad nią z przeznaczeniem: to twoje, pracuj!

Werbicz pracował. Za młodu miał nawet iluzję, że ją zapełni. Rzucił w nią całe swoje siły i zapał, pot, myśli, krew, znój niezliczony; potem stracił iluzję, stargał moc i młodość i przekonał się, że może zaledwie utrzymać się na skraju. I tak trwał szamocąc się całe życie. Nie pamiętał żadnego wytchnienia w pracy, żadnej nagrody, żadnego momentu jasnego. Może i były kiedy te błyski, ale on nie miał czasu i humoru rozgrzebywać starych rumowisk.

Za młodu przecie ożenił się z miłości' i bogato, żona jego ledwie jak cień przemknęła się w domu jego. Przeżyli z sobą rok, przez który ani jednego dnia nie była zdrowa. Suchoty zabierały ją powoli, nieubłaganie. Zostawiła córeczkę paromiesięczną i umarła.

Po paru latach różne ciotki i kuzynki ożeniły powtórnie Werbicza. Panna była bez posagu, ale zdrowa, ładna i energiczna. Wzięła ostro w ręce gospodarstwo, będąc pewną, że mąż jest pantoflem.

Nie, on pantoflem nie był, ale znękany już i zimny, milczeniem i zgodą okupywał spokój domowy.

Dzieci zaczęły przybywać co roku, a z dziećmi zwiększenie potrzeb i wydatków. Dom się zaludnił niańkami i mamkami, potem przybyły bony i guwernantki cudzoziemki, które kształciły młode pokolenie Werbiczków na eleganckich paniczyków i panienki bardzo układne.

A było tego pokolenia już sztuk sześć, gdy dając życie siódmemu, pani umarła. Spowodowało to straszny zamęt w domu, rady ciotek i kuzynek, projekty ponownego ożenienia, ale Werbicz rady i projekty odrzucił stanowczo i został ze swoją gromadką piskląt bezradny.

Wówczas to najstarsza córka, Zosia, została pasowana na gospodynię domu, matkę i opiekunkę całego tego drobiazgu. Miała wtedy lat piętnaście, ale nikt nie pytał, czy może podołać obowiązkowi. Oddawała się z zapałem naukom, przerwała swoje kształcenie; była słabowita i wątła, nie było o tym mowy; posiadała cały posąg matczynej, liczyła się do bogatych, a nie widziała nigdy grosza tych swoich dostatków i została wprzęgnięta w obowiązki i pracę z zimną bezwzględnością, z tyranią koniecznością nie otrzymując za to nawet uznania.

Piętnaście lat znowu jej upłynęło, nielekkich zapewne, ale nikt o tym nie wiedział. Dziewczyna była harda i milcząca, w domu panował jakiś chłód i fałszywa duma, nie pozwalająca rozczulać się, poskarżyć, nawet pośmiać lub pogwarzyć sposobem pospolitych ludzi.

Byli wszyscy tacy w tym domu. Bardzo przyzwoici, umiarkowani, powściągliwi w obejściu,

etykietalni, lodowato uprzejmi, śmiejący się z lekkim sarkazmem, względem obcych nieprzystępni i nietowarzyscy, między sobą zjednoczeni nie serdecznością szczerą i prostotą, ale podobieństwem natur, wspólnością złych interesów ukrywanych umiejętnie i poczuciem odrębności kastowej.

Werbicz przez ten czas borykał się dalej ze swą złą dolą. Wydatki wciąż rosły: na utrzymanie domu, na nauki, na elegancję panien, na podróże i miastowe potrzeby synów.

Nie miał czasu poznawać dzieci, badać ich charakterów, wpływać, kształcić wedle swoich poglądów, żyć z rodziną i w rodzinie.

Obejrzał się dopiero na nie, gdy poczuł upadek sił, wyczerpanie, starość. Wtedy ze zgrozą ujrzał, że żaden z trzech synów nie będzie mu pociechą i pomocą.

Byli to ludzie zmęczeni już, chociaż jeszcze pracować nie zaczęli; znudzeni, choć czasu jeszcze nie mieli bawić się; wykształceni, maturzyści, z dyplomami różnych wydziałów, a niezdolni do żadnej kariery i praktycznego spożytkowania swoich wiadomości.

Najstarszy, kandydat praw, bawił stale w domu i zajmował się czytaniem podróży i odkryć geograficznych; młodszy, filolog, także od roku był w domu i oddawał się botanice i zbyt kownemu ogrodnictwu. Najmłodszy, gimnazista, uczył się lichy, był słabowity i chorobliwie nerwowy. Ten nie okazywał nawet gustu do niczego i podczas wakacyj rzadko wychodził ze swojego pokoju.

Zresztą byli wszyscy dobrze wychowani, nie robili długów, nie mieskali żadnych fantazji i wegetowali w ciszy, nikomu wody nie mącąc. Córki wegetowały podobnie i tylko jedna Zosia pracowała, myślała, utrzymywała dom na stopie dawnej, pilnowała ich i była zawsze na usługi.

Rozejrzawszy się po swoich dzieciach, Werbicz dalej pracował sam, nie winiąc ich ani starając się do pracy nakłaniać. Po co? Byli tacy, bo się takimi urodzili, a pracować nie warto. Może im się szczęśliwiej ułoży żywot wskutek apatii niż jemu, który żył za młodu zapalem i wiarą.

Zostało tedy wszystko po dawnemu. Myślał przez chwilę, aby ich pożenić; dla jednego wybrał

Tedwinównę, dla drugiego Ritę Różycką. Myślał, ale im o tym nie powiedział, bo w rodzinie tej nie poruszano nigdy osobistych kwestyj, młodzi zaś nie mieli ochoty do małżeństwa. Myślał też, że warto Zosi oddać fundusz po matce, ale skąd by dopełnił w budżecie procent od tego kapitału, którego lat tyle używał? Zostało więc wszystko po dawnemu. Na starość Werbicz, w chwilach wolnych, lubił czytywać gazety, palić mocne cygara i pić herbatę. Te trzy niewinne przyjemności zapełniały mu długie, samotne wieczory w gabinecie, gdy nie było gości. Domowi spędzali wieczory osobno.

Z czytania gazet, pleśni partykularza i ciasnoty horyzontu, wyrodziła się też w Werbiczu na starość mania politykowania.

Gdy się zjechał z sąsiadem, przegadawszy kwestie lokalne, gospodarskie i ekonomiczne, rozpoczynał dzielić Europę, a czasami zapędzał się i do Azji. Dzielenie to miało za podstawę nie logikę i równowagę społeczną, ale własne chęci Werbicza i jego widzimisię. Były to dziwolągi polityczne, ale rzecz dziwna, Różycki, który rad żartował i drwił z bliźnich, nigdy nie śmiał się z Werbicza i

słuchał go cierpliwie. Szanował te ostatnie marzenia biedaka.

Wszystko to opowiedział pan Erazm Konstantemu po drodze do Zagajów, tak że młody człowiek, wchodząc do obcego domu, znał już jego mieszkańców. Nie zdziwił się więc wyciętym lasom i polom licho uprawnym ani budowłom stawianym z lichego materiału. Nie dziwiła go postać gospodarza wyniszczona, sucha, twarz żółta i pomarszczona, głowa siwa.

Poznał prawnika, patrzącego spod brwi ponuro, i filologa, uśmiechającego się zimno. Odnalazł

w młodszych panienkach znudzenie i dumę, w starszej, skończony, dodatni typ kobiety dojrzałej, rozumnej, chłodnej i umiarkowanej, wskutek długiej pracy nad sobą.

Nastrój całego domu był mroźny i sztywny, poglądy zaprawione gorzkim sarkazmem lub martwą obojętnością, całe otoczenie, atmosfera, sprzęty, zda się, mówiły, że tu długo żyją ludzie nie prostą, szczerą radością lub smutkiem, ale sztuczną, wytworzoną fałszywie egzystencją.

Kostuś, nawykły do biedy rzetelnej w dzieciństwie, do wywalzonego bytu, do prawdy i szczerości, do złego i dobrego w pierwotnych formach, czuł się tu nagle jakby spętany, odrzucony, zalekziony, że się znalazł gdzieś, gdzie go wcale nie pragną, ostro, choć milcząco krytykują. Czuł, że drętwieje; drżał, by nie popełnić niestosowności, chciał być bardzo delikatnym, dostroić się do tonu, a zarazem czuł, iż jest bardzo niezgrabny, śmieszny, głupi.

O, jakże zazdrościł Różyckiemu! Ten po pięciu minutach już dzielił Europę ze starym Werbiczem, potakiwał jego mrzonkom, poddawał jeszcze dziwniejsze komplikacje, burzyli już nawet granice geograficzne i etnograficzne. A Kostuś tymczasem, pozostawiony z młodzieżą, stawał się coraz lakoniczniejszym.

-- Jakże się panu podobały tutejsze strony? -- spytał go filolog, uśmiechając się zawczasu szyderczo.

-- Owszem; poznałem dużo ciekawych rzeczy.

-- Zapewne krajobraz. Za laskiem piasek, a za piaskiem lasek. Nadzwyczaj malownicze.

-- Stan dróg jest ciekawy -- burknął prawnik.

-- Polowania musicie mieć państwo wyśmienite? -- zauważył Kostuś po chwili milczenia.

-- Jeśli to kogo może bawić -- bąknął filolog pogardliwie.

-- Wieś ma swoje uroki.

-- A ma, chłopów i Żydów -- odparł prawnik.

-- Państwo posiadacie piękną rezydencję.

-- Jeśli się nic piękniejszego nie widziało, to się zna niewiele.

-- Towarzystwo i sąsiedztwo liczne.

Na to już nikt nie odpowiedział, tylko spojrzano po sobie dwuznacznie, a Kostuś zrozumiał, że powiedział coś niestosownego i do reszty stracił rezon.

-- Anglia weźmie Skandynawię -- decydował Werbicz tymczasem z zapalem.

Jamont gotów był ustąpić Anglii nawet Hiszpanię, byle go przyjęto do tamtej rozmowy.

Ale właśnie w tej chwili panna Zofia powróciła do salonu i zajmując miejsce spytała:

-- Czy dużo pan poznałeś ludzi u nas?

-- Trzy domy. Holanickich w Pryskowie...

Zająknął się, bo uśmiechy szydercze stały się jeszcze wyraźniejsze.

-- Państwo ich znacie zapewne.

-- Nie bywamy! -- odparła panna Zofia. -- Ale wszakże to podobno krewni pana?

-- Tak -- odparł półgębkiem, czując w tej chwili, że ośmiesza się wobec nich tym pokrewieństwem.

-- Jest tam młody człowiek bardzo oryginalny -- rzekł filolog.

-- Mnie się obydwaj wydawali zrazu dziwni, ale łatwi są do poznania i do zrozumienia -- rzekł. --

Zresztą poznałem Tedwinów i rodzinę pana Różyckiego. Ci może znajomi państwu?

-- Mniej więcej tak! -- zimno potwierdził filolog. A prawnik burkliwie dodał.

-- My poza rodziną mało uprawiamy stosunków.

Kwestia więc i tu była wyczerpana. Panna Zofia w milczeniu patrzyła na koniec swojego bucika; siostry młodsze wchodziły lub wychodziły z pokoju; filolog, zapaliwszy papierosa, śledził obłoczek dymu, prawnik ponure oczy wlepił w ziemię. Milczenie stawało się uciążliwe, gdy nareszcie Różycki przyszedł w pomoc pupilowi. Werbicz wyszedł, odwołany interesem, więc się pan Erazm przysiadł do panny Zofii.

-- Znalazłaś pani co godnego wzmianki w ostatnim zeszycie „Revue des Deux Mondes”?

-- Przede wszystkim dziękuję, żeś mi pan to przysłać Owszem, artykuł o kwestii monetarnej był ciekawy.

-- A powieść, którą pani zalecałem, podobała się?

-- Wykonanie tak, temat nie.

-- Czy pani aż tak dalece jesteś purytanką? -- uśmiechnął się.

Uśmiechnęła się i ona bardzo lekko, dosyć jednak, żeby Kostuś zauważył, iż twarzy jej właśnie brakło uśmiechu, aby była ładną. Przyjrzał się też jej uważnie.

Średniego wzrostu, zgrabna, miała klasyczne ręce i nogi, rys wybitny od wieków wydelikaczonej rasy, która nie pracuje; głowę osadzoną dumnie, włosy popielate, oczy siwoszare, rysy kształtne.

Byłaby zupełnie ładna, żeby twarz ta nie miała wyrazu chłodu i dumy, oczy nie patrzyły tak obojętnie, usta znały uśmiechy. Tak jak była, robiła wrażenie zimowego, martwego krajobrazu, którego ostre kanty osłania szron lodowaty. Na żartobliwą uwagę Różyckiego odpowiedziała poważnie:

-- Purytanką nie jestem, ale znajduję niemoralną powieść, w której złe przedstawiają uroczo i doprawdy nie pojmuję beletrystyki francuskiej. Piszą fałsze, bo nie wierzę, by taki rozkład był obrazem społeczeństwa.

-- Ależ to są bardzo ciekawe zagadnienia psychiczne!

-- To nie powinno być zagadnieniem, ale faktem, chorobą, o ile możnaści ukrytą.

-- Więc pani nie tolerujesz miłości.

-- Nie toleruję oszukaństwa. Nie powinno być kwestii między miłością i honorem.

-- Mężczyźni przyklasnęliby pani; szczególnie zdradzeni mężowie.

-- Nie mieliby racji, bo utrzymuję tę zasadę dla obojga płci.

-- Fabrykacja zasad nic nie kosztuje, można sobie na nią pozwolić -- zauważył sarkastycznie filolog.

-- Szczególnie, jeśli się nie troszczy o nabywców! -- dodał brat.

-- Jednak -- wtrącił Kostuś -- nie możesz pan zaprzeczyć, że i zasady, i honor są na świecie szanowane i praktykowane.

-- Nie zdarzyła mi się sposobność spotkania tego.

-- To żałuję pana! -- rzekł chłopak, czując, że zaczyna w nim grać oburzenie. -- Byłem w szkołach, w wojsku, należałem do stowarzyszeń i klubów, miałem pieniądze i moralne rozprawy i mogę śmiało twierdzić, że nigdzie nie była tolerowana i chwalona nieuczciwość, oszustwo i krzywda, a zasady i honor mieliśmy na swoim godle! A znam młodzieży i kolegów w swoim wieku legion!

-- Należysz pan zapewne do marzycieli i utopistów.

-- Wcale nie. Nawet nie należałem nigdy do bohaterów i zapaleńców. Stałem zawsze w szeregu szarym, obcowałem z przeciętnymi typami różnych warstw. Spotykałem rzetelne cnoty między

podobnymi sobie, wcale nie wybitnymi ludźmi, którzy z tego nie czynili sobie chluby i sławy, a uważali za najprostszы obowiązek i rzecz powszednią.

-- Wiele rzeczy zdaje się ludziom, którzy sądzą powierzchownie i wierzą pozorom.

-- I to nie -- wmieszał się Różycki -- tylko wy, moi panowie, mówicie swoje, a on swoje. Wy jesteście chorzy pesymiści, a on wychowany zdrowo i normalnie. Nie porozumiecie się nigdy.

-- Udało się panu pozostać długo młodym -- zakończył uparcie filolog tonem lekceważącej wyższości.

-- Nie róbcie mu z tego grzechu -- zaśmiał się Różycki. -- Powinien być młodym i silnym, bo ma przed sobą wiele do czynienia. Może się ożenić, założyć rodzinę, wychować dzieci, dać im chleb i przyszłość, sobie zapewnić spokój na starość. Żeby nie miał młodości, jakżeby temu podołał?

-- Świat może się doskonale bez tego obyć. Zakładanie rodziny i pomnażanie ludzkości w obecnych warunkach jest bardzo wątpliwą zasługą.

-- Pewnie, pewnie. Chore osobniki czynić tego nie powinny, ale zdrowi i użyteczni nie potrafią nawet zasklepić się w egoizmie i martwocie.

Konstanty, czując sukurs, roześmiał się.

-- Teorie pesymistyczne nie są dla mnie nowością; grasują one i na Zachodzie. Spotykałem często mizantropów i desperatów podobnych. Byli albo bardzo bogaci, albo wykolejeni, albo leniwi i słabi. Patrzyłem na nich dziwiąc się, po co żyją i jak żyć mogą. Nie zdawali mi się niczym wyższym i rozumniejszym, chociaż to ma być objaw wyskoku umysłowego. Wyleczyłaby ich rychło rzetelna potrzeba chleba.

-- Pan wyobrażasz sobie, że ludzie głodni myślą tylko o chlebie, a nad ogólnym stanem ludzkości nie mogą się zastanawiać!

-- Myślę, że żaden z panów głodu nie rozumie ani w literalnym znaczeniu pracy o byt. Tutejsze społeczeństwo jest tak jednostronne. Mówię o warstwie, którą poznałem dotychczas. Każdy ma obszary ziemi, jest rządcą, królikiem, rachmistrzem, ma na pomoc kredyt, dysponuje, dogląda, ale nie pracuje w ścisłym znaczeniu słowa i nie bywa głodny literalnie. Jest nieszczęśliwy, z głową przepełnioną fatalnymi rachunkami, ale ma dach nad głową i obiad zapewniony, więc może sobie pozwolić na roztrząsanie kwestyj społecznych i bawienie się w pesymizm. Inaczej dzieje się u nas, na koloniach. Za pieniądze kupujemy kawał ziemi, z której mamy tyle, ile zechcemy własnymi barkami i rękami zapracować. Możemy mieć tylko chleb i opłacone podatki, możemy zbierać pieniądze, możemy zostać nędzarzami bez dachu, żyjącymi z dnia na dzień. Znam ludzi, którzy z kolonistów zamożnych spadali na tragarzów portowych lub wyrobników dziennych i dobijali się znowu dobrobytu. Znam w tamtych stronach zbójców i oszustów, próżniaków i łotrów, znam wszystkie typy, ale nie widziałem nigdy pesymisty z zawodu. To jest wykwit skomplikowanych warunków życia.

-- Przyzna pan jednak, że do życia, o którym mówisz, trzeba być inaczej hodowanym i wychowanym. Nie każdy może być tragarzem.

Tu filolog spojrzał ukośnie na ręce Jamonta, a potem na swoje.

-- Może być, gdy musi, -- odparł Konstanty -- a musi, gdy głodny i nie ma gdzie być pasożytem.

Naturalnie mówię o młodych i zdrowych, bo starzy to skarb, który młody powinien strzec i otaczać opieką jako klejnot rodzinny. I tu się zaczyna sfera obowiązków. U nas po pracy bywają dni spoczynku, wtedy się pragnie towarzystwa. Bywają zajęcia rozliczne potrzebujące pomocy, więc kolonista żenić się musi. Obowiązki przybywają, ale rodzina to już nie jeden samotny robotnik, to gromada, to siła.

-- To zupełnie zapatrywanie naszych chłopów.

-- To zapatrywanie pierwotnego ustroju społecznego -- rzekł Różycki. -- Na takich nowych kresach muszą zaczynać od początku. To proste i logiczne.

-- Można tylko zazdrościć ludziom podobnej żywotności i prostoty potrzeb -- wtrąciła panna Zofia.

-- Zdrowia i ochoty do życia -- dodał brat.

W tej chwili z kąta salonu rozległo się głębokie westchnienie. Był to Werbicz, który, wróciwszy niespostrzeżenie, słuchał milcząc. Zdania swojego nie wyraził, tylko odtąd patrzył na Konstantego z widocznym uznaniem.

Po obiedzie panna Zofia zaproponowała spacer konny i gdy starsi panowie przeszli do gabinetu na naradę gospodarską, młodzieży podano wierzchowce.

Po drodze Konstanty starał się dowiedzieć o uprawie pól i ich produkcji, ale młodzi ludzie zbywali tę kwestię lekceważąco, jakby nie stanowiła ona w ich bycie żadnej wartości. Filolog zaczął

opowiadać swoje stosunki uniwersyteckie z młodzieżą arystokratyczną, zabawy, polowania; prawnik burczał też swoje wspomnienia z podróży za granicą. Jeden i drugi zachowywali zawsze ton krytyczny i sarkastyczny.

Potem Jamont zagaił rozmowę z panienkami. Pytał o zakres i stan gospodarstwa kobiecego, o lud miejscowy i jego warunki. Młodsze odpowiadały lakonicznie, z uśmiechem naśladowanym od braci; panna Zofia, przeciwnie, mówiła ze znajomością rzeczy, ale chłodno. Konstatowała rzeczy złe lub dobre, wyliczała prace kobiece, cytowała cyfry dochodu, wszystko obojętnie, bez śladu zajęcia rzetelnego i młodego zapału.

Spacer trwał parę godzin; za powrotem zastano jakichś gości, równie sztywnych, mówiących szeptem, patrzących nieufnie. Wieczór upłynął monotonnie i męcząco.

Gdy się Kostuś nareszcie znalazł sam z Różyckim, przeciągnął się i odetchnął z głębi piersi.

-- Uf! -- stęknął. -- Jestem zmęczony, jakbym w pełnym umundurowaniu odbywał paradę przed samym prezydentem Rzeczypospolitej.

-- No, no! -- upomniał Różycki -- trochę form wam młodym nie szkodzi. W każdym razie są to wszyscy porządni ludzie.

-- Tak, ale nieszczęśliwi. Żal bierze, patrząc na nich i słuchając.

-- A panna Zofia?

-- To samo czuję dla niej, bezmierny żal. Chciałbym ją zabrać stąd, żeby odetchnęła innym powietrzem, spojrziała na inny świat, wypoczęła, robiła, co jej się podoba, i żeby często, ciągle się uśmiechała.

-- Doskonale -- rzekł Różycki zacierając ręce. -- Werbicz tobą zachwycony, starym ciotkom podobałeś się, panna była dla ciebie wyjątkowo uprzejma. Interes może się zrobić.

-- Panna wyjątkowo uprzejma? -- powtórzył Kostuś, szeroko otwierając oczy. -- Jakaż ona jest, gdy nie jest uprzejma? To kawał kamienia! --

-- Mniejsza! Tym przyjemniej będzie ją ożywić.

-- Zapewne. Zresztą będzie inną, gdy będzie żyła dla siebie. Jestem pewny, że będzie wtedy i ładną, i miłą. Doprawdy, podobała mi się bardzo i wdzięczny panu jestem za przywiezienie tutaj.

Zanim zasnął, długo jeszcze myślał o niej. W jego żywym umyśle już zajmowała miejsce wdowy i Rity, już wyobrażał sobie, jak ją zdobędzie i jak ją wyzwoli z okropnej atmosfery domowej.

Następnego dnia myśl ta wciąż dojrzewiała. Odnajdywał w pannie coraz to nowe przymioty, jej takt i miarę, porządek i ład w domu, powściągliwość, obojętność, słowa. Poza jej urokiem zniknęły nieprzyjemne cechy domu: moralne kalectwo braci, sztuczność sióstr, ironia wszystkich. Tylko myślał z rozkoszą, jak ją stąd wyrwie i uszczęśliwi.

Wyjechał rozmarzony i całą drogę zwierzał się ze swoich planów Różyckiemu, który potakiwał

wszystkiemu, bardzo z rezultatu jazdy zadowolony. Zaopatrzył się w fotografię panny Zofii w celu pokazania jej pannie Felicji i cieszył się, że jej tak dobrze usłużył.

Nagle w pół drogi Kostuś się odezwał:

-- Chciałbym bardzo zobaczyć się z panną Ritą. Panna Werbiczówna jednakże nie ma ani jej szerokiego poglądu, ani wybitnego rozumu.

-- Et, brednie! -- odparł Różycki. -- Rita miałaby mnóstwo do nauki od panny Zofii, żeby nie wyobrażenie o swoim rozumie. Jurek, zawracajże do Jagodzina!

-- Gdzie jeszcze? -- zdziwił się Kostuś.

-- A do Janickich. Przecie nie darowaliby mi do śmierci, że do nich nie przywiozłem kawalera.

Mają trzy panny na wydaniu.

-- Och! -- stęknął Kostuś. -- Ale już będą ostatnie, nieprawda?

-- Tak. Potem już będziesz wybierał.

-- Żeby je mieć wszystkie w Algierze, to wiek zbyłbym jeżdząc od jednej do drugiej. To bieda, że tylko jedną wybrać trzeba.

-- A ja bym ci pewnie i trzech nie żałował, tyle ich tu' siedzi.

Jurek skręcił w lewo. Minęli parę wsi brudnych, kilka lasów sosnowych, kilkanaście mostów dziurawych i wreszcie wjechali między topole wysady dworskiej i na podwórze otoczone krzewami.

Na widok zaprzęgu w domu powstał ruch i bieganina, w oknach ukazywały się i nikły różne głowy, słysząc było wołanie.

Gdy jednak stanęli pod gankiem, nikt na spotkanie ich nie wyszedł i dopiero po kilku minutach oczekiwania wpadł do sieni chłopak służebny, zasapany i czerwony, i wprowadził ich do jadalni, gdzie resztki obiadu i herbaty łączyły się, na stole w nieładzie zupełnie nieestetycznym.

Na bocznych stołach walały się książki i robótki, stały słoje i koszyki zdradzające, że mieszkańcy pokoju tego używają do wszystkiego.

Ruch, wywołany przybyciem gości, trwał dalej, lubo stłumiony i dochodził do nich w postaci dalekiego szmeru rozmów, bieganiny, suwania sprzętów i ciężkiego sapania chłopca kredensowego w sąsiednim pokoju.

-- Panie się stroją. Musiały być przy zajęciu gospodarskim w szatach niedbałych -- szepnął Różycki.

Zatrzymał przebiegającego chłopca.

-- Słuchaj no, pan w domu?

-- Ej, nie.

-- Dawno wyjechał? Dokąd? m

-- Ja zapomniał. „Gdzieści” daleko, będzie temu ze dwa tygodnie.

-- Naturalnie, zgrywa się „gdzieści”! -- zamruczał pan Erazm -- a gospodarstwo na woli Bożej.

Jakim cudem ci gracze trzymają się na świecie, kiedy powinni dawno chodzić z torbami?

-- I co szczególniejsze w tym kraju -- dodał Jamont -- że bogaty i biedny, bankrut i kapitalista, wszyscy żyją na jedną skalę. Dużo widziałem, ale podobnej osobliwości nigdzie nie spotkałem.

Rozmowę przerwało wejście gospodyni domu. Była to osoba jeszcze niestara, ale zaniedbana, roztyła, kobieta, która już przestała myśleć i dbać o siebie. Wypadła z serdecznością wielką i okrzykami.

-- Co za miła niespodzianka! Co za rzadki gość! Nie wierzyłam oczom! Pan taki niełaskaw na nas, tak rzadko bywa.

Słowa były dla Różyckiego, ale spojrzenie ciekawe, niespokojne, pożądlive dla Kostusia.

Instynktem matki wietrzyła konkurenta, a zbyt była szczera i prosta, aby mogła ukryć radość z jego widoku.

Gdy pan Erazm dopełnił formy poznania, miała ochotę uścisnąć młodego człowieka, rozpadała się w uprzejmościach.

-- Ale gdzież to panów wprowadzono? Proszę, proszę do salonu, zaraz podadzą herbatę.

Mojego męża nie ma w domu, a moje panny przy robocie, bo teraz czas gorący. Ach, mój Boże!

„Panowie pewnie spragnieni po upale, zaraz każę podać owoców i konfitur. Józiu, Maryniu, Zosiu, chodźcież!

Mówiła bez ustanku, podniecona, szczęśliwa, widząc już w myśli chwilę oświadczyn i szycie wyprawy, a przy tym trwożna, aby córki, pozbawione jej kierunku, nie ukazały się nie dość elegancko ubrane, nie chybiły pierwszemu wrażeniu konkurenta.

Dogadzała też mu, nadszkwiała, zносиła przysmaki, patrzyła w oczy z uwielbieniem, rada odgadywać myśli i życzenia. Kostuś był okropnie zażenowany, Różycki śmiał się w duchu ubawiony setnie tą sceną.

Nareszcie ukazały się panny, postrojone ceremonialnie, z minami dostrojonymi do okoliczności: naiwności parafialne, chcące udawać wysoki ton. Matka rozkochanymi oczyma śledziła ich ruchy, badała stroje, uśmiechała się z lubością i ukradkiem szukała na twarzy Kostusia wrażenia.

Ładne to były dziewczęta. Dobrze zbudowane, zdrowe, twarzyczki różowe i białe, duże warkocze, szkodziło im tylko to właśnie, co one uważały za piękne. Więc zbyt strojne figury, sztucznie wyciśnięte, włosy uczesane w loki i figle, cera zbyt biała, ruchy nienaturalne. Kłaniały się jak laleczki i siedziały rżędem na kanapie, nie śmiejąc śmieiej odetchnąć, ręczki trzymały złożone bezczynnie i wszystkie patrzyły na pana Erazma, broń Boże na Kostusia. Były tak zabawne, że chłopak z trudnością hamował wesołość i miał złośliwą ochotę spłatania im jakiego figla, przestraszenia, co niebądź, byle obedrzyć raptem maskę i zobaczyć, jakie będą prawdziwe.

-- Cóż, panienki, jakże wasze gospodarstwo? -- zagał rozmowę pan Erazm.

Dwie zaśmiały się tylko, najstarsza, Józia, odpowiedziała:

-- Et, jakie tam gospodarstwo; pan sobie z nas żartuje.

-- Za pozwoleniem. A któż tu gospodaruje?

-- Tatko i mama -- zaszcebiotała Józia.

-- No, no, firma poważna. A kiedyż tatko wyjechał?

-- Nie pamiętam. Przed paru dniami.

-- A tymczasem swoje się robi. Wiem ja, wiem, że te białe rączki umieją dobrze pracować.

-- Pan dobrodziej je zawstydzą -- wmieszała się matka. -- Jakżeby panienki mogły gospodarza zastąpić, zajmować się robotą męską? Nie pozwoliłabym nigdy na to. Dał mi Bóg dzieci nie na to, abym się nimi wysługiwała. Niech się bawią i hodują, póki w domu.

-- Śliczne słowo pani dobrodziejki. Niech się hodują, a jeszcze lepiej, niech do końca życia nie będą zmuszone pracować. W naszym kochanym kraju udaje się to jeszcze dotychczas. Ot, już za granicą cięższe warunki. Ten chłopak oto szuka żony i otwarcie się przyznaje, że ją bierze na ciężką pracę.

-- Nie może być! -- zdumiała matka. -- A toż tam w Algierze, powiadają, daktyle i pomarańcze rosną jak u nas pokrzywy.

-- Rosną daktyle, ale nie rosną chlōpi, i kto daktyla chce zjeść, musi go sam sadzić, pielęgnować, polewać, inaczej umrze z głodu.

-- Ach, mój Boże! -- jęknęła Janicka rozdarta między namiętnością wydania córki za mąż, a trwogą nad losem gospodarstwa bez chlōpów.

Jednakże nie zaprzeczyła, gdy naiwnie rezolutna Józia wyraziła swoje zdanie:

-- My też często polewamy grzędy w ogrodzie. To wcale nie ciężko i zabawnie.

-- Ja raz wyhodowałam daktyla z pestki -- odezwała się druga z rzędu, Marynia. -- Był już, ot, taki duży, ale -- zachichotała -- już go nie ma.

-- Nie miał właściwego gruntu i klimatu -- rzekł Konstanty.

-- Ej, nie, ale go kot mamy wydrapał!

-- A, zbójca! -- roześmiał się Jamont, rad, że może wyjść z ciężącej mu powagi.

-- Co to za napaść na mojego kota! -- ujęła się matka. -- On nigdy żadnych szkód nie robi.

Tu natychmiast chór głosików zaprotestował:

-- Mama zawsze go broni. A któż pobił miecznik onegdaj? A kto podał poduszkę na kanapie?

A kto się dobrał do wędliny?

-- Oddać go pod sąd i powiesić! -- zdecydował poważnie Różycki.

Tu panny, dla okazania dobrego serca, podniosły lament.

-- Ach, nie, nie! Taki śliczny kotek!

-- Moje dziateczki, one nie skrzywdziłyby muchy! -- rozczuliła się matka. -- Takie to łagodne, dobre!
A możebyś co zagrała Józieńko? Pokaż, co umiesz!

-- Ależ nie, proszę mamy, fortepian rozstrojony! -- broniła się Józieńka.

-- To nic, to nic, panowie wybaczą. Wiadomo, na wsi o stroiciela tak trudno. Ona gra, ładnie gra, i śpiewu się uczyła. Mieliśmy zawsze rodowite Francuzki z muzyką i rysunkiem. A te dziewczęta takie pojętne, wszystko w lot objęły. Józia gra i śpiewa, Marynia każdy wzór skopiuje, choćby było na nim nie wiedzieć ile drzew i domów, a Zosia mogłaby nawet z Niemcem się rozmówić, a ciągle czytałaby tylko książki. Już to na ich edukację niczego nie żałowaliśmy z mężem.

-- Słusznie. Teraz na świecie bez nauki ciężko -- potwierdził Różycki. -- A talenta uprzyjemniają bardzo życie wiejskie. Niech się pani nie droży, panno Józefo, i da nam przyjemność J usłyszenia swojego głosu, który, wnoszę, jest srebrzysty.

Panienka po chwilowym certowaniu zbliżyła się do fortepianu, wezwała siostrę do pomocy i wreszcie rozpoczęła drżącym głosem jakąś piosnkę ukraińską, tak żalną, że śpiący pod kanapą wyżeł zawył i został wśród oburzenia całej rodziny sromotnie wygnany do ogrodu. Po tym epizodzie śpiew skończył się i bez przeszkód, z wielką pochwałą i uznaniem gości, a rozkoszą pani Janickiej.

Następnie panna Marynia musiała przynieść swoje arcydzieło, ekran do kominka wyszyty na kanwie z własnego jej rysunku. Przedstawiał bukiet róż z zagadkowym dodatkiem palącej się pochodni i motyla rozmiarów sójki.

Teraz już zupełnie szczerze zachwycił się Kostuś cierpliwością nad utworzeniem tak zawiłej i żmudnej kombinacji dla tak bezużytecznego sprzętu. Chciała jeszcze rozkochana matka zaprodukować erudycję Zosi, ale ten punkt egzaminu i popisu chybił. Dziewczyna oblała się szkarłatem, wyłamała palce ze stawów, kręciła się na krześle i nie powiedziała nic rozumnego ani cudzoziemskiego.

Potem gospodyni domu zaproponowała spacer i manewrowała tak, że Kostuś znalazł się na ścieżce sam z Józia. Panienka miała minkę skromną i zażenowaną, on miał minę głupią i rzetelnie nie wiedział, co mówić. Zaczął chwalić porządek ogrodu.

-- Panie tym zapewne same się zajmują?

-- Nie, ogrodnik -- odparła. -- My tylko pilnujemy kwiatów.

-- Czy kwiaty tu przynoszą cokolwiek dochodu? -- spytał praktycznie.

-- Ach, któż by kwiaty sprzedawał? Hodują się do ozdoby.

-- Panie macie pewnie dużo znajomych i wesołe stosunki?

-- E, gdzież tam! -- odeła usteczka. -- Raz na rok trochę potańczymy. W naszych stronach tak mało młodzieży i ruchu! Panowie ciągle grają w karty. Żebym nieśmiała moich przyjaciółek, Świdnickich, to chyba wstąpiłabym do klasztoru.

Tu na zakręcie ścieżki spotkali mamę z panem Erazmem i Kostuś już się pilnował, aby ich nie stracić. Przyłączyły się też dwie młodsze panienki i już gromadą skierowano się ku domowi.

Podano znowu owoce i konfitury, a gdy Różycki kazał konie zaprzęgać, gospodyni przyjęła to jako osobistą obrazę.

-- Ależ czy to się godzi, czy to po sąsiedzku odjeżdżać bez kolacji? Podano by zaraz! Myślałam, że mili goście zostaną na noc. Niech pan, się da uprosić, daruje nam ten wieczorek.

-- Niepodobna, łaskawa pani. Dziś jeszcze musimy być w miasteczku. Na mnie czekają interesy terminowe, a na niego ciotka.

-- Dawno też nie miałem wieści od ojca -- dodał Kostuś. -- Spodziewam się zastać list w mieście.

-- Ależ to krzywda taki zawód! Proszę chociaż obiecać, że panowie nas, wracając do Rogalów, nie miną. Doprawdy, nie mogę się pogodzić z myślą, że to tak krótko. Może chociaż panowie pozwolicie herbatki?

-- Serdeczne dzięki! Wyjeżdżamy syci na dobę. Całuję rączki! Proszę mężowi zalecić, aby się ze mną na kontraktach nie rozminął. Liczę na jego pomoc w sprawie wspólnego ubezpieczenia od ognia.

Pożegnania ciągnęły się kwadrans, przeniosły się z salonu do jadalni, z jadalni do sieni, stamtąd na ganek.

Nareszcie goście siedli do powozu i ruszyli wśród ostatnich okrzyków pani domu. Panienki wyglądały zza jej pleców. Powóz był za bramą, gdy twarz jej straciła uprzejmy uśmiech. Zwróciła się do córek i odsapnęła.

-- Dzięki Bogu, że nie zostali na kolację; ani kawałka mięsa w domu! Byłam w takim strachu, że zanocują. Herbaty jak na jeden raz i świece wyszły.

-- A w gościnnym pokoju suszy się mąka. -- rzekła Józia.

-- No, udało się! Byłyście dobrze ubrane, a jak prędko wyszłyście! Bardzo przyzwoity młody człowiek i' przystojny. Różycki mi mówił, że chce się żenić koniecznie i na posag się nie ogląda, bo fundusz zebrał tam gdzieś we Francji. Uważałam, że bardzo się Józci przyglądał. Do twarzy było wam w tych sukienkach. Kto wie, może co z tego i będzie. Trzeba napisać kartkę, żeby ojciec przywiózł z

miasta wina, żelatyny i wanilii. Niezawodnie wstąpią wracając. Każemy zrobić lody.

-- Mnie on wcale się nie podobał; głowę ma tak ostrzyżoną, jakby był łysy! -- rzekła Marynia ruszając ramionami.

-- Może ładniej nosi włosy Stocki albo Wojnicz? -- ujęła się Józia za domniemanym konkurentem.

-- A mnie się zdaje, że on drwił z nas -- ozwała się Zosia.

-- Drwił? Czego? Cóż to? Zastali was przy jakiejś prostej robocie, nie ubrane? Albo nieporządnie podano konfitury? Chyba z ciebie mógł drwić, że siedziałaś jak trusia! Wstyd mi zrobiłaś! No, ale o ciebie mniejsza; starsze były zupełnie *comme il faut*. Lecz teraz, moje panny, dosyć gadania. Rozbierzcie się prędko j ruszajcie do roboty. Krowy nie dojone, ptactwo nie zebrane, ogórki trzeba polewać. Ja muszę pójść do żeńców. Ach, mój Boże, i masła przemywać nie skończyłam.

-- A niechże się mama przebierze!

-- Nie ma czasu! -- rzuciła już z dziedzińca. Zatrzymała się raz jeszcze przy bramie.

-- Zosiu, Zosiu! Konfitury, co zostały, złóż do słoików i na kartce do miasta dopisz kilka cytryn.

Mogą się zdać.

.....

A tymczasem siwki Różyckiego kłusowały rażno w stronę miasteczka.

-- No, a tu w której się zakochałeś? -- spytał pan Erazm Kostusia.

-- Te stanowczo zostawię wszystkim miejscowym amatorom domowego drobiu -- odparł chłopak.

-- To się na nich nie poznałeś. Dziewczęta poczciwe, pracowite, praktyczne, nie zepsute, doskonałe będą żony i gospodynie.

-- Te lalki, żywiące dla wszelkiej pracy pogardę?

-- Ale, bajki, to taki szyk fałszywy, dziwactwo! Ręczę, że ledwie byliśmy za bramą, jedna poszła do obór, druga do ogrodu, trzecia na folwark. Sukienki same sobie szyją, nierzadko w kuchni zajęte, obywają się bez służącej i klucznicy. Matka zastępuje gospodarza, bo mąż wiecznie na bryczce. Pracowite to jak mrówki, ograniczone, bo biedne, ale z gruntu zacne.

-- I nawet ładne! -- dodał Kostuś ustępując wobec tych argumentów.

-- Ta Józia w sam raz dla ciebie. Miałbyś skarb gospodynię.

Kostuś umilkł, zapalił papierosa i począł gwizdać.

-- Nie -- rzekł po namyśle -- już wolę tę małą, która nie posiada talentów.

Pan Erazm zaśmiał się dyskretnie pod wąsami.

„Ten, to chyba starym kawalerem nie skończy. Ale czy nie przejdzie na islam, za to nie dam trzech groszy!” -- pomyślał w duchu.

Było to podwórze bajecznie czyste i bajecznie kwieciste; podwórze panny Stefanii Jamontówny.

Spory plac chronił od ulicy mur iście klasztorny, opatrzony zamczystą furtą. Poza tym murem rozlegał się turkot wozów i dorożek po okropnym bruku nędznej miejsciny, szwargot żydowski i tupot nóg po drewnianych chodnikach. Zresztą posiadłość za murem była cichą, uroczą oazą zieleni, czystości i porządku.

Nad gołębnikiem, który stanowił środek dziedzińca, unosiły się setki gołębi, studnię w jednym rogu oplatało dzikie wino. Ścianę oficyny, która wychodziła frontem na drugą uliczkę, pokrywały morele i brzoskwinie, przetykane rozpiętymi w szpaler drzewami owocowymi i krzewami caprifolium. Ściana domu i ganek były także zielone i wonne, a giętkie, pnące gałęzie dosięgały prawie starego, dziwacznie łamanego, dachu i zaglądały w okienka facjatek.

Przed domem, zakryte zielenią, ciągnęły się budowle gospodarskie i wielki Ogród owocowo --

warzywny, ale dziedziniec oddany był tylko kwiatom i wyglądał jak salon. Trawnik przed domem, literalnie aksamitny, zdobiły bukiety róż sztamowych, przy domu rośliny w doniczkach cieszyły się słońcem lipcowym, po bokach, wzdłuż drogi żwirowej, oczy podziwiałały grzędy letnich roślin ozdobnych niezliczonych barw i woni.

Było to w godzinach popołudniowych i na trawniku toczyła się ożywiona walka krokietowa.

Sześć osób, podzielonych na dwie partie, bojowało zawzięcie wśród śmiechów, stuku kul i żartów.

Rita Różycka prowadziła jedną partię, a grać musiała za trzech, bo spółnicy jej, Adaś i Jadwiga Holanicka, okazywali rzadką niezręczność i zamiast pomocy utrudniali jej tylko grę.

Ona grała po mistrzowsku, rzetelnie zajęta partią, zręczna, wesoła, snadź do gry tej wprawiona zagranicą.

W partii przeciwnej rej wiodła panna Zofia Werbicówna, ale zadanie miała łatwiejsze, bo grający z nią Kostuś i Wiktor Tedwin mieli jakie takie o krokiecie wyobrażenie i przynajmniej starali się nie stać na drodze kuli Rity, która okropnie szerzyła spustoszenie. Kule zaś Adasia i Jadwisi co chwila dostawały się pod młotek przeciwników. Partia dobiegała do połowy, wynikały spory i kwestie, zapał rósł i udzielał się nawet starszym, którzy spędzali czas poobiedni na ganku rozmaicie zatrudnieni.

Siedziała tam panna Felicja, szyjąc zawzięcie i równie zawzięcie gawędząc z matką panny Stefanii, a

swoją stryjenką, która pomimo siedmdziesięciu lat bez pomocy okularów naprawiała bardzo bogaty, złoty haft kościelny. Piękna to była staruszka, postać matrony jakby z ram portretu staroświeckiego, srebrnowłosa, wysoka, o twarzy poważnej, a tak pogodnej, jak mogą być tylko twarze ludzi, którzy przeszli wszystkie męki i boje oprócz męk zwątpienia i boju z sumieniem.

Obok niej siedziała córka czytając ostatnie gazety. Panna Stefania Jamontówna była od panny Felicji o dziesięć lat młodsza, a wyglądała o dziesięć lat starszą. Włosy jej, gładko zaczesane, były siwe, rysy wyniszczone, oczy głęboko zapadłe, usta bez barwy. Miała w wyrazie twarzy więcej niż matka stanowczości, ale za to uśmiech słodszy, wejrzenie żywsze, ruchy ujmujące. Musiała być przede wszystkim dobra i dla ludzi względna, dlatego może iż przeszła wszystkie słabości ludzkie, doznała wszystkich walk.

Odzywała się niekiedy, skoro znalazła coś zajmującego w gazecie, powtarzała to głośno, dodając swoją uwagę; od czasu do czasu odchodziła na chwilę do ogrodu lub do wnętrza domu; czasem na głośniejszą wesołość młodzieży spoglądała ku niej z dobrotliwym uśmiechem.

Gdy spór wynikł, zwykle sądziła Rita, cytując różnymi językami stosowne statuty krokietowe.

Imponowała erudycją. Bywało jednak, że to nie wystarczało. Przeciwnicy nie chcieli się godzić i na punkcie kwestii zbijała się cała gromadka.

Rita i Wiktor dowodzili najżywiej, panna Werbiczówna oglądała róże, Kostuś śmiechem drażnił

strony odporne, Adaś patrzył przerażony, Jadwisia, milcząca, spod brwi śledziła scenę i żeby nie strach i nieśmiałość, pewnie dopomogłaby drwiącemu Kostusiowi.

Wtedy nareszcie Rita, zmęczona, wzywała na plac pannę Stefanię. Schodziła uprzejmie do nich, cierpliwie słuchała i z całą powagą wyrażała swoje zdanie tak zwykle względne, że mu się poddawał bez protestu nawet piękny Wiktor. Partia trwała przeszło godzinę i zbliżała się do kresu.

Starsi odłożyli robotę przyglądając się ciekawie.

-- No, twoja kolej, Adasiu! -- zawołała Rita -- wygrywa -- my w trzech cugach. Zlituj się, zbierz uwagę. Mijasz tę bramę, krokietujesz kulę pana Jamonta i dochodzisz do słupa. Tylko śmiało!

-- Ej, nie, to bardzo wydaje się łatwe -- zdecydował Adaś w przystępie zuchwałości.

-- Teraz zginęliśmy! -- jęknął Kostuś komicznie, patrząc na swoją kulę wystawioną na wszelkie napaści.

Rita założyła młotek na ramię jak karabin i już odczuwała przedsmak triumfu. Adaś ujął oręż w ręce, długo się zamierzał, nareszcie posunął kulę.

-- *Malèdiction!* -- wyrwało się mimo woli z ust Rity, Kostuś zaś wybuchnął śmiechem, a Wiktor bił brawo.

Kula Adasia ugrzęzła w środku bramy. On sam przyjął to filozoficznie.

-- Posunąłem za lekko! -- rzekł odchodząc na stronę. -- Jestem zupełnie niezdatny, składam broń.

-- Ach, żebym ja raz jeszcze przyszła do kolei! -- westchnęła Rita. -- Kto gra?

-- Ja, i kończę w dwóch pociągnięciach -- pochwalił się Kostuś.

-- Jeśli pan, to nie tracę jeszcze nadziei.

-- W pańskim ręku nasz honor -- uśmiechnęła się panna Werbiczówna, obejmując komendę. --

Krokietuj pan przede wszystkim kulę czerwoną.

-- Już ją mam! -- zawołał chłopak uderzając. Zrobił punkt szczęśliwie.

-- To twoja kula, Jadwisiu -- żartował. -- Gdzież chcesz, abym ci ją odesłał? Do remizy? Tam w krzaki czy może zupełnie na ulicę?

-- Gdzie chcesz. Lepiej znasz te krzaki niż ja, bo po nich często szukałeś swojej własnej kuli --

odcięła się dziewczyna, patrząc nieśmiało na Adasia.

Kostuś, uderzył z całych sił po czerwonej kuli, aż zawarczała w pędzie. Minęła trawnik, drogę i wpadła między grzędy kwiatowe pod oficyną. I nagle rozległ się srebrny śmiech i głosik dziecięcy.

-- Toci się, toci, toci kula!

-- Teraz mijaj pan te dwie -- bramy! -- komenderowała panna Werbiczówna.

Ale Kostuś, zamiast grać, podniósł oczy w kierunku szczebiotu. Ujrzał okno oficyny otwarte, szczelinę w winogradzie i klematisach, a w tej szczelinie czarną główkę dziecka tak małego, że ledwie sięgało futryny i oparłszy rączki na ramie, czyniło heroiczne wysiłki, by ujrzeć, gdzie się podziała kula czerwona.

Kostuś zagapił się -- i całkowicie o grze zapomniał.

-- Co ty myślisz? Graj! -- zawołał Wiktor.

-- Zdaje mi się, że znam to dziecko -- odparł.

-- Jakie dziecko? Ach, tam! To młoda latorośl lokatorów panny Stefanii. Skądże ich znać możesz?

-- Śliczny dzieciak -- zauważyła panna Werbiczówna, rzuciwszy okiem w tę stronę.

-- Panie Jamont, graj pan i kończmy! Wybieramy się na spacer łodzią -- rzekła Rita.

Kostuś, przywołany do porządku, żywo się zwrócił, machnął młotem i chybił bramę. Z

desperacją młotek cisnął i ręce załamał.

-- Moja kolej! -- triumfująco zawołała Rita.

-- Teraz stanowczo przegraliśmy -- zdecydowała spokojnie panna Werbiczówna.

-- Mam nadzieję, gram. Czyja to żółta kula? Tedwina? Już ją mam, niech spocznie poza szrankami, tam! Teraz -- tę zieloną, pana Jamonta, pod ganek. Teraz mam jedną bramę, drugą, trzecią i oto słup. Skończyłam.

-- Ależ pani grasz po mistrzowsku -- rzekła panna Werbiczówna. -- Ani jednego chybionego kroku,

-- Za granicą często się w to bawimy. Tam każda zabawa połączona jest z ruchem na powietrzu.

-- Tam masz pani pole do wprawy, a tu do popisu -- rzekł Wiktor. -- My mało czasu mamy do zabaw, a to wymaga ciągłego ćwiczenia. Będąc w szkole uchodziłem za mistrza we wszelakim sporcie.

-- Ja jednak pójdę do ciotki Stefanii spytać, co to za dziecko -- odezwał się Kostuś.

Żartowano z niego, kierując się do ganku. Tam na schodach, jak zwykle nic do siebie „nie mówiąc”, siedzieli Adaś i Jadwisia. Rita usiadła przy bracie.

-- Wygrałam partię -- oznajmiła. -- No, przyznaj, że dokonać tego w spółce z dwojgiem zakochanych, to trzeba mieć talent z powołaniem połączony.

Mówiła z cicha, ale Adaś ze strachem spojrział ku Jadwisi, czy nie dosłyszała.

-- Czy ci się podobała? -- spytał szeptem nieśmiałym..

-- Bardzo. Będiesz szczęśliwy, braciszku. Cóż, porozumieliście się już?

-- Nie; boję się ją narazić. Tyle czasu ją kształcę, może pomyśleć, że chcę korzystać z jej wdzięczności. Będzie może skrępowana fałszywym poczuciem zobowiązania. A może ona wcale mnie nie chce? .

-- Bój się Boga, czy oślepieś i zmysły straciłeś. Toć dziewczyna tylko ciebie widzi i chodzi jak błędna.

-- To niczego nie dowodzi. Tyle razy ją uczyłem, przestrzegałem, moralizowałem. Ona widzi we mnie guwernera tylko. Przecież to moje dzieło.

-- Przepowiadam ci, że to dzieło rychło ciebie będzie uczyło i moralizowało. Czy chcesz, abym ja ją wybadala?'

-- Dobrze, Rito, tylko ostrożnie. Jeżeli zrozumiesz, że mnie nie kocha, powiesz mi. To jej oszczędzi fałszywej pozycji.

-- Dziś zatem wieczorem otrzymasz wyrok, Adaś w milczeniu ucałował dłoń siostry.

Tymczasem Kostuś dotarł do panny Stefanii i zagaił bez wstępu:

-- Kto tu u ciotki mieszka w oficynie?

-- Dużo osób, mój drogi. Aptekarz z rodziną, sędzia, modniarka, szewc, dwie panny utrzymujące pensję...

-- Więc czyje to dziecko?

-- Jakie dziecko?

-- Śliczny, czarnowłosy drobiazg w tym oknie.

-- Ach, tam? To pokoik za sklepem korzennym, który sama prowadzę. Mieszka tam szwaczka, sublokatorka mojej sklepowej r Niedawno osiadła.

-- A jak się ona nazywa?

-- Sklepowa? Maria Bielawska.

-- Cóż cię to tak obchodzi? -- wtrąciła panna Felicja.

-- Ależ nie sklepowa, ale szwaczka.

-- Tego nie wiem. Możemy posłać z zapytaniem.

-- Ja wiem, Stefciiii -- odezwała się pani Jamont. -- Jest to wdowa po inżynierze Wojakowskim.

Biedaczka, pracuje ciężko na chleb.

-- Ano, to trzeba jej pomóc -- odparła córka. -- Doprawdy, ostatnimi czasy byłam tak zajęta tym sklepem, że nie myślą -- łam o niczym.

-- Wojakowska? Hela Ogrzanowska! -- zawołał piękny Wiktor. -- A to niespodzianka!

Odnajduję dobrą znajomość. Pójdę zaraz skonstatować, czy zbrzydła. Dziwna rzecz, że mi nie dała wiedzieć o sobie.

W tej chwili Rita zwróciła się ku werandzie, spojrzała na Kostusia, potem na Tedwina i rzuciła szyderczo:

-- Zapewne nie miała panu nic do powiedzenia.

-- A tak, nic nowego -- odparł cynicznie. -- Znamy się tak dawno i tak dobrze.

Ciemny rumieniec pokrył twarz Konstantego. Milczał, skubiąc wąsy. On się wcale swoją znajomością nie pochwalił. Piękny Wiktor zęgnął się tymczasem.

-- Może wyjdiesz także? -- rzekł do kuzyna półgłosem. -- Te baby tu wściekle nudne.

Pójdziemy po zajazdach zobaczyć, jak idą kontrakty. Grają pewno grubo i przyjechały aktorki.

-- Nie chce mi się, zostanę -- mruknął Kostuś.

-- Chodź! Odszukam Józefa i pošlę go z kartką do Wojakowskiej. Zaprowadzę cię do niej wieczorem na herbatę.

-- Nie chcę, nie chcę -- wstrząsnął się chłopak z obrzydzeniem.

-- To siedź w tej kapitule, ja mam jej dosyć.

Raz jeszcze z daleka złożył ogólny ukłon i zniknął za furką. Rita skinęła na Kostusia.

-- Doprawdy, pan na serio wierzysz w absurda pięknego Wiktora.

-- Wierzę we wszystko, złe -- odparł tonem grobowym.

-- To wierz pan zatem logicznie i w kłamstwo elegantów ograniczonych. Chodźmy we dwoje pod to okno, poznamy się z dzieciakiem. Ciekawa jestem, czy pana pozna.

-- Nie chcę, mam wstręt do tej kobiety.

-- Nie ma co mówić, miluchny z pana będzie mąż z taką zazdrością.

-- Pani wierzyłbym nieograniczenie.

-- Bagatela! Dziękuję za łaskawe uznanie, ale już dawno wykreśliłam się ze szrank. Czy ładna ta wdowa?

-- Ładna! -- mruknął niechętnie.

-- Inteligentna?

-- Owszem!

-- To nie powinna pana poślubiać.

-- Dlaczego? -- spytał z budzącym się zajęciem.

-- Bo pan się w niej na umor rozkochasz, a Wtedy nie dasz nawet spokoju ceniom Wojakowskiego.

-- Bez racji nikogo nie podejrzewam.

-- Jakież pan masz przeciw niej dowody?

-- Takie jak pani; wewnętrzne przekonanie. Może się załóżymy, że dziś wieczorem Wiktor będzie u

niej na herbacie?

-- Dobrze, założymy się. O co?

-- Da mi pani realny dowód swojej sympatii.

-- Zgodą! A pan spełnisz moje trzy żądania.

-- Z całą ochotą -- zaśmiał się -- bo pani przegra.

Podali sobie prawice.

Panna Felicja przyglądała się im dyskretnie.

-- Dzięki Bogu, musieli się porozumieć -- szepnęła do panny Stefanii, oczami wskazując tę parę.

-- Z Ritą? Wątpliwe -- odparła panna Stefania. -- To byłoby zupełną niespodzianką.

-- Podobała mu się bardzo; ciągle są z sobą.

-- Ma dobry gust! Tutejsza młodzież nie lubi Rity. Byłby to dla was świetny los, ale, o ile ją znam, wątpię, czy się zdecyduje.

-- Dlaczego? Czy Kostuś jest złą partią?

-- Owszem, ale nie sądźmy wedle starego porządku rzeczy. My dwie zostałyśmy starymi pannami; ja dlatego, że mnie nikt nie wziął, ty, bo nie mogłaś na jednego się zdecydować.

Okoliczności nami kierowały. Dzisiaj są panny, które nie idą za mąż, bo nie chcą. Rita zdaje mi się taką.

-- To byłoby fatalne. Marzyłam o niej dla Kostusia.

-- Dobrze wybrałaś, ale mnie się widzi, że twój Kostuś wcale serio nie traktuje tej kwestii. Bawi się tylko i oszukuje ciebie. Tobie się zdaje, że nie odstępuje Rity; ja uważam, że zaleca się do Werbiczówny. Czy się go spytałaś, na którą się zdecydował?

-- Nie, bo tego nie spostrzegłam. To byłoby okropne! Ale on już taki zawsze, to do niego podobne. Co on nas zdrowia kosztował! Gotów znowu spletać figla. Jak to dobrze, że mnie ostrzegłaś. Wezmę go na spytki.

Porwała się z miejsca i zeszła na podwórze.

Rita z panną Werbiczówną oglądały jakąś osobliwą różę; Kostuś już pocieszony po wdowie opowiadał coś żywo pannie Zofii.

Panna Felicją wzięła go bez ceremonii pod ramię i uprowadziła na stronę.

-- A co, oświadczyłeś się Ricie? -- spytała.

-- Już z dziesięć razy!

-- Więc skończone?

-- Kiedy ona mnie nie chce.

-- Więc po cóż tkwisz przy niej?

-- Bo mi z nią dobrze.

-- Ależ ty się żenić przyjechałeś! Miesiąc już bawimy na próżno!

-- Jak to na próżno? Odsiaduję parafię, inaczej mi żaden ksiądz ślubu nie da.

-- Aleś ty się jeszcze na żadną nie zdecydował!

-- Ja jestem nawet na wszystkie zdecydowany. Cóż robić, gdy mnie żadna nie chce!

-- I słusznie. Żadna nie chce widząc, że się do wszystkich umizgasz. Ale ja na to patrzeć nie mogę i zapowiadam ci, że jeśli sam wyboru nie uczynisz, poproszę pana Erazma, aby „się za ciebie oświadczył jednej z Janickich i sama do nich pojedę, a o wszystkim twoich sprawkach doniosę ojcu. Tego już za wiele. Co ty robisz!

Wykrzyknik ten stosował się do tego, że Kostuś słuchając perory, dobył z kamizelki złotą sztukę stufrankową, wyrzucił ją w górę, a gdy upadła na ziemię, nogą przykrył.

-- Ja, ciociu, wybieram! -- odparł spokojnie, -- Głowa czy napis? Werbiczówna czy Rita?

-- Janicka! -- rzekła gniewnie panna Felicja odchodząc do ganku.

Kostuś podniósł monetę trochę niespokojny.

-- Gotowa doprawdy wziąć na kiel. O, ja nieszczęsny! Czemu się to człowiek nie rodzi żonaty!

Dzięki Bogu, nieba mi zsyłają pana Erazma. Muszę ciotkę uprzedzić.

Istotnie dzwonek u furty zajęczał, a w niej ukazała się najpierw pani Zofia Holanicka, za nią Różycki.

Kończyli ożywioną rozmowę i stanęli za furką. Kapelusz pani Zofii był na bakier, twarz wzburzona, suknia wysoko podpięta, mantyla, zapewne z wyprawy jeszcze, przekrecona z fantazją na ramię.

Trzymała w ręku woreczek skórzany, ozdobiony kanwowym wizerunkiem pelikana rozdzierającego piersi, pod pachą miała oprócz tego zagadkowy przedmiot objętości dyni. Słuchała pana Erazma potakując grzecznie.

-- Ależ i owszem, i owszem, bierz ją pan sobie, bardzo mi to przyjemnie, z całą wiarą oddaję,

zgadzam się na wszystko. Tylko, mój łaskawco, poratuj mnie, oswobodź od tego kontraktu! To ruina taka sprzedaż! Masz pan wszystkie papiery, może się uda wykręcić bez odstępstwa... Bo gdzie ja nieszczęsna dostanę tyle pieniędzy w tak krótkim czasie? Moi dłużnicy chybili na kontrakty. Co to za czasy, gdzie sumienie!

To mówiąc cisnęła do siebie kanwowego pelikana.

-- Zrobię wszystko, a w potrzebie założę swoimi pieniędzmi. Mam tedy słowo łaskawej pani w moim interesie?...

-- Słowo, słowo najuroczystsze! Zaraz o tym powiem stryjence i Stefcu.

Pan Erazm posunął galanterię do końca. Ujął dłoń szanownej właścicielki pelikana i udał, że całuje rękawiczkę bawełnianą. Potem już razem ruszyli do ganku.

-- Stryjek! Nareszcie! -- powitał go serdeczny okrzyk Rity.

-- Ach, panie, muszę panu coś powiedzieć! -- zawołał Kostuś strapiony.

-- Czy mój ojciec dziś nie myśli do domu odjeżdżać? -- spytała panna Zofia.

-- Ależ nie! -- odparł witając się spiesznie. -- Właśnie dziś wieczorem mamy z nim agitować w kwestii wzajemnego ubezpieczenia. Wpadłem tylko na chwilę. Dotychczas kupiłem tylko woły i sprzedałem konie na jarmarku. Liche ceny i liche kontrakty! Dotąd własnych interesów nie rozpocząłem, a tu jeszcze mamy sądzić kompromis Zawirskiego z Mankiewiczem. Mnóstwo roboty! Przyszedłem panie powitać i zabrać cię z sobą -- dodał w stronę Kostusia.

-- To dobrze, pójdziemy. Tylko niech pan trochę umityguje ciotkę.

-- Coś zrobiłeś! Czy nie ma tu Adasia, Rito?

-- Zapewne czyta w salonie.

-- Sprowadź go, mam mu parę słów powiedzieć.

-- Panie Erazmie, prosimy! -- wołano z ganku. Różycki ruszył do starszych.

-- Witam panie! Przede wszystkim interesy. Zbierałem, panno Stefanio, na organy i obleciawszy wszystkie zajazdy, wycisnąłem siedmdziesiąt rubli; a oto mój dodatek.

Położył na stole paczkę asygnat, a jedną tęczową wsunął pod spód.

, -- Ofiarniejsi już się zgrali do nitki -- dodał -- a skąpi dowodzą, że organy aż nadto dobre.

Drugim razem niech mnie; pani raczej samego obciąża podatkiem, niż używa za poborcę. Ile czasu i pięknych słów straciłem na próżno, a ile krwi sobie popsulem, to -- nieobliczone!

-- Stokrotnie przepraszam pana.

-- To nic, nie o to mi chodzi, przywykłem do tego przez całe życie, gadam dla ulżenia zgryzocie.

Byłem też w zarządzie miejskim i wyprocesowałem pani tę dodatkową opłatę; pomylili się w rozkładzie. A ot, papier od znajomego także załatwiony.

-- Dziękuję panu serdecznie!

-- Panie Erazmie, mam i ja interes! -- wtrąciła panna Felicja -- ale to na osobności.

-- Służę pani -- odparł wchodząc za nią do domu. Zabawili chwil kilka w jadalni szepcząc konfidencyjnie. Gdy wrócili, pani Jamont spojrzała na nich z uśmiechem. Spojrzenie to Różycki przejął i rzekł również z uśmiechem:

-- Tak, tak, szanowna pani. Słusznie się pani śmiejesz, tylko nie ze mnie samego! Nie moja wina, że zamiast własne dzieci na starość musimy żenić braterskie. Oto, co mogą kaprysy kobiece i plotki ludzkie!

Przyjął z rąk panny Stefanii kieliszek wina i dodał:

-- Żal po niewczasie nic niewart. W ręce pani, panno Felicjo, za pomyślność przybranych dzieci!

Wypił, pocałował ją w rękę i począł się żegnać.

-- Idę na ciężką bitwę; prosić, błagać współbraci, aby A zechcieli nie dać się obdzierać. Do widzenia państwu. Zapraszam się jutro na obiad.

Był już na dziedzińcu, gdy się obejrzał.

-- Ależ jeszcze Adaś! Chodź tu, chłopcze!

Wziął synowca pod rękę i odprowadził parę kroków na bok.

-- Załatwiłem twoje małżeństwo. Pani Zofia się zgadza i Błogosławi i naturalnie nie daje posagu.

Ale o to mniejsza. Zebrało się u mnie znowu trochę, to dla niej przeznaczę, aby wam nic nie brakło.

Wyprawą zajmie się Rita. Ślub za rok, a przez ten czas dziewczynę oddamy też Ricie; niech jadą razem za granicę i dokończą już bez ciebie edukacji. Omówiliśmy i tę kwestię zgodnie z matką.

Adaś słuchał bliski mdłości i płaczu.

Zrazu nie rozumiał, potem ogarnęła go rozpacz.

-- Stryju, co stryj zrobił! -- jęknął.

-- Co? Może się już rozmyśliłeś? Nie kochasz jej?

-- To nie, ale...

-- Kiedy nie, to po co mnie straszysz!? Zrobiłem, co się należało i co było moim obowiązkiem.

Wszystkie twoje „ale” załatwiał z panną i z Ritą, ja nie mam czasu. No, bądź szczęśliwy, chłopaku!

A pamiętaj, że od tej chwili stajesz się człowiekiem, głową przyszłej rodziny. Trzeba ci być trzeźwym, stałym, spokojnym, a nie chorobliwie wydelikacjonowanym marzycielem i utopistą. Kochaj i myśl zdrowo.

Na zakończenie tej nauki życiowej pan Erazm chłopaka uściskał i oczami poszukał Kostusia.

-- Chodźmy! -- zawołał.

Od razu, ze szczytu czystości i elegancji znaleźli się w szczycie brudów i dzikości. Ulicę źle brukowaną, smrodliwą bramowały domostwa drewniane pomalowane w kolory niemożliwe. Były żółte z zielonymi okiennicami, były czerwone w białe paski, naśladujące cegłę, były(niebieskie z pomarańczowymi gankami. Wszystkie zaś te barwy skupiały się dokoła cerkwi, zajmującej plac na środku ulicy. .

Wzdłuż tych domów biegł chodnik drewniany, o tyle czysty, o ile dziurawy, po którym we wzruszającej, harmonii snuli się Żydzi, chłopci, psy i jeszcze, czwarty gatunek istot bezrogich. Kurz brunatny, woni bardzo stanowczej, kłębił się w powietrzu napełniając gardło i nozdrza. Wydostali się na plac zatłoczony szczelnie bydłem, końmi i wozami.

-- Oto masz targowisko jarmarczne, a na prawo ulicę główną!

Kostuś spojrzał ciekawie, ale ujrzał ten sam drewniany chodnik, te same pstre domy, a w głębi kościół.

-- Zaczynamy pielgrzymkę po zajazdach od tego, w którym sam mieszkam. Te wszystkie domy --

to hotele o bardzo skromnych nazwach. Ja mieszkam w „Europejskim”, czyli, mówiąc wprost, u Kiwy.

Z chodnika weszli na ganek, który gęsto zappełniała służba przyjezdnych obywateli. Jurek rogalski powstał na widok swojego pana i rzekł:

-- Mandel, faktor, czeka; przyprowadził dwóch oficjalistów dla nas.'

-- Powiedz mu, niech ich dla siebie schowa, gdy będzie potrzebował Pan komisarz jest?

-- Jest, proszę pana. Ten bułanek, cośmy kupili, ma ułogę.

-- Ten od pana Tedwina?

-- Ale! I wołów naszych nie chcą puścić na rogatece, powiadają, co chore.

-- Tam do licha! -- bruknął Różycki otwierając spiesznie drzwi.

Znaleźli się w długim, brudnym i ciemnym korytarzu, na który wychodziły drzwi od wszystkich stancji; w głębi były drugie drzwi, wiodące na podwórze. Korytarz ten był natłoczony Żydami, faktorami i służbą poszukującą posady. Różycki ofuknął ku faktorów i skierował się w głąb korytarza. Kostuś spojrzął po obecnych i spytał Żydka służącego:

-- Czy pan Holanicki tu mieszka?

-- Pan Zygmus? Un stoi w pierwszym numerze! Tam wszystkie panicze zeszli się na karty.

Może panicz czego potrzebuje? -- spytał, głos zniżając.

Zanim Kostuś mógł odpowiedzieć, tubalny głos Zygmunia; rozległ się z sąsiedniego pokoju:

-- Miszurys, kanalio, pójdź tu, do nogi!

Żydek skoczył i znikł za drzwiami. Kostuś ujrzał przez szparę pokój pełen dymu i mężczyzn w negliżach. Ruszył do Różyckiego. Ten już był w swojej stancji, gdzie za samowarem siedział stary rządca i pykał fajeczkę.

-- A co? Złapali nas na bułanka? -- zagadnął pryncypał. -- Złapali i jeszcze się śmieją. A za świadectwo na woły chcą dwadzieścia pięć rubli. Powiadają, że chore. Ot, rozbój!

-- Dać! Za dwadzieścia pięć rubli czterdzieści chorych wołów uczynić zdrowymi to bezcen.

Zróbcie to jednak zaraz, panie Wincenty, bo byki gotowe nam poginać.

-- Idę, panie! -- rzekł rządca, chowając fajeczkę do kieszeni.

Wtem na rogu ukazał się chłop z biczem, zziajany, czerwony jak upiór.

-- Proszę pana, nie ma naszych byków!

-- Otóż masz! -- burknął Różycki. -- Gdzież one?

-- Pouciekali! -- mówił człowiek zdyszany. -- My tam stali przy rogatce, a tu jeden z tych, co tam siedzą, od policji, nastraszył na śmiech nasze byki, a że to zbierane i spaśne, tak het zadarły ogony i poleciały jak wściekłe na wszystkie strony. My zaczęli krzyczeć i zganiać, to Wasyla wzięli do kozy, że robi nieporządek, i mnie też łapali, ale ja w tłum wpadł i uciekł.

-- Rany pańskie! -- jęknął rządca szukając czapki.

-- Weź Jurka z sobą, panie Wincenty; byki znaczne, odnajdą się, ale spać dzisiaj nie będziecie.

Rządca wybiegł z chłopem, a Różycki rzekł:

-- Ten stary dotąd nie może się nauczyć wydawać pieniędzy na kosza. Ileż razy srogo to odcierpiał, bez żadnej nauki i poprawy! Ma za swoje! Tyle lat siedzi tutaj, a praw dotąd nie zna.

-- A jeśli woły pogina? -- zawołał oszołomiony Kostuś.

-- To zapiszę je pod rubrykę rozchodów rządowych i kupię drugie. Ale przecież wszystkie nie przepadną, zginą może dwa, trzy; sto dwadzieścia rubli.

Przez drzwi wsunęła się ruda broda faktora.

-- Może jasny pan potrzebuje leśniczego, a może lokaja? Ja mam bardzo porządne ludzkie.

-- Wiesz dobrze, że nigdy służby na jarmarkach nie rekrutuję.

-- Nu, ja wiem, ale może się zdarzyć wypadek. Jest u mnie i szafarka młoda, jest i praczka, co z panią Zawirską do Warszawy jeździła!

-- Idź do diabła!

-- Bardzo porządne kobiety i delikatne! -- dodał Żyd już spoza drzwi. .

Nie upłynęło minuty, drugi się wsunął.

-- Może jasny pan chce żyto sprzedać? Teraz dobra cena, bo gadają o wojnie z Angliki.

-- Ażeby te Angliki was wszystkich powytłukali, szarańczo chananejska!

-- Nu, to może jasny pan da próbkę tego żyta.

-- Dam próbkę cierpliwości, jeśli cię za drzwi nie wyrzucę. Nie mam żyta.

-- Jak to nie ma! Żeby ja tyle wnuków się doczekał, ile pan ma wagonów! Po dziesięć złotych dadzą za parę w Rogalach. Ja zaraz kupca sprowadzę.

-- Kłaniaj mu się ode mnie i powiedz, że może przyjechać po nowym roku. Tymczasem wynoś się.

Żyd zniknął, ale za jego plecami stał trzeci i wtargnął do stancji.

-- Jasny panie, ja już znalazł kupca na bułanka, to młody pan Zawirski czwórkę zbiera. Ja jemu kunia pokazał, un nic nie zna, un gotów dać dziesięć rubli odstępnego. Pytał, jaka cena?

-- Nie ma ceny! Ja kalekie konie często dostaję, ale nigdy jeszcze ich nie sprzedałem. Marsz!

-- Zamknę drzwi -- rzekł Kostuś.

-- Nic nie pomoże, wleżą oknem. -- odparł Różycki, porządkując jakieś papiery i coś spieszenie notując.

-- Na co oni służą, ci faktorzy, z czego żyją?

-- Służą, aby nas do reszty demoralizować. Wytworzyło ich legion nasze lenistwo, niezaradność i brak solidarności. Teraz pasujemy własną krwią tych pasożytów i znajdujemy, że to bardzo wygodne i użyteczne.

-- Niech pan tego o sobie nie mówi.

-- Tak, nie wiem, kto kogo bardziej nie cierpi; ja ich, czy; oni mnie; ale cóż z tego za korzyść?

Przez całe długie życie nie znalazłem czynnego naśladowcy, chyba puste łajanie.

Żydek służący zajrzał przez drzwi.

-- Pan Werbicz już trzy razy pytał się za pana.

-- Idę właśnie do niego. Chodź, zaczyna się wałka. Werbicz mieszkał naprzeciw. Gdy weszli do pokoju, znaleźli przy drzwiach pełny tuzin Żydów, a za stołem, z nieodzownym samowarem, gospodarza lokalu słuchającego cierpliwie ich gawędy. Mógł słuchać cierpliwie, bo głowę miał

pełną fatalnych cyfr i zagadnień finansowych, nie dających się w żaden sposób pomyślnie rozwiązać. Nie zadawał sobie fatygi ani uważać, co mu gadają, ani ich za drzwi wyrzucić.

Rozjaśniła mu się twarz na widok sąsiada.

-- Myślałem, że już nie przyjdiesz.

-- Jakże! A nasze ubezpieczenie? Werbicz ręką machnął.

-- Nic z tego nie będzie.

-- Co? Odmawiasz pomocy?

-- Ja nie, ale słyszałem, co o tym mówią.

-- Może ich Janicki przegada.

-- Prawda! Janicki się zgrał i teraz się odgrywa. Nie dostaniemy go aż chyba nad ranem.

-- Gdzież pójdziemy?

-- Niedaleko. Starsi grają w kwaterze Zawirskiego, a młodzież u Holanickiego. Zebrali się wszyscy: Stoccy, Tedwinowie, płonkowscy, jest nawet stary Jawornicki. Zawirski przywiózł syna, który już w Malewiczach osiada.

-- A ty już załatwiłeś swoje interesa?

-- Mniej więcej; trochę zostało na jutro. Mogę ci służyć -- odparł ponuro.

Wstał i zabrał się do wyjścia, gdy czarny faktor się odezwał:

-- Proszę jasnego pana, Wólko za chwilę przyjdzie. Różycki żywo się obejrzał.

-- Sprzedajesz zboże? -- spytał. Werbicz unikał jego oczu.

-- Tak, cokolwiek, na żniwa! -- odparł wymijająco. Koszuś uczył się zbyt szybko.

-- Pójdę tymczasem do Zygmunta! -- rzekł.

Gdy zostali sami, Różycki drzwi szeroko otworzył i bez słowa wskazał je Żydom, potem je za ostatnim zamknął na klucz.

-- Ile ci dają za zboże? -- spytał.

-- Rubel trzydzieści para.

-- Ile podatku?

-- Tysiąc.

-- Stracisz połowę. To niepodobna.

-- Kiedy muszę! -- mruknął Werbicz. -- Procenty nadchodzą. Tobie samemu pięćset.

-- Wykreśl. Mogę dwa miesiące poczekać.

-- Podatki, żniwo, dzieci! Nie mogę czekać ceny.

-- W takim razie ja ci tę cenę dam i jutro pieniądze wręcę, sprzedam zaś razem ze zbożem i wtedy potrączę sobie tylko procent. Napisz prędko kontrakt.

-- Dziękuję ci! Który to raz ty mnie ratujesz?

-- To nie ratunek, to lekcja arytmetyki, ale ciebie nigdy przekonać nie mogę.

-- Tak, niepojętny jestem -- uśmiechnął się Werbicz, starając się wykrzesać wesołość. -- Ale wiesz co, mówią o wojnie z Anglią. Kto wie, co z tego wyniknie.

Ale Różycki się śpieszył, więc tylko ręką machnął i ku drzwiom się skierował.

-- Kończmy z tą sprawą ogniową.

W progu milcząco uścisnęli sobie dłonie i weszli na korytarz. Usłużny faktor otworzył im drzwi pokoju frontowego w którym okiennice były zamknięte, a sztuczną noc oświetlało kilkanaście świec umieszczonych na zielonych stolikach. Przy każdym stole skupiała się gromadka mężczyzn, nie widzących nic i nikogo prócz kart, które powoli w prawo i w lewo rzucał je ten siedzący.

Rozlegały się krótkie okrzyki, urywany śmiech, przekleństwo, szelest kart i asygnat. Czasem ktoś zgrany odchodził z placu bitwy, zaglądał na inne stoły, przeciągał się i zbliżał do samowara, który obsługiwało dwóch drabów liberyjnych, roznosząc przy tym nieustannie przekąski i napoje.

Przy stole z samowarem siedział jeden tylko biesiadnik, ale okazały. Był to człowiek stary i potwornie otyły. Rysy ginęły' w obrzękłości tłuszczowej, głowa ginęła w ramionach, cielsko ogromne zapełniało całą kanapę.

Tak wyglądał nestor powiatu, pan Jawornicki, bogacz, żartowniś staroświeckiego pokroju, powaga, raz na rok ukazująca się wśród współobywateli. Gospodarz lokalu, pan Zawirski, mało grał, zajęty przyjmowaniem coraz to nowych gości. Człowiek pięćdziesięcioletni, ubrany elegancko, z pierścieniami na palcach, w złotych okularach, łysy, nadęty, był uosobieniem pychy i próżności.

Przed kilku laty, bankrut, ożenił się z wdową bezdzietną, ułomną i milionową i nagle z obmokłego żurawia przedzierzgnął się w pawia. Osiadł w majątkach żony, zimę spędzał w mieście, latem jeździł za granicę, uprawiał tylko stosunki wyborowe, bawił się sportem, wszelkie inne zajęcia uważając za niegodne swojej wielkości. Wyszedł z dawnego koła, ignorował dawnych sąsiadów i znajomych, nie pokazywał się prawie w stronach rodzinnych.

Teraz musiał przyjechać i skarbie sobie łaski współobywateli. Chodziło mu o kompromis z sąsiadem, sprawę zagrażającą Malewiczom, i chodziło o zainstalowanie syna z pierwszego małżeństwa, który był trochę ograniczony, a bardzo romansowy, wskutek czego często go kompromitował w mieście.

Zawirski więc stał się znowu popularnym, przypominał sobie każdego, ścisnął, całował, składał wizyty, a zjechawszy do miasteczka, skarbił sobie serca zbyt kowną gościnnością i rzucaniem hojnie pieniędzy żony.

Na widok wchodzących, Różyckiego z Werbiczem, powitał ich nadzwyczaj uprzejmie. Byli to właśnie kompromisarze jego sprawy mającej się nazajutrz rozstrzygać.

Różycki zaraz z progu spojrzął po obecnych i skrzywił się widząc tak zajadłą grę w karty.

Wróżyło to bardzo źle. Janickiego stanowczo nie można było liczyć jako adwokata. Grał, cały blady, z ogniem złowieszczym w zaczerwienionych oczach, pochłonięty doszczętnie namiętnością.

Nie zaczepiając graczy, usiedli przy stole Jawornickiego wraz z Zawirskim, który wnet kazał dać zakąskę.

-- Witam, witam -- ozwał się olbrzym tubalnym głosem -- proszę do towarzystwa na podwieczorek.

Podwieczorek był to rondel zrazów, które na kształt jagód czy cukierków niknęły w paszczy tłuszciocha. Różycki odmówił wszelkiego posiłku. Werbicz przyjął herbatę z cytryną.

-- Co? Może zrazika ze mną? -- huknął Jawornicki.

-- Jutro nie żyłbym po tym specjale; jadam tylko raz na dobę -- rzekł Różycki.

-- Dlatego to co roku jeździsz pić Karlsbad. Zła teoria! Moje zrazy i tańsze, i smaczniejsze od zupki sprudlowej.

-- Ja zaś trzymam się zasady, że trzeba utrzymywać nogi ciepło, głowę chłodno, a żołądek pusto -- rzekł Werbicz.

-- Już to wy wszystko lubicie mieć pusto! -- zaśmiał się tłuścioch. -- Ja, starej daty człowiek, lubię mieć wszędzie pełno i ciepło.

Poklepał się po brzuchu i po piersi, którą wydymał -- z lewej strony gruby pugilares.

-- Cóż, panie, co pan myślisz o naszym interesie? -- zagadnął go niecierpliwy Różycki.

-- O interesie? Chcesz u mnie kupić tryki?

-- Ależ nie! Mówię o wspólnym ubezpieczeniu.

-- Ja się do tego nie mieszam. Ja starej daty człowiek, a to wszystko nowomodne figle. Ja się w żadne obrony przed wolą bożą nie bawię. Jest święcony wianeczek, jest chleb świętej Agaty, a jeśli Bóg ogień dopuści, jest drzewo w lesie, jest słoma na polu, 1 jest majster we wsi, no i trochę grosza w zapasie, to się odbuduję bez obcej pomocy. Co ma mi kto wglądać w pogorzel, liczyć straty i dawać jak jałmużnę zapomogę? Ja nie lubię, żeby się do moich interesów wtrącano.

-- Ależ nie chodzi o ratowanie pana! Jest u nas większość takich, którzy nie mają ani drzewa w lesie, ani zapasu w kantorku. O nich trzeba myśleć.

-- A cóż to, oni małoletni, czy nam oddani na opiekę? Czemuż nie mają drzewa i zapasu? Gdzież podzieli to, co im rodzice zostawili?

-- Gdzie? O tym można długo mówić, ale wiemy wszyscy: *Concordia res parvae crescunt*.

-- Oho, panie Erazmie, musisz mieć dukaty -- zaśmiał się tłuścioch, mrugając jowialnie oczkami -- kiedy tak dobrze znasz ich godło.

Kilku graczków zbliżyło się do stołu i zawtórowało. Jeden się odezwał:

-- Moja folwarczyna figa; ubezpieczam w gminie.

-- Mój szwagier jest w „Jakorze”, to baby wygnałyby mnie z domu, żebym go opuścił -- rzekł drugi.

-- A mnie „Warszawskie” robi takie ulgi, że doprawdy wstyd byłoby go opuścić -- dodał trzeci.

-- At, przywykło się do czegoś jednego, to po coszukać nowości? -- machnął ręką jakiś zgrany, kiwając na faktora, z którym się też zaraz za drzwi wynieśli.

-- Dawniej mniej ludzie myśleli o drugich, mniej radzili nad poprawą, nie gadali o jakiejś ekonomii i ludzkości -- huknął Jawornicki.

-- A płacić temu czy tamtemu towarzystwu, to przecie zawsze trzeba płacić!

-- Można nie płacić wcale -- rzekł Werbicz, gdy Różycki, zniecierpliwiony, gryzł wąsy i tłumiał

złość: -- Można ubezpieczyć się wspólnie w naturze.

To zaciekało nawet Jawornickiego. Werbicz cierpliwie wykladał.

-- Możemy dwojako się stowarzyszyć: albo spalonemu składa się pieniądze wedle oceny i rozkładu wszystkich dominiów, albo rozkłada się na pozostałych produkty, które mają poszkodowanemu dostawić.

-- Co? Mają mi nakazywać, czym mam brata ratować? -- oburzył się Jawornicki. -- A któż wie, co u mnie w spichrzu i w stodole? Ja sam poszlę, co będę mógł, i basta.

-- Ależ to będzie chryja z rachunkami! Ozłocicie chyba człowieka, który się tym zechce zająć! --

zawołał Tedwin.

-- Ja się tym zajmę bezpłatnie -- rzekł Różycki.

-- No, to chyba. Ty masz pewnie dwie portmonetki? -- zaśmiał się Jawornicki.

-- Do czego pan to mówisz?

-- Do tego, że był raz agent, któremu zabrakło pieniędzy premiowych, a stało się to z tej racji, iż miał tylko jedną portmonetkę, na cudze i na swoje.

Ogólny śmiech przyjął ten koncept.

Różyckiemu rozdęły się nozdrza, ale się pohamował, a Werbicz dalej mówił:

-- Naturalnie, rozdział się zrobi wspólnie, wedle ilości i gatunku ziemi, za zgodą każdego członka, który stosowną deklarację podpisze. Następnie w razie pożaru rozdzieli się stratę stosownie do odległości, warunków i możliwości.

-- Utopia -- machnął ręką Tedwin. -- Zresztą ja do tego nie potrzebuję należeć, bo od dawna zaprowadziłem u siebie ubezpieczenie miejscowe. Każdy folwark składa do ogólnej kasy roczną premię i zebrał się już kapitał olbrzymi.

-- Gdzie? U ciebie czy w Anglii? -- spytał Jawornicki.

-- Mogę przedstawić księgi.

-- To czemu tego kapitału nie ruszyłeś w zaprzeszłym roku, jak ci się tartak spalił, ale dobierałeś w banku?

-- Bo zakłady przemysłowe nie należą do gospodarstwa.

-- Aha, to wedle ekonomii!

-- A ja przystępuję do udziału -- odezwał się Zawirski, pobrzękując brelokami. -- Malewicze zapiszcie, proszę, i naznaczcie sami wysokość opłaty. Wszelkie dzieło publiczne zwykł jestem popierać, mając po temu środki. Żeby nie zbytnia odległość, załączyłbym i moje majątki wileńskie.

-- Ho, ho, masz już majątki w guberni wileńskiej? Nauczcie nas, w jaki sposób je nabyłeś. To sztuka!
-- zawołał Jawornicki.

-- Wziąłem po żonie.

-- Umarła?

-- Co znowu? Żyje!

-- No, to jakże możesz brać spadek po żyjącej? Co żony, to nie męża. Proś Boga o dzieci, bo inaczej to jesteś takim właścicielem jak kij na gruszcze.

Zawirski poczerwieniał, wydał wargi, zmrużył oczy, ale milczał, bo stary był superarbitrem jutrzejszego kompromisu i miał córkę jedynaczkę.

Wzruszył więc tylko z politowaniem ramionami i zwrócił się do Werbicza:

-- Kiedy rzecz się ułoży, liczcie na mnie.

-- Aha! ułoży się! -- mruknął Różycki widząc, że przy stole zostali znowu we czterech, gdyż reszta obstąpiła szczerlnie zielone stoliki.

Wtem drzwi skrzypnęły dyskretnie, a Jawornicki, śmiejąc się, ramiona wyciągnął.

-- A, a, a, szanownego pana Józefa witam. Gdzież to bywałeś? U panienek?

-- Nie, u chłopczyków, *vis-à-vis*! -- odparł wesoły głosik Józefa Jamonta.

-- Cóż, jakże tam idzie? Ostro?

-- Nieźle: pięć tysięcy leży na stole. Szalenie idzie karta pańskiemu synowi! -- zwrócił się do Zawirskiego.

Zerknął na graczków, potem na zakąski, połknął ślinę i dalej opowiadał:

-- pan Zygmunt szczęśliwy, tylko nasz Wiktor nie w tonie. Ale to sobie wynagrodzi wieczorem.

-- Co? Gdzie? -- pytał ciekawie tłusciuch, gdy Tedwin ojciec ani się obejrzał.

-- Będziemy *en bonne fortune*! -- szepnął Józef.

-- Opowiadajże, opowiadaj! Siądź tu bliżej!

-- W gardle mi zaschło od kredy i dymu.

Zawirski dał znak służbie. Wnet na stole zjawiono się kilka butelek, do których miłośnie zaśmiały się oczką Józefa. -- Był już cięty, bo spojrzał odważnie na Różyckiego.

-- A co? Bułanek się udał! -- zaśmiał się.

Pan Erazm nie raczył odpowiedzieć. Ziewnął nerwowo i trącił Werbicza. Pożegnali Zawirskiego i wyszli. Jawornicki poił Józefa i wyciągnął z niego wszystkie wybryki młodzieży. Na korytarzu Werbicz ramionami ruszył.

-- Chodźmy spać -- mruknął -- nic nie zrobimy.

-- Wstąpię jeszcze do chłopców -- odparł Różycki. Po ich wyjściu Tedwin się odezwał:

-- Różycki zaczyna się bawić w apostoła.

-- A poprosić go o pożyczkę na mały procent to zawsze odmówi -- mruknął ktoś drugi.

-- Aha, dobrodziejstwa chce robić naszą kieszenią.

-- Chce mu się dostać do gazet w Warszawie.

-- U nich wszystkich w rodzie jest jakiś bzik. On za młodu objeździł uniwersytety zagraniczne; synowce uczeni jak rabini; panna niepodobna do kobiety. Damy sobie radę bez niego.

-- Zagranica dała nam kartofle, to dosyć! -- huknął Jawornicki.

-- Słyszę, ten jego synowiec muzyk zamyśla o córce pana dobrodzieja -- szepnął mu Józef.

-- Co? A on mi na co? Na mełameda do chederu żydowskiego? Nie dla psa kielbasa! Mnie gospodarza trzeba, a nie muzykanta.

Spojrzał na Tedwina, czy go słucha, ale przemysłowiec nie miał zwyczaju słuchać, gdy nie mówiono o nim i jego fabrykach. Józef tylko aluzję zrozumiał i w lot podjął.

-- Wiktor nasz taki -- szepnął.

Jawornicki chrząknął, mrugnął i zrobił na dłoni ruch liczenia pieniędzy.

-- Rozumiem. Niech pan liczy na mnie -- rzekł, śmiejąc się słodko.

Na tym się skończyła rozmowa o wspólnym ubezpieczeń Wrócono do porządku dziennego.

Tłuścioch słuchał ploteczek Józefa, gracze zatopili się w kartach. Zawirski wciąż kogoś witał, gościł przeprowadzał. A Różycki tymczasem wszedł do stacji młodzieży. Tu panowała też nof uczyniona z dymu, kurzu i natłoku. Drzwi do sąsiednich rów były pootwierane, ale pomimo to, czy z powodu górą czy dla wygody, większość młodzieży była w wielkich negliżac i wciąż narzekano na upał. Gęsto bo było jak w ulu i każdy robił co mu się podobało.

Ludwik Tedwin wymyślał po furmańsku czarnemu faktorowi trzymając go za brodę; ktoś na brzegu stołu, zarzuconego odzieżą, jadł spóźniony obiad; dwóch się myło przy pomocy Żydka lokaja i swoich stangretów.

Stefan Holanicki, siedząc na oknie, próbował harmonii, ii gwizdząc jakąś arię; młody Stocki umawiał kandydata na strażnika. Ktoś drugi godził kucharza, Wojnicz targował się z Żydówką i o żelazo do pługów, każdy był zajęty, rozbawiony i krzyczał jak f w lesie.

U samych drzwi młody Zawirski stał z faktorem i dwiema dziewczynami i przypatrywał się im przez szkiełka.

Gra w karty toczyła się na łóżku, na którym wylegiwał się Zygmunt Holanicki; stół

reprezentowała poduszka, na której bez ceremonii pisano węglem, ołówkiem lub atramentem. Tam panował zgiełk najdoskonalszy, śmiechy, drwiny z przegrywających, koncepty niemożliwe do powtórzenia.

Różycki, nawykły do tego widoku i obyczajów, zaraz na wstępie zaczął Zawirskiego.

-- Żebyś włożył i drugą parę szkieł, dziewczęta pozostaną szpetne -- rzekł żartobliwie.

Ale już go spostrzeżono i zaczęto witać. Ludwik Tedwin z zadowolenia aż uwolnił brodę faktora ze swej dłoni i zbliżył się z uśmiechem.

-- A co? Podobno obejrzałeś pan bułanka?

-- Nie ja, moi ludzie. Ja się na kalectwach końskich nie znam.

-- Cha, cha, cha! Dobrodzieju, łaskawco, że mnie od niego uwolniłeś! Znany był jak zły szeląg i Stocki poszedł ze mną o zakład, że go nikomu nie wsadzę!

-- Bodaj to specjalność! -- zaśmiał się Różycki dwuznacznie.

Witał się dalej, zajrzał na łóżko i wyjmując asygnatę czerwoną, przykrył ją kartą.

-- O, i rogalskie pieniądze dziś zobaczę! -- zaśmiał się Zygmunt, trzymając bank.

Rzucił karty, przegrali wszyscy, Różycki wygrał. Ludwik zbliżył się także.

-- Zyguncie, a trzymaj się ostro! -- -- zawołał.

-- To wasza spółka? -- spytał pan Erazm.

-- Tak! Trzy tysiące w banku.

-- No, mnie tyle nie trzeba; odegram tylko bułanka. Postawił trzy razy, sto rubli zgarnął i odszedł.

-- Ależ pan jesteś szczęśliwy! -- rzekł mu Kostuś, wychodząc -- z sąsiedniego pokoju.

-- Cóż chcesz? Jestem starym kawalerem, muszę w karty wygrać.

-- Lepiej panu idą karty niż ubezpieczenie! -- odezwał się piękny Wiktor z przekąsem.

-- Nie żartuj z ognia.

-- Moja mama kpi sobie z ognia -- rzekł Zygmunt. -- U nas budowle tym ubezpieczone, że dachów już nie ma, a ściany tylko gdzieniegdzie. To, panie, rozum!

-- A jednakże kobiety prędeż przyjąłby nasz projekt -- rzekł pan Erazm.

-- Oho, kobiety lubią przyjmować nasze projekty! I ja wolę kobiety! -- odparł Zygmunt.

Śmiech ogromny napełnił stancję.

W tej chwili wpadł Janicki, blady, niespokojny.

-- Nie ma tu Różyckiego? -- zagadnął.

-- Czego chcesz? Jestem. Odprowadził go na stronę.

-- Mój drogi, pożycz mi sto rubli na minutę.

-- Dobrze, ale rozplacisz się i pójdziesz do mnie spać. Zamknę cię na klucz.

-- Nie żartuj! Nie mam czasu, właśnie mi zaczęła karta iść.

-- No, to nie dam.

Odwrócił się od niego i zbliżył do Stefana.

-- Poszedłbyś, chłopcze, na rzekę i pomógł paniom wiosłować. Wybierają się na spacer.

-- Co ja tam będę z babami robił -- mruknął Stefan, biorąc nową harmonię od Żyda handlarza.

Po chwili jednak dodał: i

-- Ja bym poszedł, ale boję się panny Rity; ona się ze mnie śmieje.

-- Przywidziało ci się coś. Owszem, bardzo cię lubi.

-- Albo to prawda? -- mruknął nieufnie dziki chłopak. W tej chwili drzwi się otworzyły i ukazała się w szczelinie głowa Adasia. Zajrzał dwa razy, zakrzuszył się i cofnął; nareszcie przemógł się i wszedł. Miał minę zakłopotaną, ale spostrzegł Konstantego, stryja i nabrał odwagi.

-- Wszelki duch Pana Boga chwali! I ty tu? -- zawołał Różycki.

-- Ach tak, stryju, panie mnie przysłały.

-- Ślicznie, ślicznie, zaczynaj służbę, rekrucie! A czegoż panie chcą?

-- To panna Jadwiga..!

I chłopak oblał się szkarłatem na uśmiech stryja, zająknął się, ale już jego ucho muzykalne posłyszało fałszy harmonii i zbliżył się do Stefana.

Zatrzymał się jednak i wrócił do stryja.

-- Ależ ja z pośpiechu nie przywitałem się z gospodarzem lokalu. Powiedziano mi, że Stefana tu znajdę, a nie spytałem, czyj to numer.

-- I ja nie wiem, i nikt z gości zapewne. Nie staraj się i ty dowiadywać, bo nie dowiesz się do jutra.

-- Ależ oni krzyczą, muszą być nietrzeźwi.

-- Nie, oni odbywają kontrakty.

-- Boże, jak to dobrze, że ja nie mam majątku, jeśli kontrakty są obywatelskim obowiązkiem.

Spojrzał przerażony po otoczeniu jakby ogłuszony, potem opamiętawszy się, zwrócił się do Stefana:

-- Mój drogi, siostra cię prosi do panny Stefanii.

-- Siostra? Widzieliście tę błaźnicę! Będę może jej słuchał. Powiedz jej, że nie myślę iść!

-- Ależ, Stefanie, popłyniemy łodzią! Chcemy, żebyś był z nami i pomógł wiosłować.

-- A cóż to, Jaga raptem siły straciła, czy sukcesję wzięła, że nie raczy sama wiosłami machać?

Tylko jej nie pomagaj, zobaczysz jaka mocna! Patrzajcie, hrabiankę udaje.

-- Głowa ją boli i prosi, żebyś wyręczył.

-- Wierzysz łgarstwom; nigdy jej głowa nie boli. A moje więcierze zimą po kryjomu wytrząsać w nocy to umie! Zresztą głową wiosłować nie będzie. Kupiłbym tę harmonię. Ile chcesz za nią? --

spytał Żyda,

-- Siedm rubli.

-- Poszedł won! Dam cztery.

-- Nu, u mnie za tę cenę nie ma -- rzekł Żyd obrażony, zbierając instrumenty do chusty.

Pożądlive oczy Stefana śledziły jego ruchy. Marzył o tej harmonii długo, ale zebrał na nią tylko pięć rubli. Ile na te pięć rubli nocy nie dospał, nóg schodził, prochu zmarnował i matki naoszukiwał, tego by nie zliczyć. Teraz trzeba było rozstać się z tym marzeniem.

Gdy Żyd instrumenty schował, chłopak westchnął nieznacznie, potem zaczął gwizdać przez zęby.

-- Mądra Jaga -- mruknął po chwili. -- Dobry Stefan do wioseł, a żeby mi dała pieniędzy, to nie.

Prosiłem wczoraj o trzy -- ruble, a wiem, że ma, bo sprzedawała przed wyjazdem jakiś medalion, który miała od ciotki Matyldy. Powiada, że jej potrzebne. Ciekaw jestem na co, kiedy niedawno trzewiki dostała? Teraz ja nie chcę; powiedz jej to ode mnie!

Adaś wyszedł i po minucie wrócił.

-- Panna Jadwiga kazała ci wręczyć trzy ruble -- rzekł cicho.

Stefan obejrzał papierek nieufnie jak lis gałki z trucizną.

-- To nie te, tamte widziałem, były trzy pojedyncze rzekł. -- Ty pewnie swoje dajesz, to ja nie chcę.

-- Ależ gdzie tam! Musiała rozmienić.

-- No, to powiedz: dalibóg! Bo ja cudzych pieniędzy chcę, nie brałem i brać nie będę.

I Adaś powiedział: dalibóg, zaczerwieniony, dumny, przekonany, że ma już do tego prawo.

Różycki, niby rozmawiając ze Stockim, scenę tę śledził jednak uważnie i uśmiechał się. Teraz już Stefan śmiało wziął pieniądze i odwołał Żyda, który niedaleko odszedł od progu.

Zaczęło się znowu próbowanie, Adaś został wezwany do rady i z cierpliwością anielską przebierał harmonie. Nareszcie wybór zrobiono i Stefan dobył pieniądze z wytartej portmonetki; własnego wyrobu. Dobry humor mu wrócił.

-- No, to już teraz pojedziemy -- rzekł Adaś.

-- A, niech tam! Pójdę, niech się błaznica nie męczy, ale; wezmę z sobą harmonię, dobrze?

-- Dobrze, dobrze.

Stefan zaczął szukać czapki, kupił papierosów mniej smrodliwych i nareszcie wyszli w przykładowej

zgodzie.

-- Szkoda, że nie masz siostry i że jesteście cioteczni -- rzekł Różycki do Konstantego. -- Ten Stefan zdałby ci się w Algierze.

-- On mnie już pytał, czy mamy tam rzekę i ryby. Niedaleki jest od dezercji z Pryskowa! -- oparł Kostuś.

-- I wierz mi, zabierajcie go, bo tu się zmarnuje, a teraz jeszcze to dobra rada. Zostajesz? -- spytał.

-- O, nie, mam tego dosyć.

-- Wyglądasz struty. No, chodź do mnie, odpoczniesz. Byli przy progu, gdy naraz dwa zgiełki się podniosły. Jeden pochodził z dalszych stacji, a epilogiem jego było ukazanie się kandydatki na klucznicę do Zawirskiego, którą wyrzucał za drzwi czarny faktor, gdy jej towarzyszka coś dowodziła żywo, a kilkoro młodzieży śmiało się homerycznie. Drugi zgiełk powstał u graczków i górował nad nim bas Zygmunta.

-- Trzysta tysięcy diabłów! Spółka to spółka! Boisz się stracić, to zabieraj swoje i idź mi z oczu, bałwanie! A ty, Wiktorze, nie przekreślaj swoich rachunków, bo ci je na łbie skopiuję.

-- Reguła każe zmieniać karty -- krzyczał Józef.

-- Reguła każe płacić przegraną, a ja mam pełną torbę twoich kwitków! Ty się nie odzywaj.

Józef schował się za plecy Wiktora, który zgrany był i wściekły.

-- Ja nie mogę grać w takim towarzystwie -- syknął.

-- Nie możesz, to marsz!

I Zygmunt, porwawszy swój but, fabryki Szmula z Pryskowa, cisnął nim na kuzyna. Ten się uchylił i Józef dostał obcasem w nos tak gwałtownie, że aż mu się krew rzuciła.

-- A to co?... -- wybełkotał oburzony. Zygmunt obejrzał się i rzucił mu pięciorubłówkę.

-- Na, masz na plaster.

Chwilą ciszy, a potem śmiech ogromny pokrył cały wypadek.

-- Och, czemu ja tam nie stałem! -- rzekł Żydek lokaj, podając Józefowi miskę z brudną wodą.

-- Chodźmy -- rzekł Różycki, przełykając ślinę, jakby go zanudziło nieznośnie.

Kostuś bez ceremonii splunął. Na progu pan Erazm raz jeszcze spojrzął na towarzystwo i rzekł

głucho:

-- Oto masz, jak wygląda lew w sieci.

Przecisnęli się przez tłok na korytarzu i odetchnęli wreszcie w mieszkaniu Różyckiego.

-- Czy się zgrałeś, żeś taki osowiały?

-- Nie, ale odnalazłem swoją wdowę.

-- Czy chcesz, abym się za ciebie oświadczył?

-- Nie, nie chcę tej kobiety! Wiktor tam do niej idzie dzisiaj na kolację. Już posyłał na zwiady Józefa.

-- Idzie, a przyszedł, a był, to jeszcze różnica. Zresztą, jeżeli kobiety nie chcesz, to po co się alterujesz? -- dodał drwiąco.

-- Bo panna Rita mi ją wmawia.

-- No, to i wmówi, bądź pewny. Czemuż więc tu siedzisz? Idź, odnow znajomość i uprzedź

Wiktora.

-- Kiedy ja jestem pewny, że ona go kocha!

-- Ładny gust, ani słowa.

-- A pan już dzisiaj do panny Stefanii nie wstąpi?

-- Nie. Mam kompromis, sprawę pani Zofii i historię z karni. Idź sam, chłopcze, i zdecyduj się wreszcie na którą, bo mi panna Felicja poleciła oświadczyć się za ciebie Janickiemu.

-- Nie, nie chcę, żadnej nie chcę!

-- Żadnej nie, ale jedną wybierz. Ledwie umitygowałem twoją opiekunkę i wyprosiłem tydzień zwłoki.

. -- Otóż to, że ja i ciotki się boję, więc zostanę u pan i posłucham kompromisu.

-- Niewiele się zbudujesz.

Różycki ustawił wokoło stołu krzesła, wyszukał kałamarz, rozłożył papiery i usiadłszy, dumiał

ciężko, zapewne nie nad własnymi biedami. W tej chwili wsunął się do izby i stanął u progu stary szlachcic w szarej kapocie. Trzymał się pochyło zbiedzony, pokorny, raz w raz spoglądając spode łba i wyłamując palce ze stawów.

Różycki się nań obejrzał.

-- A jesteś, Mancewicz. Dobrze!

Ton był niezbyt uprzejmy; szlachcic westchnął.

-- Wzdychaj, wzdychaj -- burknął pan Erazm. -- I ja bym wzdychał, żebym był takim infamisem jak ty.

Po tym mało obiecującym zagajeniu rozmowy wstał i zbliżył się do interesanta piorunując go wzrokiem.

-- I powiedz mi, za kogo ty mnie masz, żeś mnie zrobił swoim arbitrem? Może wyobrażasz sobie, że ci daruję taki honor? Przeczytałem papiery sprawy i będę prosił, żeby ci nie darowano ni dnia, ni grosza. To zgroza, żeby takie infamisy lat tyle męczyli porządnego obywatela.

-- Najłaskawszy panie -- jęknął Mancewicz -- człowiek ogadany gorzej zabitego, a biedny zawsze nie ma racji!

W tej chwili wszedł Werbicz, ale Różycki nań nie zważał i aż sapał z oburzenia.

-- Biedny! A procesować pana Zawirskiego możesz? A worywać się w jego grunta masz czym?

A stawiać folwarki masz za co! Poczekaj, nauczę cię używać mnie za swego arbitra.

-- Mój drogi -- szepnął Werbicz po francusku -- powoli, rozważnie. Przejdźmy sprawę porządnie. Pamiętaj, że sędzimy biednego i bogacza.

Różycki się zachnął, ale pohamował.

-- Kostusiu! -- rzekł. -- Pójdź, proszę, poproś tego grubego Jawornickiego. Powiedz, że potrzebny do kompromisu.

Jamont zastał grubasa przy kolacji. Na wezwanie do pracy skrzywił się:

-- A niechby mi tam przygotowali papiery do podpisu. Przyjdę, jak przekąszę.

Po chwili jednak dźwignął się i wstał.

-- At, gotów mnie Zawirski posądzić o opieszałość. Sprawy publiczne przede wszystkim.

W korytarzu zawołał swego lokaja:

-- Iwaś! A daj tam co wypić.

Wszedł do stancji Różyckiego i obejrzał się za fotelem, wreszcie ulokował się na łóżku. Za nim Iwaś wniósł tacę pełną butelek.

-- A to co znowu? Wynoś! -- oburzył się pan Erazm.

-- Za pozwoleniem, ja chcę pić -- zatrzymał go Jawor -- nicki. -- Wy sobie gadajcie, ja wysłucham,

osądzę, ale gardło odwilżyć muszę. No, panie Erazmie, w czym jest rzecz?

Pan Erazm, chmurny, wskazał palcem na szlachcica.

-- Ten oto zdał się na mnie, że go będę bronił, a sprawa jest taka: Ojciec jego był strażnikiem w Malewiczach. Musiał tego kraść, bo kupił sobie w sąsiedztwie kawał ziemi, który obudował bardzo porządnie. Przy tym wokoło straży dobył spod lasu szmat pola, kosił łąki, trzymał bydło. Dobrze mu się wiodło. Stary marszałek Zawirski mało w to wglądał, aż po jego śmierci syn, a obecny właściciel, obejrzał się, że trzyma rabusiów, nie służbę, i kazał im ze straży ustąpić.

-- Jak Boga kocham i uwielbiam, tak prawda, że mi nieboszczyk pan tę ziemię podarował --

jąknął Mancewicz.

-- Kłamiesz, a po pierwsze Boga ani kochasz, ani uwielbiasz, co się dalej pokaże. Kłamiesz, bo nieboszczyk wcale cię w łasce nie miał, a gdyby i uniósł się szczodropliwością, toby to synowi powiedział, bo nagłą śmiercią nie umarł, a syn nie zataiłby. Zresztą tę bajkę o darowiźnie wymyśliliście dużo później, bo z początku prosiliście łaski i zwlekaliście z opróżnieniem straży pod różnymi pozorami.

-- Mój drogi -- wtrącił z cicha Werbicz -- nie mamy racji zaprzysięgać, że nie darował. Ci dawni magnaci miewali dzikie fantazje.

-- Za pozwoleniem! -- zaśmiał się Jawornicki. -- W tłumaczcie mi przede wszystkim, który z was broni sprawę szlachcica, a który Zawirskiego, bo słuchając was zupełnie odurzałem.

-- Nie będę kłamał. Mówię, co wiem i w co wierzę -- odparł Różycki.

-- A ja się lękam skrzywdzić ubogiego -- rzekł Werbicz. Zawirski ma za sobą wyroki i moc, może -- być wspaniałomyślnym. 1 Lepiej uniewinnić dziesięciu winnych, niż skazać jednego niewinnego. To moja maksyma.

-- Słuszna, chrześcijańska -- -- mruknął Jawornicki, sącząc złotawy napój z kieliszka.

-- Mój Boże, cośmy wycierpieli! -- jęknął Mancewicz. -- Wygnano nas ze straży w mroźną noc, siłą, jak zbójców! A my tyle lat wiernie służyli dworowi. Bodajem wrósł w ziemię, jeśli kiedy co złego panom uczynił!

-- Dzięki Bogu, że waszych zaklęć niebo nie słucha -- zaśmiał się szyderczo Różycki -- a to mielibyśmy tu w stacji, u Kiwy, wrosłego w ziemię człowieka.

-- Mój przyjacielu -- rzekł Werbicz -- pan Zawirski nie chce twej zguby, ale twoim uporem naraziliście go na wielkie straty. Pięć tysięcy rubli kosztuje proces.

-- I kosztowałby drugie tyle, żeby synków tego dobrodzieja nie złowiono na gorącym uczynku, jak podpalali folwark malewicki. Wtedy złożyli broń. Słuchaj no, stary! Kupiłeś majątek, tytułujesz się obywatelem, w tym kraju my giniemy, wy zajmujecie nasze miejsca. Śliczna młoda szlachta i

właściciele ziemscy! Całe szczęście, że są kategorie, bo inaczej, jeśli wam dalej pozwolą tak dokazywać, zrobicie z tego kraju tatarszczyznę. Dzięki Bogu, że stary i że tej waszej gospodarki nie zobaczę u siebie.

-- W miłosierdziu pańskim moja nadzieja -- jęknął Mancewicz padając do nóg Werbiczowi i Jawornickiemu.

-- Bądź dobrej myśli, mój człowieku! Nie wyzyskamy naszej przewagi! -- rzekł Werbicz, a grubas dodał ze śmiechem:

-- Jesteście szelmy, ale że się lubicie pieniąc to znak, żeście polska szlachta. Tak, tak, to tradycja szanowna, stara! Idź, idź!

Nie zawiedziesz się, żeś swój sąd wybrał.

Mancewicz wyszedł. Jawornicki mrugnął na kolegów.

-- To oni umieją podpalać. A niechże was! Po com ja wlaź w ten kompromis! Z takimi ostrożnie, mówię wam! Niech ich diabli wezmą, gotowe nieszczęście. Iwaś, daj mi fajkę.

Iwaś wsunął się natychmiast. Gęsty kłęb dymu otoczył grubasa. Kazał się obstawić poduszkami i pykał z wolna.

-- No, mówże panie Erazmie!

-- Co mam mówić? To zgroza, żeby takie łotry dziesięć lat drwili z prawa i sądu i męczyli słusznego właściciela. Powinni zapłacić kosztą, wynieść się natychmiast ze straży i pokwitować z pretensji.

-- No, no, nie tak ostro! A czegoż on prosi?

-- Mało co taki tam prosi. Chce zboże zebrać, budowle zebrać i kosztów nie zapłacić.

-- Naprawdę, i on jest zrujnowany procesem -- wtrącił Werbicz. -- Zawirski bogaty, on nędzarz.

-- Co to ma do rzeczy? -- oburzył się Różycki. -- Tu chodzi o sprawiedliwość, a nie o bogactwo.

-- Pewnie, pewnie -- bąknął sennym głosem Jawornicki. -- Szlachcic gałgan, ale z nim ostrożnie!

Podpala folwarki. Radźcie, żeby był i wilk syty, i koza cała, i piszcie wyrok. Tyle czasu pracujemy, a jeszcze nie jadłem kolacji.

-- Piszcie, ja nie będę maczał pióra. Dość będzie mi wstydu, gdy u spodu takiego wyroku będzie moje nazwisko -- mruknął Różycki.

Werbicz westchnął i wziął się do pisania.

-- Kłamiesz, a po pierwsze Boga ani kochasz, ani uwielbiasz, co się dalej pokaże. Kłamiesz, bo

nieboszczyk wcale cię w łasce nie miał, a gdyby uniósł się szczodrobliwością, toby to synowi powiedział, bo nagłą śmiercią nie umarł, a syn nie zataiłby. Zresztą tę bajkę o darowiźnie wymyśliliście dużo później, bo z początku prosiliście łaski i zwlekaliście z opróżnieniem straży pod różnymi pozorami.

-- Mój drogi -- wtrącił z cicha Werbicz -- nie mamy racji zaprzysięgać, że nie darował. Ci dawni magnaci miewali dzikie fantazje.

-- Za pozwoleniem! -- zaśmiał się Jawornicki. -- Wytłumaczcie mi przede wszystkim, który z was broni sprawy szlachcica, a który Zawirskiego, bo słuchając was zupełnie odurzałem.

-- Nie będę kłamał. Mówię, co wiem i w co wierzę -- odparł Różycki.

-- A ja się lękam skrzywdzić ubogiego -- rzekł Werbicz. -- Zawirski ma za sobą wyroki i moc, może być wspaniałomyślnym. Lepiej uniewinnić dziesięciu winnych, niż skazać jednego niewinnego. To moja maksyma.

-- Słuszna, chrześcijańska -- -- mruknął Jawornicki, sącząc złotawy napój z kieliszka.

-- Mój Boże, cośmy wycierpieli! -- jęknął Mancewicz. -- Wygnano nas ze straży w mroźną noc, siłą, jak zbójców! A my tyle lat wiernie służyli dworowi. Bodajem wrósł w ziemię, jeśli kiedy co złego panom uczynił!

-- Dzięki Bogu, że waszych zaklęć niebo nie słucha -- zaśmiał się szyderczo Różycki -- a to mielibyśmy tu w stacji, u Kiwy, wrosłego w ziemię człowieka.

-- Mój przyjacielu -- rzekł Werbicz -- pan Zawirski nie chce twej zguby, ale twoim uporem naraziliście go na wielkie straty. Pięć tysięcy rubli kosztuje proces.

-- I kosztowałby drugie tyle, żeby synków tego dobrodzieja nie złowiono na gorącym uczynku, jak podpalali folwark malewicki. Wtedy złożyli broń. Słuchaj no, stary! Kupiłeś majątek, tytułujesz się obywatelem, w tym kraju my giniemy, wy zajmujecie nasze miejsca. Śliczna młoda szlachta i właściciele ziemscy! Całe szczęście, że są kategorie, bo inaczej, jeśli wam dalej pozwolą tak dokazywać, zrobicie z tego kraju tatarszczyznę. Dzięki Bogu, zem stary i że tej waszej gospodarki nie zobaczę u siebie.

-- W miłosierdziu pańskim moja nadzieja -- jęknął Mancewicz padając do nóg Werbiczowi i Jawornickiemu.

-- Bądź dobrej myśli, mój człowieku! Nie wyzyskamy naszej przewagi! -- rzekł Werbicz, a grubas dodał ze śmiechem:

-- Jesteście szelmy, ale że się lubicie pieniąc to znak, żeście polska szlachta. Tak, tak, to tradycja szanowna, stara! Idź, idź! Nie zawiedziesz się, żeś swój sąd wybrał.

Mancewicz wyszedł. Jawornicki mrugnął na kolegów.

-- To oni umieją podpalać. A niechże was! Po com ja wlaż w ten kompromis! Z takimi ostrożnie, mówię wam! Niech ich diabli wezmą, gotowe nieszczęście. Iwaś, daj mi fajkę.

Iwaś wsunął się natychmiast. Gęsty kłęb dymu otoczył grubasa. Kazał się obstawić poduszkami i pykał z wolna.

-- No, mówże panie Erazmie!

-- Co mam mówić? To zgroza, żeby takie łotry dziesięć lat drwili z prawa i sądu i męczyli słusznego właściciela. Powinni zapłacić kosztą, wynieść się natychmiast ze straży i pokwitować z pretensji.

-- No, no, nie tak ostro! A czegoż on prosi?

-- Mało co taki tam prosi. Chce zboże zebrać, budowle zebrać i kosztów nie zapłacić.

-- Naprawdę, i on jest zrujnowany procesem -- wtrącił Werbicz. -- Zawirski bogaty, on nędzarz.

-- Co to ma do rzeczy? -- oburzył się Różycki. -- Tu chodzi o sprawiedliwość, a nie o bogactwo.

-- Pewnie, pewnie -- bąknął sennym głosem Jawornicki. -- Szlachcic gałgan, ale z nim ostrożnie!

Podpala folwarki. Radźcie, żeby był i wilk syty, i koza cała, i piszcie wyrok. Tyle czasu pracujemy, a jeszcze nie jadłem kolacji.

-- Piszcie, ja nie będę maczał pióra. Dość będzie mi wstydu, gdy u spodu takiego wyroku będzie moje nazwisko -- mruknął Różycki.

Werbicz westchnął i wziął się do pisania.

Ciszę pokoju przerywało skrzywienie jego pióra, ciche gwizdanie Różyckiego i chrapanie tłuściocha.

Nestor powiatu zasnął na stanowisku posług obywatelskich z czystym sumieniem spełnienia obowiązku. Kostuś, o stół oparty, słuchał i patrzył.

W tej chwili ogromny hałas powstał na korytarzu.

-- Co to? Pożar? -- zaniepokoił się Kostuś.

-- Ej, nie. To młodzi wstają od kart. Jamont wyszedł na korytarz.

Istotnie fala młodzieży wychodziła ze stacji Zygmunia. Zmęczeni, wyczerpani, ochrypli prostowali członki radząc, dalej robić.

-- Wróćcie i odegrajcie -- wołał szyderczo Zygmunt, zbierając pieniądze.

Ale nikt się nie kwapił.

-- Chodźmy na teatr. Jest jakaś małoruska trupa i Cygański! -- wołał Zawirski.

-- Pewnie Żydówki z Berdyczowa! -- śmiał się Zygmunt. -- Stare mięso!

-- Chodźmy, obejrźmy. Co mamy czas tracić!

Kostuś dojrzał na ganku Józefa z Wiktorem szepczących tajemniczo. Na nich zwrócił uwagę.

Tłum młodzieży wylał się na ulicę i ruszył na prawo.

-- Wiktor! -- ktoś krzyknął -- Chodźże do Cyganek.

-- Mam coś lepszego, solo! -- odparł.

-- Ja bym cię posolił! -- huknął Zygmunt. -- Pieprzu ci brak i bobkowych liści, wołowino!

Żart ten bogatego dziedzica Wiktor zbył milczeniem. Odprawił Józefa i poszedł gwizdząc w stronę dworku panny Stefanii. Za nim, jak cień, ruszył Kostuś. Rozminęli się niepostrzeżenie.

Jamont otworzył furtkę, wszedł na dziedziniec pusty, oświetlony księżycem, pełen woni i ciszy.

Wśliznął się cichaczem na ganek okryty dzikim winem i rozejrzał się wokoło.

Przez oświetlone okno domu widział ciotkę i pannę Stefanię, zajęte robotą i rozmową w salonie; nieco w bok widział okno swej wdowy zamknięte. Maszyna do szycia terkotała wewnątrz, ale firanki były zasłonięte.

-- Nic nie zobaczę i nie posłyszę -- mruknął z niechęcią.

Ale w tej chwili maszyna ucichła, lampa zgasła i w otwierającym się oknie stanęła Wojakowska.

Wychyliła się nieco i całą pierś zaczerpnęła powietrza, potem, splótwszy ręce nad głową, stała chwilę wpatrzona w księżyc, zadumana i smutna.

-- O, gdybym ją miał!

Zaszemrała krew w głowie Kostusia. Wtem kobieta drgnęła i zwróciła się półtwarzą do pokoju, opuszczając ręce: Ktoś drzwi otworzył i z cicha się odezwał:

-- Pozwoli pani sobie powitać?

-- Wolałabym, żeby to pan uczynił w dzień -- odparła spokojnie. -- Dziecko moje śpi i nie chciałabym go rozbudzać.

-- Zachowam wszelkie ostrożności -- odparł już wyraźniej głos Wiktora. -- W dzień nie ośmieliłem się złożyć wizyty, aby nie narazić pani na plotki.

-- Spóźniona ostrożność. Nie można być więcej skompromitowaną jak ja przez pana! -- odparła kobieta zimno i pogardliwie, zbliżając się do stolika i zapalając lampę.

-- Ktoś mnie oczernił... -- oburzył się.

-- Nikt! Pan sam siebie wobec mnie. Powiedział pan, że byłam pańską kochanką. O tym wie cały świat.

-- Inaczej do mnie mówiłaś, gdyśmy się widzieli raz ostatni, Helo! -- szepnął czule.

-- Nie pamiętam już... i tak daleko są te czasy ode mnie, że nawet nie czuję już żalu do pana.

-- Kochałaś mnie, mówiłaś! Ja pamiętam.

-- Mówiłeś to samo pan zapewne.

-- Nie przeczę. Jesteś tak piękna, panujesz dotąd nad moimi nerwami! Ludzie nas rozłączyli...

Cierpiałem tyle! Tyle lat!

-- Ja zaś codziennie Bogu dziękuję, że to już minęło.

-- Czyż bezpowrotnie?

Kobieta, zapaliwszy lampę, zamknęła okno i zapuściła firankę.

-- Pogodzą się! -- mruknął Kostuś. Pójdę i pogruchocę mu kości przynajmniej.

Wstawał już, gdy go do miejsca przykuł gwar u furtki. Była to Rita ze swym towarzystwem wracająca ze spaceru po rzece. Słysząc było jej wesoły głos, żegnający pannę Werbicz i zalecający ją opiece Stefana i bas tegoż:

-- Przeprowadzić mogę, ale dalibóg nie wiem po co. Taka dorosła panna, a to miasteczko. Nie ma tu ani wilków, ani głębokich rowów. Chyba ona się prosiąt boi.

Rozeszli się. Na podwórze weszła Rita, za nią Adaś z Jadwisią. Ona, coś nucąc, weszła do domu, nie widząc ukrytego,, w cieniu Kostusia. Tych dwoje pozostało u schodów.

-- Panno Jadwigo. Muszę pomówić z panią -- rzekł nieśmiało Adaś.

Jadwisia skamieniała. Myśl jej jak błyskawica przeszła wypadki dnia. Pewnie coś zrobiła monstrualnie niestosownego, pomyślała, drżąc w nadziei krytyki i jego niezadowolenia.

-- Pan ze mnie był niekontent -- szepnęła.

Nie wiadomo, które z dwojga było bardziej zalękłe i onieśmiałe.

-- Nie, pani -- odparł wreszcie chłopak zmienionym głosem -- ale mimo woli stało się dzisiaj nieszczęście. Co sobie pani myśli o mnie?

-- Ja... o panu... pan wie! -- wybąkała dziewczyna.

-- Rozumiem, że ma mnie pani za egoistę i wyzyskiwacza, ale słowo daję, nie ja to uczyniłem.

Jadwisia osłupiała zupełnie, ale nabierała pewności, że nie będzie strofowana.

-- Ja nie wiem, co pan chce powiedzieć?

-- Więc pani jeszcze nie wie. Chwała Bogu! Dzisiaj stryj mój oświadczył się za mnie matce pani i zostałem przyjęty...

Jadwisia podniosła oczy.

-- To wiem. Mówiła mi matka. Ale dlaczego to pan nazywa nieszczęściem?

-- Pani nie rozumie. Ja nie mogę się żenić z panią, to niegodziwe, ja nie chcę!

Dziewczyna zbladła jak ściana. Chwilę pozostała bez ruchu, jakby trafiona śmiertelnie; potem zagryzła usta, nozdrza się jej rozděły, odrzuciła głowę dzikim ruchem.

-- Jak pan nie chce, to nie -- mruknęła głucho. -- Ja dotąd sama w to wierzyć nie mogłam.

Myślałam, że śnię. Kto by mnie chciał... jeszcze tym bardziej pan, co mnie zna tak dobrze i Prysłow.

Dokończyła bardzo cicho i nagle spytała:

-- Więc pan już do nas nie przyjdzie?

-- Nie mogę.

-- I już mnie pan dalej uczyć nie będzie?

-- Nie. Skończone wszystko.

-- Skończone wszystko -- powtórzyła machinalnie. Nagle dzika jej natura znów się wzburzyła.

-- Podli ludzie! Co ja im szkodziłam? Ja bym ich potruła teraz wszystkich! Będę ich nienawidzić do śmierci! Tak bym się mściła!...

-- Za co? -- spytał niespokojnie.

-- Za to, że... -- zatrzymała się nagle. -- Et, nie powiem. Pan już mnie uczyć, ni kierować nie będzie. Jutro powiem matce, że nie pójdę za pana i będzie pan znowu wolny. Tylko, czy kto w to uwierzy, że ja nie chcę.

Nawał wrażeń zmieniał ją zupełnie. Nigdy przez całe życie nie powiedziała tyle od razu. Usiadła na schodkach i objąwszy głowę rękami, zapadła w zwykłą swą ponurość.

Adaś usiadł obok i chwilę milczeli.

-- Gdy już się rozstaniemy i gdy umrę, niech pani dobrze wspomina -- szepnął. -- Gdym panią poznał, na Boga, nie, myślałem, że się tym skończy. Nie byłem winien jednej złej myśli i gdyby nie stryj, długo bym może nie przejrzał, że źle robię. Człowiek, gdy kocha, jest ślepy, i ja ślepy byłem. Niech mi pani daruje.

-- Co takiego? -- podniosła głowę. -- Jak ja mogę panu co darować? Pan wie, że gdyby mnie pan i bił, i zabił nawet, to bym od pana wszystko złe przyjęła. A ja miałam tylko dobre. Ja nawet teraz dziękuję panu.

-- I niech mnie pani o rachunek nie posądza. Nie chciałem, nie myślałem korzystać z pani, nie marzyłem o żadnej nagrodzie, której wart nie jestem. Duszę pani chciałem wykształcić dla Boga, dla kraju, nie dla siebie.

-- Po co mi pan to mówi? Ja przecież nie tyle nierozsądna, żebym sobie wyobrażała, że mnie pan pokochać może. Mnie, dziką dziewczynę z Pryskowa! O, żeby mnie pan pokochał!

Wzdrygnęła się cała na tę myśl.

-- Żem panią pokochał, odchodzę! -- rzekł, wstając. -- Bom nie wart pani młodości i życia.

Rozumie mnie pani? Można pomyśleć, że za tę naukę, za to zajęcie roić mi się zacnie po głowie nagroda cudna! Nie, ja nie sięgam po żadną nagrodę, niczego od życia nie pragnę, bom śmierci przeznaczony, bom chory bez ratunku. Jeszcze lat parę, a umrę, a przed panią życie.

Dziewczyna wstała także, ponura, zacięta w sobie, dzika.

-- To fałsz. Pan mnie nie kocha, bo to niemożliwe. Co pana może do mnie zniżyć? To fałsz, ażeby mnie pan kochał!

Oczy jego zapytały ją, więc .odparła:

-- Żeby mnie pan kochał, pozwoliłby mi pan ze sobą razem umrzeć. Ale pan nie umrze, tylko pan tak mówi, żeby mnie się pozbyć. To dobrze, już odejdę. Niech panu będzie wszystko dobre za mnie.

Wyciągnęła do niego ręce i łzy jej się rzuciły do oczu ciche, żadną siłą już nie powstrzymane.

Adaś się zachwiał.

-- Nie płacz -- szepnął mimo woli.

-- Kiedy nie mogę! -- wyjąkała. -- To boli jak śmierć. Chłopak miał szczytne zamiary, ale w tej chwili poświęcenie przeszło jego siły.

Jedna chwila i wszystko zapomniał: i zmorę śmierci, i wyrafinowaną delikatność, i lęk wyzysku tej młodości -- wszystko.

Postąpił krok i objął dziewczynę tuląc do piersi.

-- Nie płacz! -- powtórzył głucho.

Jadwisia oparła mu głowę na ramieniu i łkała długą chwilę. Przeskok był zbyt gwałtowny.

Oboje raz pierwszy kochali i pierwszy to był ich pocałunek w życiu, który zamienili w wielkim, uroczystym milczeniu.

Adaś zbladł pod wrażeniem; poczuł w sobie wielką siłę i moc do życia. Ona, wczoraj dziecko, dojrzała nagle i już nie dzika i ponura, ale poważna i rozjaśniona dziwnie, uchyliła się i spojrzała mu w oczy; zrozumiała, że teraz już nic ich nie rozdzieli, że go jej teraz nikt nie odbierze. Usiedli na schodach trzymając się za ręce. Nie mówili nic do siebie, aż Wreszcie on się odezwał:

-- Teraz tak bym żyć chciał. I muszę!

-- Ja pana nie dam śmierci! -- szepnęła z budzącą się znowu wrodzoną dzikością.

Kostuś wszystkiego wysłuchał i cierpliwie doczekał końca. Ale zakochani wcale nie myśleli o rozstaniu, a jego położenie na ganku było bez wyjścia.

W salonie Rita z panną Stefanią prowadziła żywą rozmowę i tamowały mu odwrót przez dom, na ganku narzeczem zagradzali mu drogę do furty.

„Chyba tu zanocuję, bo ich nie przeczekam” -- pomyślał z desperacją.

Wreszcie zdecydował się na krok stanowczy.

Powoli, ostrożnie wysunął się ze swej kryjówki i nie troszcząc się o Adasia i Jadwisię, jął

schodzić ze stopni. Udało mu się. Siedzieli spokojni, zapatrzeni w księżyc, zasłuchani w swe szczęście. Był już w połowie podwórza, gdy na szelest kroków Adaś się obejrzał.

-- To ty, Kostusiu? -- spytał.

-- Ja. Wracam do kwatery.

-- Zaczekaj, pójdziemy razem.

Ani się spytał, skąd się ukazał tak nagle. Po chwili dopędził go za furta i poszli w milczeniu. Na głównej ulicy wpadli w tłum młodzieży wracającej od Cyganek; wrzało tam jak w ulu. Obadwa przyspieszyli kroku opędzając się od zaczepek i grubych żartów. Ale na ganku Kostuś się zatrzymał. Siedział tam na ławce piękny Wiktor i palił cygaro.

-- Cóż, zabawieś się? -- spytał go Jamont.

-- Gdzie?

-- A u pani Wojakowskiej.

-- Cóż to? Szpiegujesz mnie? Trzeba było wcześniej.

-- Nie szpieguję, ale okno było otwarte i widziałem!

-- Więc po cóż jeszcze w oczy leziesz? Widziałeś, to ci na zdrowie!

Zygmunt stał we drzwiach i zaśmiał się:

-- Baby zawsze zółć poruszą. Chodźcie. Dam wam sodowej wody z cytryną.

-- Idź do diabła! -- burknął Wiktor.

Usunęli się co rychlej. Zygmunt wciągnął ich do siebie.

-- Coś taki blady? -- rzekł do Adasia. -- Masz, napij się wina.

-- Dziękuję ci! -- rzekł chłopak serdecznie.

-- Ot, nie dziękuj, a pij. Coś mi plotła mama, że ty się żenisz z Jagą. Czyś zwariował? ,

-- Dlaczego?

-- Bo to idiotyzm. Pasujecie do siebie jak księżyc do rzeszota. Tyle lat tułacie się nocami po zborze, a teraz sobie ją bierzesz! Pijże... takiś biały!.. Ale widzę, żeś człowiek porządny. Daj łapę, dziękuję ci za dziewczynę.

Adasiowi krew uderzyła do twarzy na tę brutalną pochwałę, ale podał rękę i wypił kieliszek wina.

Wypadł na korytarz jak spod pręgierza.

Weszli do swej stancji. Obok pan Erazm mieszkał.

-- To wy, wagabundy! -- wołał do nich. -- O tej porze porządni ludzie już śpią.

-- Czemuż więc pan jeszcze czuwa? -- odciął Kostuś.

-- Ja ledwie załatwiłem Żyda pani Zofii. Uf... otom się zmachał.

-- Woły się znalazły?

-- Tak. Ale parobek dotąd w kozie. Oduczą go na przyszłość pilnowania pańskiego dobra.

Adaś przykładnie ukląkł do pacierza, Kostuś rzucił się na posłanie. Po chwili pan Erazm drzwi przymknął i rzucił na stół zeszyt papieru.

-- Kostusiu, to dla ciebie. To mój plan wspólnego ubezpieczenia. Zabierz, może zużytkujesz u Kabyłów, bo tutejsze towarzystwo jeszcze doń nie dorosło.

Potem rzucił na stół drugi arkusz:

-- I to dla ciebie: kopia wyroku kompromisu. Możesz podać do humorystycznych gazet. Epilog zaś taki, że Zawirski oburzony, Mancewicz jeszcze niekontent, Werbicz jeszcze bije się ze skrupułami, czy nie za ostro osądził, Jawornicki dumny ze swego wyroku i rozumu, a szlachcic niezawodnie kogoś z nas podsmali. Dobranoc wam! Zasypiam na laurach. Jurek, przynieś mi szumiących proszków z apteki.

Zatrzasnął drzwi na stałe.

VII

W oknie u Kiwy fryzowano pięknego Wiktora. Czynił to jego lokaj, a pomagało dwóch Żydków. W tymże oknie siedział też pan Józef i objaśniał nazwiska przechodzących młodemu Zawirskiemu uzbrojonemu w ostre szkła na swoich wyłupiastych, baranich oczach. Tamże ogryzał

swe paznokcie zgrany do szczętu Ludwik Tedwin, rozmyślając, komu wpakować wczoraj kupioną klacz z fałszywym rejestrem, i tamże siedział Zygmunt Holanicki gwizdząc przez zęby i myśląc, czy wygrane setki zawieźć do Pryskowa, czy też zostawić pokusom miasteczkowym.

Przed tym oknem przechodziły panie. Wiedziały one, że młodzież tam jest i patrzy, więc udawały, że tego nie wiedzą. Jedne przechodziły szybko, jak spłoszone, inne śmiały się między sobą, inne stroiły miny pogardliwe lub poważne, a wszystkie myślały, że za tym oknem są tacy, którym się niezawodnie podobają.

Za tym oknem tymczasem istotnie zajmowano się nimi. Pan Józef grał rolę introduktora.

-- Patrz pan -- mówił do Zawirskiego -- ta gruba z tą małą czarną to Stocka i Wojniczówna.

-- Aha, te, co się dzielą Stachem Darowskim. Bestia używa jak sułtan -- wtrącił Wiktor nie odwracając oczu od zwierciadła.

-- A bogate to? -- zagadnął Zawirski.

-- Obiecują po dziesięć tysięcy za Stockie, a Wojnicz podobno złożył w banku posag, ale -- tu pan Józef ręce rozłożył -- ja przy tym nie byłem.

-- Wiesz co, Józefie? -- wtrącił Ludwik Tedwin -- załóżmy spółkę! Ożeń się ty z jedną, ja z drugą, a że jesteś człowiekiem romansowym, oddam ci i moją, ty mi zaś oddasz posag swojej.

-- Owszem, służyłbym chętnie, ale mam zobowiązania gdzie indziej, obowiązki -- wtrącił Józef, tajemniczo się uśmiechając.

-- Och, te twoje zobowiązania -- burknął Zygmunt. -- Na poczcie w Malewiczach, także jest co gadać,

-- A to kto? -- zagadnął Zawirski.

-- Ta bryczka? To Janickie przecie! Cace dziewczynki. Może je każdy uścisnąć, byle mania nie widziała.

-- I byle ojcu pieniędzy pożyczyć -- dodał Wiktor. -- Ja raz za trzydzieści rubli, które mu dałem, dostałem starszą na kuligu zeszłej zimy i wozilem całą noc nieprostą drogą.

-- Czy one niedaleko Malewicz? Niezły nabytek! Muszę sobie to zanotować -- rzekł Zawirski, szczerząc w uśmiechu swoje popsute zęby.

-- A oto grono tuzów -- syknął Józef, chowając głowę dyskretnie. -- Stary Różycki ze swoją synowicą. Ten sobie nie zadaje przymusu, coś jej szeptem do ucha na ulicy, a za nimi ten kretyn synowiec i twoja siostra, Zygmusiu. Widzisz?

-- A mnie co to obchodzi? -- burknął Zygmunt. -- Wolę, żeby Jaga chodziła z Różyckimi niż z wami lub ze mną. Bo to ochota tyle gadać o tych pannach i znać wszystkie.

-- Werbiczówna idzie -- oznajmił Józef po chwili.

-- Gdzie? Która? -- ciekawie spytał Zawirski składając podwójne binokle i mrużąc jedno oko.

-- O, ta, w granatowym płaszczu, wysoka, szczupła.

-- Pi, pi! To szyk! Jest posag?

-- Jest -- mruknął Zygmunt -- ale nie dla ciebie, dardanelu.

-- Posag!... -- zaśmiał się Wiktor -- żeby był, ale są tylko pozory. Bankruty!

-- Szkoda! -- westchnął Zawirski, goniąc oczami smukłą postać.

-- Oto i dwie Zapolskie.

-- Te, co krowy doją w domu i same zajmują na szkodzie chłopskie świnie? Podobno myją się tylko raz na tydzień pod studnią.

-- Nie, to Orlińskie. To podobno suchotnice, jedna ma krzywą łopatkę, druga miewa konwulsje.

-- Tfu, trzysta tysięcy -- zaklął z obrzydzeniem Zygmunt wstając. -- Dzięki Bogu, że ja w waszym towarzystwie nie żyję!

-- Dalibóg, Jawornicka jedzie!

-- Ta jedynaczka? Nie może być! -- zawołał Wiktor rzucając się do okna z na pół ufryzowaną głową.

-- Ależ czwórka kasztanów warta tysiąc rubli! -- krzyknął Ludwik, wytykając też głowę.

-- To ta panna gruba, ospowata, w żółtej bryczce? -- badał Zawirski.

-- Ta, ta! Sto tysięcy jak lodu i majątek, złote jabłko! Tej wiosny skończyła wychowanie. Sam kwiatek! -- mlaskał językiem Józef, trącąc Wiktora.

-- Pojechała do kościoła. Trzeba będzie z bliska ją obejrzeć -- zdecydował piękny Tedwin wracając do lustra.

Zawirski spojrzał na niego z ukosa.

-- Szpetna! Ja mogę sobie pozwolić na piękną i bogatą -- rzekł.

-- I ja też, ale osobno -- odparł Wiktor. Pan Józef znowu nieco od okna się odsunął.

-- Teraz już się msza zacznie, bo moja siostra poszła: syndyk kościelny -- szepnął. -- I goście algierscy z nią, i pani Zofia.

-- Ten Konstanty to cieleń -- zdecydował Ludwik.

-- I hołysz! Karty w rękę nie weźmie.

-- Dobry, kiedy aż tu go wiozą żenić; tam go widocznie zbrakowano.

-- Ja nie umiem z nim gadać; bardzo głupi. Tę ostatnią uwagę Wiktora podniósł Zygmunt.

-- Ciekawy jestem, co głupi głupiemu ma powiedzieć? To powiedziawszy, czapkę włożył i trzasnąwszy drzwiami, wyszedł.

Na ganku natknął się na Stefana, który ziewał i przeciągał się z nudów.

-- Coś ty nie spał?

-- Spałem, ale mi już tu dokuczyło. Wracajmy do domu.

-- Nie wiesz, gdzie mama mieszka?

-- U ciotki Stefanii. A ty wiesz, że Jaga za mąż idzie?

-- Idzie? Za kogo?

-- Nie wiem na pewno. Za Różyckiego podobno.

-- Kto ci mówił?

-- Mendel słyszał od Jurka furmana.

-- Et, brednie!

-- Nie brednie. A te trzy ruble, co on mi dał?

-- Co ty rozumiesz?

-- To rozumiem, że jeśli Jaga z Pryskowa pójdzie, to i ja długo nie zostanę. Błaźnica od nas chytrzejsza ma być? Oho, zobaczymy!

-- A, warto i ciebie, i ją światu pokazać. Rzadko się zdarza takie osobliwości darmo oglądać.

Wyraziwszy w ten sposób swój sąd o rodzeństwie, Zygmunt wyszedł na ulicę.

-- Pójdę obejrzeć tego wyżła u doktora. Za mało psów u nas -- rzekł, odchodząc.

Ale Stefan, zwykły jego cień i echo, nie ruszył za nim. W mózgu tym, który dotąd żył w stanie rudy, poczynano się coś budzić. Stał chwilę zamyślony, wreszcie czapkę swoją rękawem oczyścił i uważając ten czyn za ostateczny wyraz elegancji poszedł do kościoła.

Rzadko tam Stefan bywał. Do parafii z Pryskowa było mil siedm; za daleko na piechotę. Pani Zofia wymadlała się na cały rok z góry podczas kontraktów, a upewniona, że dzieci zostały ochrzczone i doprowadzone do pierwszej spowiedzi, dalej kwestii ich wiary nie pilnowała.

Zygmunt i Stefan byli tedy chrześcijanami na mocy chrztu; z własnej dobrej woli nie uczynili w życiu swoim nic, aby to zademonstrować, chyba że bywali czasem w kościele na Wielkanoc albo na mszy żałobnej za duszę ojca i gapili się po obecnych lub bezmyślnie wpatrywali się w ołtarz.

Tak i teraz Stefan się gapił. U progu chciał się cofnąć, bo ujrzał za stolikiem z kwestą pannę Werbiczną i Ritę, ale te panie udały, że go nie widzą, więc się prześlizgnął mimo nich i wpadł w tłok pospółstwa. Przeciskał się dalej szukając kogoś i wreszcie dotarł do Konstantego, który oparty o ławkę górował wzrostem i osłaniał sobą Jadwisię klęczącą i zamodloną.

Stefan się przeżegnał i dalej nie wiedział, co robić. Tłum go otaczał, przeważnie kobiet, jak to zwykle bywa w kościołach; wonie kadzideł napełniały nawę, a w głębi brzmiały organy. Rozejrzał

się. Zobaczył matkę wzdychającą nad grubym modlitewnikiem, pannę Felicję modlącą się bez książki, poznał Janickie rzucające oczami na wszystkie strony, szpakowatą czuprynę pana Erazma i wielką łysinę pana Werbicza i znowu powrócił oczami do Konstantego, którego atletyczne bary i jasną głowę miał tuż obok siebie.

Wtedy Stefan westchnął i począł rozmyślać. Naprzód o modlitewniku matki, w którym często przechowywała pieniądze i kwity, potem nad tym, dlaczego ciotka Felicja, modląc się, płacze z cicha, chociaż przecie niczego jej nie brak, a w Algierze raj. Potem zastanowił się, dlaczego na starość pan Erazm posiwiał, a Werbicz wyłysiał i w ogóle dlaczego ludzie z latami się zmieniają.

Wreszcie spojrział na Jagę i znowu westchnął.

-- Bestia dziewczyna! Kpi sobie już z Pryskowa i z niego. Zabierze się i pojedzie, nie będzie nic robiła, a będzie używała. Żeby to jego tak ktoś zabrał! On nawet rad by pracować, byle mieć coś swojego. Kostuś opowiadał, że w Algierze raj, ale i Kostuś do tej rozkoszy weźmie z sobą jaką pannę, a nie Stefana.

Ot, los kobietom! Stefan nigdy kobiet nie lubił, a teraz poczuł do nich nienawiść.

A właśnie spostrzegł, że tuż za nim walczyła z tłumem jakaś pani młoda, daremnie starając się wydostać z natłoku. Stefan jeszcze lepiej się rozparł i zupełnie zatamował przejście.

„Siedź!” -- pomyślał ze złością.

Kobieta, na pół zduszona, szepnęła:

-- Przepraszam pana, proszę mi dać trochę miejsca.

Stefan udawał głuchego, ale na dźwięk tego głosu Kostuś obejrzał się i żywo go trącił, sam usuwając się z drogi.

-- Ustąp pani! -- szepnął, pochylając zarazem głowę w ukłonie.

-- Mam każdej ustępować widocznie -- zamruczał Stefan niechętnie, czyniąc jednak miejsce.

Kobieta spojrzała na Kostusia i podziękowała ruchem głowy i uśmiechem. Ulokowała się tuż przed nimi i zaczęła się modlić. Kostuś nie zdejmował z niej oczu.

Teraz Stefan zauważył, że coś jest w kościele przyjemnego. Ogarniał go jakiś smutek i łagodność zarazem. Począł tedy znowu rozmyślać, co dzisiaj jest szczególnego w kościele, i wreszcie podniósł oczy do chóru.

-- Aha, to organy tak pięknie grają.

Nie on sam to zauważył. Coraz ktoś w górę spoglądał i wielu myślało, dlaczego wczoraj Różycki zbierał składkę na organy, kiedy te stare umieją takie modlitwy i hymny aż do serca podawać?

Stefan był z natury wrażliwy na dźwięki. Gdy go matka posyłała ze święconym na rezurekcję, miał to sobie za wielką łaskę, gdy mógł z tłumem śpiewać przy wtórze organu, ale teraz, tutaj, organista chyba nie ten co dawniej. Tak go to wreszcie przejęło i zaciekawilo, że się pochylił do siostry i rzekł:

-- Słyszałaś ty kiedy takie granie? Aż człowiekowi głupio się robi.

Jadwisia podniosła głowę.

-- To pan Adam gra -- szepnęła. .

-- Aaa! -- zdziwił się Stefan i umilkł.

Po chwili ukląkł obok siostry i znowu się odezwał: -- Daj książkę, ja sobie litanie przeczytam. W tej chwili ucichły organy, dzwonki się rozległy, głowy i karki ludzkie pokłoniły się ku ziemi.

Nastąpiła cisza uroczysta.

Stefan oddał książkę siostrze i szepnął, wstając.

-- Pójdę mu kalikować!

Wielka cisza ogarnęła kościół i każdy z serca niósł do nieba najgłębsze życzenia i prośby.

A wszystkich te organy, dotykane ręką natchnioną, nastroiły uroczyście i łzawo, że cały kościół

pełen był westchnień głębokich i szmerów serdecznej modlitwy.

Dzwonki przebrzmiały i znowu melodia popłynęła z góry, przejmująca w swej kościelnej starożytnej prostocie. Czasami mieszało się z nią parę akordów motywów narodowych; a wtedy starzy odczuwali młodą krew w sobie, a młodzi oglądali się trwożnie.

Powstawali wszyscy. Kostuś zaraz poszukał oczami młodej kobiety i pomyślał:

„Niech sobie co chce będzie, ale się ożenię! Już tak żyć z dnia na dzień nie godzi się”.

Nabożeństwo dobiegało do końca. Tłum rzedniał przed kościołem; u stołu kwestarek zbierali się znajomi, witano się i rozmawiano. Na tacę padały grube asygnaty, dar dla oka ludzkiego i stosunków; padały także miedziaki, Boża ofiara nieznanym.

Kościół wyludniał się, napełniał cmentarz, wszyscy odzyskiwali zwykły humor i wracali do spraw potocznych. Imię Adasia było na ustach. Wyglądano go, aby chwalić i winszować, Różycki uśmiechał się uradowany, promieniała szczęściem Rita.

Organy jeszcze brzmiały, a gdy ucichły i chłopaka długo nie było, panna Felicja, niecierpliwa, zawołała Kostusia.

-- Skocz na chór i sprowadź nam mistrza.

-- Kiedyż ja, ciociu, na kogoś też czekam.

-- Ach, mniejsza, idź, idź!

Chłopak spełnił polecenie i przepadł. Zaczęto się niecierpliwić, gdy wreszcie ukazał się Stefan.

-- Gdzie pan Adam? Nie widziałeś? -- spytała panna Felicja.

-- A ,tak, widziałem, to co? Na co on ciotce potrzebny?

-- Chcemy mu powinszować, czekamy!

-- Możecie nie czekać. Potrzebne mu winszowania! Obędzie się!

-- Pójdę sama tedy po niego.

-- Niech się ciotka nie fatyguje, Albo on tam siedzi? Zaraz zlął i poszli sobie z Jagą przez zakrystię. Pewnie już są w dworku.

-- A zdrajca!

W tej chwili Kostuś przemknął koło nich i wypadł na ulicę. Dogonił młodą kobietę wracającą samotnie i pozdrowił.

-- Nie poznała mnie pani. Witam!

Spojrzała nań i odparła sucho:

-- Owszem, poznałam pana.

Nie podała mu ręki i przyśpieszyła kroku, rzucając wokoło niespokojne spojrzenia.

-- Jakże się pani powodziło przez ten czas? Czy odnalazłaś pani tych, do których wracałaś? --
pytał towarzysząc.

-- Nie wracałam do nikogo. Znalazłam pracę i pragnę tylko spokoju! -- odparła sztywnym tonem.

-- Widziałem wczoraj Tolę... Mieszka pani w domu mojej krewnej. Dzieciak zdrowy?

-- Zdrowy, dziękuję panu -- odparła łagodniej. -- Odprowadziłam ją dzisiaj na cały dzień do
doktorowej, gdzie ma rówieśnicę. Ciasno dziecku w jednej stancji, a tam jest ogródek.

-- Pani ciężko pracuje! Ruszyła brwiami.

-- Ciężej byłoby bez pracy.

Skręcili w boczną ulicę; oficyna już była widoczna.

-- Pani pozwolisz złożyć sobie wizytę? -- spytał.

-- Nie -- odparła krótko.

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi; dotknęła go.

-- Dlaczego nie? -- rzekł.

-- Bo nie przyjmuję nikogo. Jestem biedną szwaczką nie pragnącą żadnych stosunków towarzyskich.

Stali u drzwi. Konstanty czuł, że go gniew ogarnia.

-- Mój kuzyn, Tedwin, jest więc szczęśliwym wyjątkiem -- rzucił przez zęby.

Kobieta pobladła i rzuciła mu spojrzenie dzikie prawie.

-- Tak, jest wyjątkiem! -- odparła zamykając mu drzwi przed nosem.

Zaklął i odszedł, poprzysięgając zemstę. Wałęsał się po ulicach czas jakiś, układając różne plany
bezsensowne, wreszcie uczuł nieprzewartą chęć podzielenia się swoimi wrażeniami z Ritą i poszedł

do dworku panny Stefanii. Nie była to jednak pora do zwierzeń. Dworek był pełen gości. Weszło to
od dawna w zwyczaj miasteczka, że po nabożeństwie niedzielnym znajomi schodzili się w dworku i

zostawali na obiedzie. Teraz w dwójnasób się zebrali, a wszędzie było pełno i gwarno jak w ulu.

Biedny Adaś, zaczerwieniony, zmęczony, rozstrojony do szczytu, słuchał ogólnych pochwał z miną męczennika. Różyckiego wzięła w obroty pani Zofia, rada z uprzejmego i potężnego pomocnika, stary Jawornicki przedstawiał córkę przekonany o szalonym wrażeniu, jakie uczyni.

Zawirski prezentował syna, Werbicz politykował z panną Felicją, panny oglądały kwiaty, młodzież, z pięknie ufryzowanym Wiktorem na czele, motylkowała około Jawomickiej, Tedwin zabawiał

rozmową o swoich fabrykach Zygmunta, który przypatrywał się gołębiom na dachu i nie słuchał wcale.

Był tam i Stefan, ale rychło się znudził, więc poszedł w głąb domu i ofiarował swoje usługi panie Stefanii krzątającej się w jadalni.

-- Niech ciocia tam pójdzie gadać, bo już zupełnie babcię odurzyli -- rzekł. -- Ja tu wszystko pięknie przygotuję.

Jadwisia trzymała się Rity, która oglądała ciekawie wszystkich i gromadziła materiał do karykatur. Gdy Kostuś do niej dotarł, rzekła z cicha:

-- Jakie ja tu pyszne pary pokojarzyłam w myśli! Patrz pan i uważaj: piękny Wiktor z tą ospowatą milionerką, Zawirski junior z naiwną Janicką, Tedwin z panią Zofią, ten tłusciuch z panią Matyldą. Czemu to losy nie bywają trafne! Wyrysuję ich panu kiedy.

-- Kiedy? -- powtórzył. -- Niedługo nas ten sam los odrzuci daleko i zapewne na zawsze.

-- Coś pan tak żałośnie nastrojony?

-- Jeśli tu dłużej pobędę, wstąpię do trapistów. Po co ja tu jechałem?

-- Co się stało? Dostałeś pan rekuzę od wdowy?

-- Tak, okropną, bez apelacji! Ale skąd pani wiesz?

-- Ano, bo widziałam pana z nią na ulicy.

-- Więc się pani mną zajmuje?

-- Ależ ogromnie! Poczekaj pan, byle obiad skończyć i pozbyć się tych ludzi, zaraz się tym zajmę i pogodzę was.

-- Alboż ją pani zna?

-- Jeszcze nie, ale to nic. Do wieczora będzie dobrze.

-- Ach, jak ja panią ubóstwiam!

-- Wiem, wiem. Strzepnęła rękami i odeszła.

Gwar i rozbawienie rychło orzeźwiło niefortunnego zalotnika. Po półgodzinie nie pamiętał wdowy i zasiadłszy przy Janickiej wyciągał ją na naiwne dwuznaczniki, ubawiony setnie.

Ale przecie najlepiej z całego grona bawiła się panna Felicja. Pomarszczona jej twarz wygładziła się uśmiechem, ciemne policzki pokrył rumieniec, oczy błyszczały. Odnalazła tylu znajomych, odnowiła stosunki, dowiedziała się tylu nowin i wypadków! I zapomniała w tej chwili o minionych dwudziestu latach, a wspomnienie przybrało świeże barwy rzeczy zaledwie wczorajszych.

-- Pamięta pan? Pamięta pani? -- brzmiało wokoło niej, a ona się śmiała uszczęśliwiona.

Podczas obiadu Werbicz wniósł jej zdrowie, a stary Jawornicki przypomniał:

-- Pamięta pani na redutach przed laty, jak to tańczyliśmy polkę -- mazurkę i upadli!

Młodzież słuchała tego, śmiejąc się z cicha. Wiktor wodził szyderczym okiem po zgromadzeniu.

-- *Ils sont ridicules!* -- wycedził z cicha do Rity.

Ta ruszyła ramionami.

-- Będziemy i my w tym wieku podlegali podobnemu zdaniu. Nic nowego pod słońcem.

W połowie obiadu Różycki podniósł kieliszek.

-- Pamiętamy o sobie. Stare dzieje. Piliśmy zdrowie nas starych, co schodzimy z placu, wypijmyż i zdrowie młodych, którzy do życia wspólnego i pracy się zabierają. Panowie sąsiedzi, przyjaciele niech się ze mną ucieszą. Synowca swojego żenię, a łaskawa pani Zofia swoją jedynaczkę mu daje. Niechże tym kielichem spełni się zdrowie narzeczonych i niech im nie będzie gorzej, niż nam bywało!

Niespodziana ta wiadomość osłupiła wszystkich. Pod wzrokiem tylu osób Adaś pobladł, Jadwisia pokraśniała, toast spełniono w milczeniu. Potem dopiero rozwiązały się języki, a gdy wstawano od stołu, wszyscy otoczyli pana Erazma i panią Zofię rozpluwając się w pochwałach i życzeniach.

-- Cóż to? Osiadasz w Rogalach na gospodarstwie? -- zagadnął Adasia piękny Wiktor.

-- Ja? A cóż bym tam robił?

-- Więc może wyjedziesz do Algieru.

-- Zobaczymy. Ślub nasz dopiero za rok.

-- A daje co szanowna ciocia?

-- Daje mi córkę.

-- Tylko? No, nie jesteś wymagający. Zlituj się, przyślij podobnych sobie idealistów do moich sióstr niechby ten towar zabrali!

Zwrócił się na pięcie i odszedł do Jawornickiej. Adaś był dla niego szczytem idiotyzmu.

Jadwisię opadły panienki, dopytując się, gdzie będzie robiła wyprawę. Ruszyła na to ramionami.

-- Nikt z nas o tym jeszcze nie pomyślał -- odparła przez zęby tonem odstręczającym od dalszej gawędy.

Panią Zofię oblegały starsze damy.

-- Tacy młodzi jeszcze oboje! -- zaczęto delikatną krytykę.

-- On wygląda wątło i słabowicie, matka jego umarła z suchot.

-- Wywiozą jedynaczkę na kraj ziemi.

Ale pani Zofia była po dobrym obiedzie, Różycki pognębił jej prześladowcę Żyda, panna Stefania chwaliła Adasia, posagu i wyprawy nikt nie żądał, wojowniczo tedy napadła na krytykujące niewiasty.

-- Moje panie, ja, matka, wiem, co dobre dla mojego dziecka. Przy tym i pan Erazm ma głowę najlepszą w powiecie. My oboje postanowiliśmy, to dość.

Panie, oburzone, odeszły wznosząc oczy i ramiona. Powoli goście się rozchodzili. Podwórze rozbrzmiewało serdecznymi pozdrowieniami, zapewnieniami przyjaźni, życzeniami i komplementami. Gdy za ostatnim gościem zawarła się furтка, Rita odetchnęła głęboko.

-- Teraz dopiero będą mówili, co myślą -- rzekła.

-- A pewnie -- ozwał się za nią niespodziewanie Stefan. -- Przyszli, najedli się, napili, a teraz was obgadają.

Wskazał palcem siostrę i Adasia.

-- Za to, żeście szczęśliwi -- odpowiedziała Rita. -- Cóż, panie Stefanie, rad jesteś ze szwagra?

-- Jeśli im z tym dobrze, to mnie wszystko jedno. Ja bym sobie pewnie takiego kłopotu samochcąc nie nabierała.

-- No, mógłbyś być dla mnie choć dzisiaj uprzejmy -- zaburczała Jadwisia.

-- O, ty myślisz, że zębami uchwyciłaś za księżyc i chcesz mi imponować! At, wielka sztuka, ja to samo potrafię!

Zygmunt, który dotąd zamysłony palił papierosy na ganku, zszedł do nich i zawołał Jadwisi.

Odprowadził ją do furtki i tak rzecz zagaił:

-- Że się znalazł idiota, co ciebie chce brać, toś rozum do reszty straciła. Skąd byś go zresztą miała? Jakże to idziesz za męż? W tej spódnicy i tych trzewikach? Toż tobie trzeba stos gałganów i fatałachów, które niewarte śmiecia, a kosztują sumy! Mówiłaś o tym z mamą?

-- Nie. Po co? Nie da grosza.

-- No, więc cóż?

-- Powiedziałam Ricie, że wyprawy nie będę miała.

-- At, piękne gadanie, a potem po całym kraju plotka pójdzie, że Holanicą Rózyccy wzięli bez koszuli. Niedoczekanie ich! Ileż na to śmiecie trzeba pieniędzy.

-- Czy ja wiem? Pewrjie tysiąc rubli!

-- Trzysta tysięcy ich! No, to masz, schowaj tylko przed mamą, bo odbierze, a ja drugich nie dam. A że i ty, i Adam jesteście parą idiotów, to oddaj je tej czarnej pannie, która ma rozum, jak mi się widzi, bo kpi sobie z całego świata.

Zygmus, obejrzawszy się, czy gdzie nie widać matki, wydobył z różnych kieszeni obiecaną sumę i wetknął siostrze w rękę.

-- Dziękuję, Zygmusiu! -- szepnęła Jadwisia zupełnie oszołomiona.

-- Nie dziękuj, a schowaj! Aj, dalibóg, mama idzie!

Na to hasło Jadwisia wsunęła pieniądze do kieszeni, a Zygmus zniknął za furtką. Zaraz po nim wysunął się na ulicę Kostus ze Stefanem. Szli jakiś czas w milczeniu, wreszcie Jamont ziewnął i rzekł:

-- Tu można z nudów oszaleć.

-- U was weselej? -- stęknął Stefan.

-- Pewnie, że weselej, bo się pracuje, a w pracy dzień do dnia niepodobny i krótki. Oni tu powiadają, że też pracują! Wyglądałbym ja ładnie, żebym tyle tylko robił! U nas taki tydzień kontraktów zrujnowałby fermę.

-- A przecie miałaś o czym tu przyjechać.

-- Ba! Ojciec zbierał na to dziesięć lat, a ja drugie dziesięć będę odrabiała. U nas, bracie, kredytem żyć nie można.

-- A droga tam dużo kosztuje?

-- Pięćset franków.

-- No, a tam pracując, można do czegoś się dobić?

-- Coś ty taki ciekawy? Może się też wybierasz?

-- Pojechałbym -- rzekł Stefan nieśmiało. Kostuś się roześmiał.

-- Wykradniesz się chyba z Pryskowa?

-- A cóż! Na co ja tam? Żebyś mnie z sobą zabrał, tobym ci potem koszt drogi odsłużył.

-- Ba, a starzy? Rozmów się z matką, z panem Erazmem, ja jestem gotów cię zabrać.

-- Et, mama! Byle nie chcieć od niej pieniędzy, to jej wszystko jedno. I mnie było dotąd wszystko jedno, a teraz, pogadawszy z tobą, z Adasiem -- czy ja wiem? -- jakoś mi się widzi, że trzeba inaczej żyć. Zygmus kpi ze mnie, nędza dojadła, a Jaga, błaznica, zmyka z domu! Pójdę sobie i ja.

-- I dobrze zrobisz. Nauczysz się tam dopiero, co to praca, a nie tu.

W tej chwili doleciał ich uszu żałosny płacz dziecka. Kostuś się rozejrzał.

-- Co to piszczy?

-- Coś pod chodnikiem.

Zajrzeli obadwa w otwór w deskach, pod którym krył się rynsztok bardzo głęboki, i ujrzeli na dnie dziecko skulone -- w kupie stuletnich śmieci.

-- Tola! -- krzyknął Kostuś klękając nad dziurą i wyciągając do niej ręce.

-- Jaka znów Tola? -- rzekł spokojnie Stefan.

Ale już Kostuś wydobył na wierzch dziecko, brudne, rozczochrane, dygocące ze strachu i łkań.

-- Co ty tu robisz, Tolu? -- spytał, biorąc ją na ręce i zawracając z powrotem.

-- Tola boi się mamy! Mama wybije! -- wyjąkała.

-- Za co?

-- Bo Tola uciekła od Zośki i powalała sukienkę.

-- A dlaczegoż uciekłaś?

-- Bo my się pogniewały.

Tu zaczęła się obszerna, a mało zrozumiała opowieść owego zajścia, której obaj młodzi ludzie słuchali, pokładając się od śmiechu.

Tak doszli do furty panny Stefanii i Kostuś, ubawiony, doniósł dziecko do werandy.

-- Panno Rito. Oto, co znalazłem! -- zawołał podnosząc je wysoko w ramionach.

Ale zamiast Rity inny głos odpowiedział:

-- O, Boże, Tola! Co się stało?

I przed zdumionym Kostusiem stanęła pani Wojakowska we własnej osobie, blada z przerażenia, a za nią powstali i skupili się wszyscy: pani Jamont, panna Stefania, panna Felicja, Różycki i Rita. Siedzieli sobie na ganku i gwarzyli spokojnie. Teraz obstąpili Kostusia, a on, wobec nagłego widoku swojej wdowy, zapomniał języka w gębie.

Tola, przerażona widokiem tylu obcych, w poczuciu winy i obawie kary, zamiast gnać się do matki, kurczowo objęła go za szyję, kryjąc twarzyczkę.

-- Gdzie ją pan znalazł? -- zawołała matka.

-- Siedziała pod chodnikiem -- odparł Stefan -- a on, ciekawy, że coś piszczy, zajrzał i wyciągnął.

-- Dajże mi ją pan!

-- Niech tylko pani jej za to nie karze! Obiecałem jej swoją opiekę i protekcję. Maleństwo okropnie się zlekło, może przechorować.

-- Warta kary, niesłuchanie uparta i samowolna!

-- To dobrze, będzie miała charakter -- pocieszał Różycki, a panie jednogłośnie wzięły stronę dzieciaka.

Tola nareszcie została wydobyta z objęć opiekuna i przechodziła z rąk do rąk. Gdy się znalazła na ziemi, była już czysta, uczesana, uśmiechnięta i pod opieką Adasia i Jadwisi ruszyła do zabawy w trawie i kwiatach. Starsi wrócili na ganek. Po drodze Kostuś spytał szeptem Rity:

-- Jakim cudem ona tu jest?

-- Poszła do niej panna Stefania ze stryjem i przyprowadzili.

-- Pani jesteście aniołem, czarodziejką, bóstwem!

-- Bagatela! Tylko tyle? -- zaśmiała się. -- Śliczna ta pana wdowa, inteligentna, poważna, a ładna jak kwiatek. Masz pan dobry gust.

Kostuś aż poczerwieniał z przyjemności.

Tak mu ten sąd Rity zawrócił głowę, że przysiągłby, iż od czasu, jak kochać -- zaczął, kochał

tylko swoją wdowę i że żyć bez niej nie potrafi. Usiadł naprzeciw niej i pieszcząc ją rozkochanymi oczami marzył, że potrzebuje tylko rękę wyciągnąć, aby ją posiadać. Impertynencja, którą jej rano powiedział, wywietrzała mu zupełnie z pamięci. Kobieta opowiadała swoje dzieje, a raczej dalszy ich ciąg przerwany epizodem Toli.

Ukończywszy smutną opowieść, podniosła oczy do panny Stefanii i pana Erazma i dodała ciszej:

-- Wy pierwsi odezwaliście się do mnie po ludzku.

-- A my? -- z uśmiechem ujęła się panna Felicja wskazując na Kostusia i na siebie.

Wdowa spojrzała na młodego człowieka tak zimno, że poczerwieniał aż po uszy i wysunął się z ganku. Poszedł do Toli po pociechę i znalazł ją zapewne, bo po chwili napelnili śmiechem podwórze. Różycki, wysłuchawszy opowieści do końca, wstał i przeszedł się parę razy po ganku.

-- Tak -- rzekł z goryczą. -- Tutaj miejsca dla nas nie ma.

-- Nie mów pan tak! -- przerwała panna Stefania. -- Życia nie tyle co na ziemi.

A stara matka swoją białą suchą dłoń położyła na pochylonej głowie kobiety i rzekła:

-- Młodość przebyta w' trudzie to zadatek na spokojną starość. Jesteś jeszcze bardzo młoda, odżyjesz na nowo i wszystko to jak sen się rozwieje.

Kobieta potrząsnęła głową niedowierzająco. Staruszka przejęła ten ruch.

-- Nie przecz! W człowieku wszystko się odnawia i odradza, a kto ma dziecko, ten nie może być zimnym i zamartym. Dziecko cię nauczy śmiać się i śpiewać, marzyć i kochać.

Tu pan Erazm żartobliwie się uśmiechnął i siadając przy niej, szepnął wesoło:

-- A że dzieciak uparty i samowolny, jak pani mówi, do wychowania trzeba pomocnika.

Niedługo czekając, pani Heleno, wyswatam ci tęgiego chłopaka na męża, bo to doprawdy grzech, żeby taka śliczna kobieta marnowała się samotnie. Ja na to nie pozwolę.

-- Naturalnie -- potwierdziła stanowczo panna Felicja. Wdowa uśmiechnęła się smutnie zamiast odpowiedzi i powstała, bo krzyk Toli przechodził granice przyzwoitości.

-- Na litość boską, to dziecko robi się szalone pod pana opieką! Dosyć, Tolu, chodź do domu!

Tola usiadła na trawie, poczęła bić nogami w ziemię, a piąstkami odpychać matkę.

-- Nie chcę, nie chcę, nie chcę! Ja tu zostanę z tatkiem! -- krzyczała wniebogłosy.

-- Z jakim tatkiem? Cicho! Będziesz stała w kącie za pokutę!

-- Z tym nowym tatkiem! Tola jego kocha!

Paluszkciem wskazywała Kostusia.

-- No, no, ostatni raz widzisz tego opiekuna.

Wzięła ją na rękę.

-- Dlaczego ostatni? -- zaniepokoił się Kostuś. -- Przecie mi pani przebaczy i pozwoli chociażby odwiedzić Tolę, która mię kocha.

-- To kochanie jest zupełnie zbyteczne. Mam jeden pokój i takiego wrzasku znosić nie myślę.

-- Będziemy cisi -- rzekł pokornie. -- Zresztą nie wyrzucisz mnie pani za drzwi, gdy przyjdę z ciotką. Bez starszych nie stawię pani czoła.

-- Po co to? -- mruknęła niechętnie.

-- Bo musi tak być! -- odparł.

-- Co? -- spytała, brwi marszcząc.

-- Że się z panią ożenię! -- rzekł uśmiechając się w jej chmurne oczy.

Popatrzyła nań jak na wariata, potem ruszyła ramionami.

-- Po tym, co mi pan dzisiaj rano powiedziałeś, zamiar bardzo dziwny. Zresztą szkoda pana zachodu, nie myślę powtórnie wychodzić za mąż. Tolu, co ty robisz?

Tola na rękę matki zachowywała się niespodziewanie cicho, bo była mocno zajęta. W rączkach, umorusanych piaskiem i zielem, trzymała zegarek swojego nowego „taty”, w którym po długich zachodach otworzyła maszynę i paluszkciem zdejmowała kółko, które się dało uchwycić. Matka odebrała jej drogą zabawkę. Powstał naturalnie hałaśliwy protest.

-- Ach, pan jesteś niemożliwy! Co teraz będzie? Zegarek zniszczony! Szkaradne dziecko, poczekaj!

-- Jeśli pani mnie odtrąci, zrobi pani jak Tola z zegarkiem. Proszę więc być dla niej pobłażliwą.

Rozmawiając, oddalali się od furki. Gdy ją minęli, panna Felicja, obserwując ich z dala, żywo zwróciła się do pana Erazma.

-- Jak pan myślisz, będzie co z tego? -- zagadnęła.

-- Jeśli ludzie w to się nie wdadzą, to będzie -- odparł z przekąsem.

Ruszyła ramionami.

-- Pójdę dziś do niej z wizytą i bez zwłoki sprawę zagaję. Podobała mi się, trzeba kończyć i jechać znowu tam.

Westchnęła; westchnął i Różycki.

-- Aha, już panią tam wzywa niepokój, tym lepiej. Ot i rozstaniemy się, tym razem nie na do widzenia. Daleko, bardzo daleko od siebie będą nasze mogiły.

VIII

Był w Rogalach za dworem i ogrodem wzgórek, niegdyś sypany na pamiątkę boju, a na nim dąb i krzyż. Ze wzgórka tego widziało się daleko szachownicę zagonów, szare pasy dróg, kępy drzew, dwór i wsie. A z drogi, z pola i ze wsi widać było ten krzyż i kurhan bojowy. Na tym wzgórku, w pewne pogodne popołudnie sierpniowe, siedziało w trawach już posychających dwoje ludzi. Była to Rita i chłopak tak do niej podobny, że się odgadywało brata od razu. Nie był podobny do Adasia ten pierwotny Szymek. Wysoki, barczysty, mocno śniady jak siostra, miał w oczach i na czole wykuty upór i siłę, miał w ustach rys namiętny. Mówił urywano, ostro, rozdrażniony widocznie, siekąc prętem bez litości badyle chwastów.

Rita miała głębszą niż zwykle zmarszczkę na czole, zapal w źrenicach. Chłopak przybył tegoż rana na jej depeszę z Wiednia. Wezwała zaś go, otrzymawszy od niego długi list, którego nikomu nie pokazała. Zastał stryja obłożnie chorego na ostry reumatyzm, Adasia rozmarzonego, Ritę zamyśloną. Wnet po obiedzie wyprowadziła go na ten kurhan i od dwóch godzin toczyli żywą rozmowę.

Skoczył, gdy mu rzekła pierwszy raz:

-- Powinieneś tu zostać, Szymku!

-- Za nic! -- rzucił wzdrygając się.

Milczała, patrząc na kraj słońcem oblany, na rżyska i szare zagony.

-- To jedno cudownie goi samolubne bóle! -- szepnęła.

-- Praca, zapewne. Ja też rąk nie założę i nie będę się w swojej trosce zasklepiał. Wyjadę do Afryki z wyprawą belgijską. Chciałaś mnie mieć uczonym, jestem nim i mając lat trzydzieści dwa nie będę zmieniał kariery i szedł tutaj na jatki.

-- Kiedy musisz, Szymku! Widziałeś stryja? Potrzebuje spokoju i wypoczynku. Całe życie tu zbył, był dla nas ojcem. Czy pozwolisz, aby w potrzebie nie znalazł w tobie syna?

-- Po cóż to znosi? Niech sprzeda Rogale, będzie miał spokój.

-- Czy mu to powiesz w oczy? Szymon spuścił głowę i umilkł.

-- Nie -- mruknął wreszcie.

-- A zrobiłbyś to sam?

Zamyślił się, a ona czekała niespokojna.,

-- Nie wiem; wstydziłbym się.

Oczy jej pojaśniały, ale on natychmiast dorzucił:

-- Ale i żyć nie chciałbym tu ani potrafił.

-- Więc chociażby spróbuj. Stryja musimy wywieźć za granicę. Adaś z nim pojedzie, bo ja muszę zająć się Jadwisią. Zabawimy do wiosny, ale stryj i słuchać o tym nie chce, aby Rogale zostawić bez gospodarza.

-- I to ja mam być tym zastępcą? Biedne Rogale! -- zaśmiał się szyderczo Szymon. -- Ej, Rito, jeśli o tym dawniej myślałaś, trzeba mnie było wcześniej kształcić. Dlaczego mnie wybraliście na ofiarę? -- wybuchnął po chwili z rozpaczą.

Poczuła, że mięknie, więc objęła go za szyję i serdecznie uścisnęła.

-- Bo ty jesteś najsilniejszy, najlepszy i najgłębszy!

-- Nieprawda! Najlepszy jest Adaś, najgłębsza -- ty, a ja chyba tylko, że mam najmocniejsze kości; więc niech mnie to koło miażdży!

Sponurzał do reszty, zgarbił się, głowę zwiesił.

-- Myślałem, że mnie kochasz, Rito, a widzę, że kochasz, jak stryj, ot, tę ziemię!

Rzucił ręką wokoło. Oczy obojga spoczęły na krajobrazie monotonnym, smętnym, cichym, na który wieczór kładł smugi złota i purpury. Powoli przechodzili ze szczegółu na szczegół. Szymon się wzdrygnął.

-- Żebym wiedział, że na tym skończę... -- rzekł i urwał. Uśmiechnęła się.

-- Tylu ludzi jednak pragnęłoby być na twoim miejscu.

-- Zapewne, bo oni nie myślą o obowiązkach, a ja obowiązki zwykły jestem spełniać -- rzucił, głowę hardo podnosząc. -- A nigdzie cięższych nie ma!

Zarumieniła się Rita i spojrzała nań z dumą.

-- Szymku, ty za nas wszystkich zapłacisz stryjowi! Jaki on będzie szczęśliwy!

-- Warto było tyle żyć, żeby tego dożyć! -- szepnął znowu, falą zniechęcenia ogarnięty. -- Na wiele mi się zdadzą moje matury i dyplomy, moje studia, moje marzenia, moje badania i podróże!

Wszystko skończone!

Wnurzył ręce we włosy, a oczy wbił w ziemię.

-- Wiesz -- ozwał się z gorzkim uśmiechem. -- Praca moja zdaje mi się podobną do baśni o Madeju. Będę wiek cały ustami czerpał wodę w potoku i na kolanach ją nosił do polewania suchego drzewa. Ale rozbójnik za swoje grzechy to czynił, a ja za co?

Zapanowało przez chwilę milczenie.

-- A jednak nie zostałabyś tu ze mną -- odezwał się nagle.

-- Owszem, jeżelibyś tego żądał. Gdy Adaś się ożeni, a zanim ty sobie upatrzysz inną towarzyszkę, gotowa jestem z tobą tym trudem się podzielić!

-- Na życie zatem, bo ja się nie ożenię! Ty wiesz, że już i to marzenie pożegnałem na zawsze!

-- Ej, Szymku, a mnie się zdaje, że ty dopiero tu żyć zaczniesz! Człowieka nie czyni matura ani dyplom, czyni go trud i ból. Kochanie twoje to był szal, praca twoja to była fantazja, studia twoje to było zabicie czasu, nauka to było dążenie, by czymś być w ludzkości. Teraz stoisz na drodze, która nie wiedzie do sławy i zaszczytów, nie nęci wygodą ani zabawą, nie daje u kresu pomnika i lauru, ale będziesz na tej drodze czuł, że prosta, więc ją uszanujesz.

Rita cierpiała za niego. Życie przeżyli wspólnie na szerokim bujnym świecie. Wiodły ich wszędy dotąd wolny wybór i powołanie, byli swobodni. Teraz on szedł jak rekrut do wojska, a ona go żałowała jak matka chłopaka, który stanął do szeregu. Myślała, że termin się odwlecze, aż oto dzień poboru przyszedł i los padł na niego. Cóż miała dać, by mu dołączyć uczynić? Tylko swoją swobodę i tej mu nie żałowała, byle chłopak nie stchórzył, nie zdezerterował, wytrwał.

Szymon już się nie wahał. Widział swój obowiązek, widział drogę, rozumiał położenie. Stryja kochał jak ojca, Ricie wierzył bezwarunkowo, czuł, że poświęcić się musi. Oczy jego stawały się coraz smutniejsze i cofały w głąb, bruzdy na czole odcinały się wyraźniej. W tej chwili był bardzo podobny do pana Erazma. Rita nie nalegała więcej.

-- Te zagony, gdy falują zbożem, cudne są -- zaczęła mówić. -- Chodzi po nich cichutka piosenka i zapach rzeźwy, a człowiek staje się prosty, cierpliwy, cichy. Niebo tu bliższe niż wszędzie. To niebo, które daje skwary i deszcze, urodzaje i klęski, obcuje się z nim nieustannie. A i zimy niestraszne i nienudne. Gdy się od pracy wróci do domu, nigdzie się tak nie czuje u siebie, jak w zaciszu pokoju, przy kominku. Wtedy i studia się odświeży i umysł może pracować... Podniósł

głowę.

-- Wtedy ręce Rity będą z klawiszów snuły piosenki.

-- Będą -- odparła z uśmiechem.

-- I głos Rity będzie śpiewał, śmiał się i krzepił.

-- Będzie.

Teraz on ją za szyję objął i uściśnął.

-- Było mi z tobą zawsze dobrze. Więc jeśli z tobą, to mi i tu mniej straszno -- rzekł głucho.

Umowa była zawarta. Podali sobie ręce i popatrzyli aż do głębi w oczy. Dłoń w dłoni pozostali

skupieni.

Tymczasem wieczór zstępował na pola, a powietrze błękitniało od lekkich oparów. Słońce złociło jeszcze czub dębu i twarze tych dwojga, którzy przed chwilą uczynili dośmiertne śluby.

Jeszcze w głębinach dusz wrzały męty i bunt. Jedna widziało sztukę, czarodziejskie południe, stosunki, panoramę pełną uroku, życie bez troski. Drugie żegnało naukę, koleżeństwo, szerokie horyzonty, nadzieję sławy, może jakie oczy ciemne i nerwujące pocałunki i wyprawy! Ale już o tym żadne mówić nie śmiało i nie wspomną nigdy.

-- Ktoś do nas idzie -- rzekł Szymon patrząc na ścieżkę w dole. -- Adaś, Stefan Holanicki i ktoś trzeci!

-- To Jamont, o którym ci pisałam.

-- Ten kolonista? Cieszę się, że go poznam.

-- Skąd się Stefan wziął? Może Jadwisia chora! -- zaniepokoiła się Rita.

Powstali i zeszli na spotkanie gości.

-- Stryj was wygląda -- rzekł Adaś po przywitaniu.

-- Jadwisia zdrowa, panie Stefanie? -- zagadnęła Rita.

-- Nic jej nie brakuje -- odparł burkliwie.

-- Czemuż jej pan z sobą nie przywiozłeś?

-- Nie chciała. Namawiałem, ale to takie fanaberie -- ruszył ramionami.

-- Panowie jechaliście razem?

-- Nie -- odparł Konstanty chmurny. -- Przyjechałem z miasteczka pożegnać państwa.

-- Co? Odjeżdżacie już zupełnie?

-- Tak. Za tydzień.

Chciała go o coś spytać, ale się powstrzymała przez wzgląd na świadków. Zbliżyli się do bramy i pierwsza rzecz, która im wpadła w oczy, była klacz chuda, zatarta, skurczona, przy płocie. Miała na łbie uzdeczkę parcianą, a zamiast siodła worek z plewą, przytwierdzony sznurkiem.

-- Co to za straszydło? -- zagadnął Szymon wchodząc w rolę gospodarza.

-- To kobyła naszego felczera, Symchy -- objaśnił Stefan. -- Mama ją zajęła w szkodzie, a ja wykradłem z chlewka i tu przypędziłem. Bestia trzęsie okropnie.

-- To jednak dziwne istotnie, że Jadwisia nie przyjęła propozycji jazdy -- zaśmiała się Rita, a za nią wszyscy, nawet Adaś.

Stefan się zdziwił.

-- Bo to ona nie jeździ na każdym koniu oklep? Tylko się przed wami przyczaja!

-- *Enfant terrible!* -- szepnął Szymek patrząc na przyszłego szwagra z uśmiechem.

Rita trochę pozostała w -- tyle i skinęła na Kostusia.

-- Cóż? Skończone? -- zagadnęła.

-- Tak -- odparł posepnie. -- Odjeżdżam samotny.

-- Oświadczyłeś się pan?

-- Sto razy i ciotka prosiła, nie chce!

-- Nie kocha pana?

-- Bo ja wiem? Widujemy się co dzień. Czasami zdaje się dobra, wesoła, patrzy, że aż mi serce omal nie wyskoczy, słucha i pyta z zajęciem. Nazajutrz jak noc ciemna i niepojęta, jak lód zimna.

Zamęczyła mnie.

-- Ależ to dla pana wymarzona towarzyszka. Tak długo zajmuje, nie znudzi nigdy.

-- Ona kocha Wiktora.

-- Mówiła to panu?

-- Nie, ale opowiadała mi całe przejście.

-- To dowód, że pana traktuje poważnie.

-- Mówi, że mnie się boi, nie wierzy. At, brednie!

-- Wcale nie brednie. Jesteś pan zazdrosny i zmienny, ma zupełną słuszość. Ale przecie wiem, że lubi pana.

-- Wie pani? Więc dlaczegóż mnie dręczy?

-- Bo pan źle się bierzesz do rzeczy. Weźmiemy ją fortelem. Pomyślała chwilę, uśmiechnęła się i zawołała brata.

-- Szymku, czy nie posiadasz zużytej depeszy?

-- Owszem, tę właśnie, w której prosiłem stryja o konie. Oddano mi ją na stacji, prosząc o wręczenie w Rogalach.

Podał ją siostrze.

Weszli tymczasem do domu.

-- Rito, dzieci! -- wołał pan Erazm ze swojego pokoju.

Chłopcy poszli do niego, Rita i Kostuś pozostali w salonie pochyleni nad stołem, coś pisząc i szepcąc.

Gdy po chwili przeszli i oni do pokoju chorego, Jamont b po swojemu wesół i -- niefrasobliwy.

-- A witaj, witaj! -- wołał doń pan Erazm. -- Cóż, zapalasz pochodnię hymenu? Opowiedz mi oświadczyzny. Pamiętasz, że obiecałeś? Zapowiedzi już wyszły?

-- Ale gdzież tam. Nikt mnie nie chce.

-- Gadasz! Przecie się rozmówiłem z panią Heleną.

-- To i cóż z tego? Zmieniła swój projekt!

-- Jesteś ciemięga!

-- Prawdopodobnie, ale obmyśliłem z panną Ritą szturm ostateczny.

-- To dobrze. Tej kobiety nie opuść. Śliczności! Kostuś poczerwieniał.

-- Żebym ją tylko dostał -- westchnął.

-- Patrz, a chciałeś wszystkie brać! Teraz będziesz rad, gdy jedną dostaniesz. Bierz, bo taka jedna stracona właśnie łamie życie gorzej niż tamte.

Ręką machnął.

-- Pan niedomaga? -- troskliwie spytał Kostuś.

-- Et, głupstwo! Żeby ich nie było, nie zważałbym nawet, ale że to troje skacze nade mną, więc się rozpieściłem. Kiedyż wyjeżdżacie?

-- Bo ja wiem? Zależymy od łaski pani Wojakowskiej.

-- A panna Felicja nie bardzo się śpieszy?

-- Ciotka, myślę, nie wróciłaby wcale, żeby nie ojciec. Ale ojciec coraz pilniej wzywa, trzeba się śpieszyć.

-- A wiesz, że może wyjedziemy razem, jeśli zabawisz miesiąc. Rita z Jadwisią zostaną w Dreźnie, a i mnie starego wyganiają za granicę. Może zimą odwiedzimy was w waszej fermie z Adasiem. Niech chłopca słońce afrykańskie rozgrzeje.

Ktoś ciężko westchnął. Obejrzeni się. Był to Stefan siedzący w kącie.

-- Czego ty stękasz? -- zagadnął Różycki.

-- Klacz felczera go roztrzęsła -- zaśmiał się Kpstuś.

-- Et, nieprawda! Co mam stękać po głupiej szkapie. Stękam, bo mam kłopot w głowie.

-- Przecież dowiedzieliśmy się, że w tej głowie coś bywa od wypadku -- szepnęła Rita do siebie.

-- No, no, i cóż to za kłopot? -- spytał Różycki.

-- Ot, tak mi życie ohydło!

-- Wdzięczny wyraz! -- uśmiechnęła się Rita.

-- Co? Może i ty się zakochałeś?

-- Jeszcze czego! Tfu! Ale ot tak: jak mamie w rachunku z ryby, ze zwierzyny i z wosku co ukręcić, to krzyczy; jak nie ukręcić, to nie ma grosza na buty. Zygmunt umie w karty grać i długi robić, a ja nie umiem nic takiego. Nawet jak Żydy czynszu nie chcą mamie płacić, to mnie posyła ich dusić. Wtedy ja im przed szabasem lichtarze pozabieram albo pierzyny w rzece zamoczę, no i pieniądze dostanę. Ale dla siebie brać nie umiem, wstydzę się, już mi to ohydło! Jaga zaraz się oswobodzi, Zygmunt ani dba, a ja sam cierpię! Więc się zbuntowałem. W tamten piątek wziąłem dziesięć pudów ryby i sprzedałem. Przynoszę do mamy pieniądze i proszę, żeby mi zostawiła dziesięć rubli. Wykrzyczała mnie strasznie, zabrała wszystkie. Dobrze, myślę, pożałujesz! Na drugi dzień rozwiesiłem mamie, sieć pod oknem i poszedłem sobie z harmonią na imieniny do poczmistrza. Jakoś dwa dni nie obejrzała się mama, aż trzeciego przysyła po mnie Jagę do oranżerii.

To było przedwczoraj. Już mi się nawet znudziło nic nie robić, ale wypędziłem precz dziewczynę.

„Powiedz, że śpię!...” Zygmunt słucha i śmieje się. Złość mi coraz gorsza przychodzi. A Jaga powiada: „Jeśli nie śpiesz, to powinienes iść; ja mamie kłamać nie będę”. Chciałem ją tłuc, ale myślę: nie warto; matka sama ją obje, jeśli nie przyjdę.

Adaś słuchał i bladł. Żałosnymi oczami spojrzął na Ritę i szepnął:

-- Boże, co ona tam cierpi, biedna! Rita zmarszczyła brwi.

-- I pan pozwalasz, żeby siostra cierpiała niesłusznie? Co ona winna? -- zawołała.

Stefan obejrzał się spokojnie.

-- Po co mnie uczy? Jej dobrze, ma wasze plecy, a ja J nikogo -- burknął ponuro.

Pan Erazm skinął na Ritę.

-- Cóż było dalej? -- spytał z zajęciem.

-- A cóż? Mama przyszła sama, a Zygmunt uciekł, jak ją zobaczył. Zaczęła krzyczeć, że psy sieć porwały, że ona nieszczęśliwa.

-- Kto? Sieć? -- spytał Kostuś, dusząc się od śmiechu.

-- Nie, mama! Że ja jeden byłem jej pomocą, że mnie kochała, że nie ma dzieci, że mieszczenie spaśli sianożęć, że już dwa dni nie było obiadu, że ją prędko wpędzimy do grobu. Czy ja wiem, co jeszcze? Powiadam tedy, że ją poceruję...

-- Kogo? Ciotkę? -- wtrącił znowu Kostuś, zarażając śmiechem Szymona i Ritę.

-- Nie, sieć przecie! Że pójdę na rybę i będę dalej służył, i mieszczen zdużę, i wszystko, ale żeby mi dała jaką pensję czy chociażby dziesięć rubli na buty. Myślałem, że mnie zrozumiała, bo się uspokoiła i poszła sobie. Poszedłem i ja, nawet rad, że będzie robota. No, i co myślisz pan?

Oszukała mnie, nie dała nic. Wtedy ja poszedłem do niej i powiadam: „Dziękuję mamie za chleb i sól i pójdę sobie w świat!” I zakląłem się, że tak będzie.

-- No i uwolniła cię? -- spytał pan Erazm.

-- Czy ja wiem? Siadła i zaczęła płakać, psy zaczęły wyć, a ja poszedłem. Chodziłem po lesie, po polu, wstąpiłem do zboru, a w nocy jeszcze popilnowałem ogrodu, a skoro świt wykradłem klacz i pojechałem tu, żeby panu to powiedzieć.

-- Dobrze zrobiłeś. Pewnie jesteś głodny i senny? Zjedzże i prześpij się. Jutro rano odeślę klacz felczera i napiszę do twojej matki, a za parę dni pojedziemy razem do Pryskowa i załatwimy kwestię.

Stefan pocałował go w rękę, odetchnął głęboko i uspokoił się jak czarem.

-- Zabiorę go z sobą -- rzekł Kostuś, mimo woli litością zdjęty dla tego draba pokrzywdzonego.

-- Nie -- odparł pan Erazm. -- Teraz gdy się udał pod moją opiekę, zostanie pod „moją opieką.

Na to słowo swojego opiekuna Rózyccy spojrzeli na Stefana po bratersku, Rita zaraz wstała, aby go nakarmić, a Szymek począł rozmawiać i podał mu cygaro.

-- Cóż słyhać w miasteczku? -- zagadną pan Erazm Kostusia.

-- Wiktor żeni się z Jawornicką.

-- Winszuję obojgu: jemu pięknej żony, a jej męża nadzwyczaj miłego w domowym pożyciu.

-- Zawirski jeździ do Kresek, do panny Werbiczówny.

-- Szkoda koni. Wolałby nimi kopy zwozić.

-- Pan dzisiaj jest srodze małżeństwom niechętny -- uśmiechnął się Kostuś.

-- Czyż to małżeństwa? To interes. Jedno drugiego okłamuje i basta. Mężczyzna potrzebuje stanowiska. Łączą się, a potem całe życie dają ludziom temat do krytyk i drwin, sobie zaś utrapienie do śmierci. A jakież to życie, jaka praca być może w takich warunkach? U nas wszystko stało się anomalią i dziwię się doprawdy, że nie chodzimy na głowach.

-- Stryjek głodny i zły. Idźcie, panowie, do jadalni, ja tu zostanę -- ozwała się Rita, przynosząc choremu wieczerzę.

Gdy wyszli, on niespokojnie popatrzył jej w oczy.

-- Cóż powiedział? -- rzekł drżącym głosem.

-- Zgodził się i zostanie. Przecież ręczyłam za niego stryjowi -- odparła z dumą.

-- O, ty jesteś moim zdrowiem! -- zawołał biorąc ją oburącz za głowę i całując w oczy. -- Nie wzdrygał się, nie stawiał warunków?

-- Owszem, jeden: abym przy was została, aż się ożeni.

-- I zostaniesz?

-- Naturalnie.

-- Widzisz, on ci droższy ode mnie, dla mnie nie chciałaś się poświęcić!

-- Albo mi stryj to proponował? -- zaśmiała się przekornie.

-- Wymówki! Ale ci to daruję za Szymka!

Podawała mu wieczerzę i opowiadała rozmowę z bratem.

W oczach przybywał mu humor i otucha.

-- Nie uleżę! -- zawołał wreszcie. -- Dawaj mi tu Jana -- z odzieniem! Jestem już zdrów! Dziś pokażę Szymonowi plany, a jutro pojedziemy w pole.

Gdy młodzi wrócili po wieczerzy, zastali go już przy biurku sortującego różne dokumenty.

Kostuś zaczął się żegnać.

-- Zwariowałaś? Przenocuj! -- zaprotestował pan Erazm.

-- Mam bardzo pilny interes i poczta czeka.

I Rita mruga tajemniczo. .

-- No, to jedź i uspokój się prędeej. Rączki ciotki ucałuj, a nie mów, że byłem chory. Posądzi mnie o starość.

Gdy turkot się oddalił i chłopcy wrócili z sieni, pan Erazm, podał Ricie klucz.

-- Pójdź do piwnicy i przynieś stamtąd hlaczek z czarną pieczętką z kąta w głębi.

-- Oj, Rito, jesteś w wielkich łaskach, kiedy ci stryj ten kluczyk powierza -- uśmiechnął się Adaś.

-- Wszystkie klucze powinny być w rękach kobiecych, to ich symbol. Niech się dziewczyna wprawia. A wy, chłopcy, siadajcie, pokażę wam różne obrazki.

Na stół wielki, zielonym suknem pokryty, oświetlony z góry lampą, położył kilka zwojów starego papieru i posadziwszy przy sobie Szymka, po kolei je rozwijał.

Rita wróciła z hlaczkiem, wszyscy się skupili patrząc i słuchając.

Pierwszy wielki arkusz miał u góry pieczęć parafialną. Była to metryka.

-- To jest pierwszy dyplom i obowiązek -- rzekł pan Erazm krótko. -- A imię mu: wiara!

Sięgnął do puszki blaszanej i dobył z niej drugi arkusz, stary pergamin.

-- To jest drugi. Nasz rodowy dokument -- rzekł, patrząc na Szymka. -- Wy, młodzi uczeni, jesteście demokraci. Mówicie, że to archeologia i nic więcej. Prawda i jam nie zacofaniec -- herb nie czyni dobrym, niskie pochodzenie nie hańbi. Te wyobrażenia zginęły i nie żałuję ich, ale, chłopcze, ten kawał pergaminu zapisano w piętnastym wieku i czerwone pole ma ten znak, więc myślę, że ten, co dostał, nie był ni tchórzem, ni kłamcą, ni złota szukał, ni gnił w rozpuście. Krwawe było pole, a on bojował za wiarę i za ziemię, i za króla. Wtedy mniej intryg było i kto nie zapracował, tego król mieczem nie dotykał, ani kupić nie można było takiego znaku. Więc w każdym razie to jest tradycja szanowana i podwójnie podły ten, kto, taką pamiątkę mając, bywa tchórzem, kłamcą i zbiegiem. Takem ja życie całe myślał i czynił, i bez wstydu wam, moim następcom, sprawę z życia złożę. A to ostatni dokument -- zakończył, rozkładając plan wielki, pokreślony labiryntem dróg, rowów, pól, łąk i lasów. -- Kto te rzeczy do serca weźmie i przy nich życie spędzi, ten się śmierci nie boi -- dodał poważnie.

-- Stryju -- rzekł Szymon -- tyś wytrwał, a jeśli mnie stąd zmuszą ustąpić?

-- W takim razie ustąp ostatni -- odparł pan Erazm. -- Choćbyś wyszedł nagi i głodny!

Szymek patrzył stryjowi w oczy i zdawało mu się, że go wtajemniczają w jakiś kult, nakładają święcenie. Milczał do głębi przejęty. Nareszcie Szymon się ocknął i dłoń do stryja wyciągnął.

-- Nie potrafię czynić lepiej i więcej nad ciebie, stryju, ale ile na ludzką moc wycierpieć i znieść, wycierpię i zniosę, jeśli mnie nie odstępacie.

Pan Erazm go uściskał, potem po kolei rodzeństwo. Teraz dopiero był ich najstarszym i głową.

-- Jakby ci kiedy było ciężko do zbytku, uważaj za swoje nasze siły i serca! -- rzekł Adaś za siebie i siostrę.

Stefan słuchał, patrzył, a korzystając z milczenia, zaryzykował pytanie:

-- Czy jego biorą do wojska, takiego starego?

-- Zgadłeś -- uśmiechnął się Szymon.

-- Po co oni tobie pomoc obiecują? Jedno kobieta, a drugie taki badył! Ot, ja bym pomógł!

I położył bez ceremonii na planie dwie pięści ciemne, twarde, potężne, na które patrzył z lubością.

-- Prawda, że w tym moc widoczna -- rzekła Rita. -- Chyba nikt podobnych nie posiada.

-- Nieprawda -- westchnął Stefan. -- Kostuś ma o połowę mniejsze, a cięższe! Zresztą nikt.

Martwiło go to. Pokiwał głową i zaspokoiwszy ciekawość, poszedł spać. Oni długo jeszcze pozostali gwarząc poważnie. Pierwszy odszedł Adaś i po chwili doszły do nich stłumione dźwięki fortepianu. Wtedy umilkli oboje i nagle wydała im się dola lżejsza, praca wdzięczniejsza, żywot mniej utrapiony. I Szymon śmieiej głowę podniósł, Ricie zapalały oczy, a pan Erazm głowach ich pogładził i rzekł:

-- Patrzcie, moc wam przybyła, a wiecie skąd? Oto spod rąk Adasia ideał płynie -- ideał

kochania i wiary. Ginie i marnieje ten tylko, kto tak czuć nie umie. Pamiętajcie, a on niech wam gra, o, niech gra!

Rozmawiali dalej, ale te dźwięki wsiąkały w ich dusze i już przez pół tylko czuli ziemskie bóle i krzywdy.

Nazajutrz klacz felczera Symchy dostąpiła niesłychanego zaszczytu. Jurek rogalski powiódł ją luzem, z całym poszanowaniem dla jej sędziwego wieku. Powjózł też z sobą list pana Erazma do pani Zofii z zapytaniem, co ma zrobić ze zbiegłym Stefanem.

Na to energiczna niewiasta odpowiedziała ze zwykłą stanowczością i lakonizmem:

„Rób pan sobie z nim, co chcesz. Wydzierżawiłam rzekę lekowi Kahanowi za dwieście rubli rocznie i wzięłam wszystkie pieniądze z góry. Bardzo niezły interes. Stefan mi już niepotrzebny.

Cudzymi rękami dobrze tylko żar grzebać. Wyprawka Jadwisi już wykończona”.

Różycki przeczytał i schował list do dokumentów. Potem zawołał Stefana.

-- Otóż, chłopcze, matka mi ciebie ustąpiła. Jeśli zechcesz „mnie słuchać i pracować, to cię wyprowadzę na ludzi. Tymczasem umiesz tylko rękami machać, trzeba cię nauczyć i głową pracować. Chcesz?

-- Ojej! Jeżeli mogłem mamie dogodzić, to i panu potrafię. Podobało mi się tu!

-- No, więc pójdiesz do nauki.

-- Dobrze, będę pana słuchał. Jadze za waszymi plecami dobrze, to i mnie tak będzie.

I odszedł w pierwotnej swojej prostocie spokojny.

Konstanty wrócił do miasteczka o południu, przebrał się w hotelu i zameldował ciotce. Pomówił z nią chwil kilka i bardzo poważny zapukał do pokoiku pani Wojakowskiej.

-- Proszę! -- odparł głos spokojny wśród turkotu maszyny do szycia.

Otworzył drzwi i uśmiechnął się. Z okrzykiem radości na jego widok porwała się Tola od ziemi, od kupki szmatek jaskrawych, którymi się bawiła i wyciągnęła ramiona do uścisku. Wziął ją na ręce, podniósł wysoko w górę i ucałował różowe policzki.

Matka, nie przerywając szycia, powitała go lekkim pochyleniem głowy.

-- Cicho, Tolu, nie dokuczaj -- rzuciła zwykłe upomnienie, którego dzieciak nigdy nie słuchał.

-- Zrób mi lalkę! -- rozkazała, dając Kostusiowi garść szmatek i ciągnąc mu krzesło, z kąta.

-- Dobrze, zrobię ci lalkę na pożegnanie! -- odparł -- a ty mnie pamiętaj, póki lalka będzie trwała.

Zaczął plątać i wiązać szmatki, a ona się przyglądała bardzo poważnie, łokciami oparta na jego kolanie.

-- Nie umiesz -- zdecydowała wreszcie odbierając materiały. -- Ja sama zrobię!

Usiadła znowu na ziemi, w słońcu i zatopiła się w pracy. Kostuś w milczeniu przyglądał się pracującej kobiecie, wreszcie westchnął, dłonią przesunął po oczach i rzekł:

-- Przyszedłem pożegnać panią. Podniosła zdziwione oczy.

-- Odjeżdża pan? To niespodzianka!

-- Tak, trzeba wracać. Marzyłem, że ubłagam panią i że razem nam przejdzie ta podróż i życie.

Trzeba się rozstać z tymi marzeniami i z panią, i nawet z dotychczasowym stanowiskiem! Jestem nędzarzem!

-- Co się stało? -- zagadnęła niespokojnie.

-- Szarańcza przeszła przez naszą kolonię. Została z niej; pustynia.

-- O, alboż się pan boisz pracy i niedostatku, alboż pan ręce opuścisz?

-- Po co? Ojciec i ciotka mają zapas do życia, a mnie po co się męczyć, dla kogo? Dusza moja tu zostanie, a bez duszy człowiek nic niewart, nic nie zdziała. Zaciągnę się znowu do wojska, rozwłóczę się i zmarnieję.

Roześmiał się i rzekł:

-- Miałaś pani dobre przeczucie, żeś mnie nie przyjęła.

-- Dlaczego?

-- Złękłaś się pani niepewnej przyszłości i możliwego bardzo w naszej doli krachu.

-- Mylisz się pan. Biedy się nie boję, a odmawiałam panu, bo myślę, że nie proponowałeś mi pan szczerze.

-- Ale...

-- Przez litość, że jestem opuszczona, biedna, chciałeś mi pan łaskę uczynić i ofiarę! Teraz, gdy pana, zła dola dotknęła, cofasz się pan. Sądziłam trafnie.

-- Co? Mam panią brać na nędzę i trud, panią, której chciałbym raj stworzyć na ziemi! Cóżbyś pani wtedy o mnie pomyślała?

-- Pomyślałabym, że pan mnie prawdziwie kochasz, że uważasz mnie za siłę, nie za ciężar, za pomocnicę i towarzyszkę, nie za fantazję i zabawkę. Gdy mi pan poprzednio mówiłeś, że się w trójnasób zapracujesz na zbytek dla mnie, zrażało mnie to, poniżałeś mnie pan. Teraz, odtrącając mnie w chwili, gdy jesteś pan nieszczęśliwy i biedny, potwierdzasz tamto.

-- Więc teraz, gdybym pani rzekł: kocham, ale dam ci czarny chleb i zaprzęgnę razem z sobą do pracy ciężkiej, wysłuchałabyś mnie pani?

Wielka powaga osiadła na czole kobiety.

-- Mało znam warunki tamtego życia, tyle co z opowieści pańskich. Ale gdyby moja ręka i siła była tam użyteczna, pomocna, dałabym ją panu dopiero teraz śmiało i bez skrupułu.

„O, Rito, jaka jesteś mądra, jak znasz ludzi!” -- pomyślał Kostuś, wyciągając ręce.

Kobieta zawahała się na chwilę.

-- Dwoje nas pan weźmiesz. Będzie ciężko -- szepnęła.

-- Będę szczęśliwy -- odparł.

W milczeniu podała mu rękę drobną, chudą, pokłutą igłą, a on ją do ust podniósł, zdziwiony, że tyle lat przeżył i tyle kobiet posiadał, a nigdy nie doznał takiej wielkiej szczęśliwości.

Potem go przecie sumienie ruszyło i niepewność.

-- Więc pani mnie kocha? -- szepnął. Uśmiechnęła się przekornie.

-- Czemuż pan teraz Tedwina nie pamięta?

I jemu szalona radość przeszła serce. Poskoczył do Toli i nie śmiejąc jeszcze matki, dzieciaka porwał w objęcia.

-- Mój drobiazg serdeczny! -- zawołał okrywając ją pocałunkami. -- Powiedz, kochasz tatkę?

-- Nie można mówić tatkę -- odparła cicho -- mama się gniewa.

-- Niechże mama pozwoli! -- poprosił.

-- Mów mu, jak chcesz, Tolu, bierze nas sobie na własność -- rzekła kobieta gładząc główkę dziecka.

-- Tatku -- zaszczębiotała Tola -- niech tatko mnie wysadzi na okno, w te kwiaty. Tam leży czerwona kula, będę się grzecznie bawiła!

-- Mama pozwoli? -- spytał.

-- Dokuczy pannie Stefani -- zaprotestowała. Otworzył okno. Z ganku panna Felicja przyglądała się oficynie drżąc z niepokoju.

-- Ciociu -- zawołał -- proszę naszego dzieciaka pilnować.

-- Daj mi go, daj! -- odparła, podchodząc żywo.

Wzięła go na ręce i patrząc ze łzami na młodą kobietą rzekła serdecznie:

-- Dzięki Bogu, że nasz!

W godzinę potem Kostuś z wdową szli przez miasto kościoła. W oknie u Kiwy siedział piękny Wiktor z nieodstępnym Józefem i kilku jeszcze kolegami.

Młoda para ich nie spostrzegła, ale Józef wnet oznajmił:

-- Wiecie? Francuz chodzi pod rękę z Helą!

-- Pleciesz! -- burknął Wiktor -- słyszałem, że go odpalił

-- Dalibóg, poszli razem!

-- To idź, zobacz lepiej -- zaniepokoił się Tedwin.

Posłuszny Józef wybiegł i dogonił tych dwoje.

-- Dobry wieczór! -- pozdrowił słodziutko. -- Śliczna pora do spaceru.

-- Śliczna -- potwierdził Kostuś lakonicznie.

-- Pani Helena co dzień pięknieje -- umizgał się dalej.

-- Tak? To bardzo osobliwe, bo co dzień starzeję -- odparła zimno.

-- Państwo pewnie nad rzekę, na przechadzkę?

-- Nie, tylko do księdza! -- odparł Kostuś.

-- Może zapowiedzi? Winszuję pierwszy!

-- Dziękujemy -- rzekła kobieta skręcając w bok do furty kościelnej.

Pan Józef musiał zawrócić do Kiwy.

-- No i cóż? -- zagadnął go Wiktor.

-- Poszli dawać na zapowiedzi.

-- To głupia! Jechać z tym hołyszem do Algieru, żeby tam sadzić kapustę i kalafiory własnoręcznie, a jak go bieda ściśnie, sprzeda ją jakiemu Arabowi do haremu. To frant, co rozumie interes! Jestem pewny, że i bić tego potrafi. Setnie głupia! A ja myślałem o niej. Jawornicki chciał

ją wziąć do domu, do towarzystwa córki.

-- Cha, cha, cha! -- zaśmiał się Zawirski -- to ty jesteś rewolwerowy człowiek!

-- A cóż! Kobiecina była dla mnie grzeczna, mam względem niej honorowe obowiązki. Honor jest moim bogiem.

-- A very gentleman! -- gwizdnął Zawirski.

Szarzało już, gdy załatwiwszy formalności kościelne Kostuś ze swoją wdową wracał do dworku.

-- Panu się śpieszy, a tu wypadnie czekać trzy tygodnie!

-- Oj, ciężko czekać! -- westchnął. -- Pani taka surowa.

-- A pan lekkomyślny! Mnie ta szarańcza więcej zmartwiła niż pana. Tak mi żal ojca pańskiego, który sam znosi klęskę.

-- Jaka szarańcza? -- spytał.

-- Jak to jaka? Ta, o której mi pan mówiłeś.

-- Ta kochana, której panią zawdzięczam? Dzięki Bogu nie straszna. Wylęła się w głowie panny Rity Różyckiej.

Spojrzała nań zdziwiona, potem oburzona.

-- Oszukałeś mnie pan! -- zawołała cofając mu rękę spod ramienia. -- To trochę za wcześnie!

-- Pani nierada, że mnie bieda ominęła?

-- Nie będę już nigdy panu wierzyła!

-- Byłem ja panią zdobył, zdobędę i wiarę. Użyłem podstępu z musu. Proszę dać rękę, już ona moja!

-- Wyśmienicie pan kłamiesz i oszukujesz. Wiem teraz, skąd Tola co dzień bogatsza w wykręty.

Czy pan myślisz ten system dalej uprawiać?

-- Nie, już nigdy, bo wstydzilibym się pani!

-- Bardzo szczęśliwie, bo już panu drugiego kłamstwa nie daruję, choćbym nawet złożyła --
mażeńską przysięgę. Proszę to zapamiętać!

Raczyła podać mu rękę, ale pozostała nachmurzona i Kostuś wyznał w duchu, że żartować z nią byłoby niebezpiecznie.

U progu odprawiła go.

-- Proszę mi jeszcze darować godzinę! -- prosił pokornie. -- Jeszcze panu dokuczają te godziny.

Niech pan idzie do ciotki.

-- Co mi tam ciotka teraz! Rozkochany jestem w pani bez pamięci.

Ogarnął ją ramieniem, usunęła się zręcznie.

-- Idź pan -- rzuciła gniewnie.

-- Przecież jestem pani narzeczonym! -- Więc?...

Spytała takim tonem, że mu krew nagle zamarła. Cofnął się onieśmielony, a ona znikła za drzwiami. Stał chwilę i głową potrząsnął.

-- Widzi mi się, że z republiki wpadłem pod absolutną monarchię i prawa drakońskie. *Crè nom,*

żebym jej tak nie kochał!

IX

Homeryczną ucztę duchową miały plotki okoliczne. Zakipiało, rozprysło się na wsze strony, opowieści, krytyki, komentarze, drwiny, oszczerstwa, bajki. Różyccy nie schodzili z ust wszystkich znajomych i nieznanym, bliższych i dalszych. Ponieważ zaś pan Erazm całe życie ludziom pomagał, a długi wdzięczności spłacają się obmową, krewnych zaś nie posiadał, więc był rzucony na pastwę złych języków.

Pastwiono się nad Ritą za to, że mało dbała o ludzi, nad Adasiem, że nie kolegował z miejscową młodzieżą, nad Szymkiem, że go nie znano. Z Rity zrobiono potwora: jedni dowodzili, że ma, romans ze stryjem, drudzy, że fortunę jego dla siebie jednej chce zagarnąć. Adaś był zdrajcą dlatego, że wyjeżdżał, Szymek pasożytem i hultajem dlatego, że zostawał. Przyjęli Stefana, pokłóciwszy go z matką, aby potem skrzywdzić w dziale Zygmunta, a od głupiego dostać zrzeczenie na siostrę. Dowodzili jedni, że Jadwisia i Adaś od dawna mają z sobą romans, drudzy, że życie Adasia utrzymują sztuką, morfiną, byle do ślubu dożył, a potem Różycki zajmie się wdową i funduszem.

Wszyscy ci ludzie bywali zresztą w Rogalach, jedli smaczne obiady, spijali wina i ściskali dłonie gospodarza.

Od Różyckich przechodzono na Kostusia i wdowę. Ona miała legion kochanków, on już przed ślubem wytoczył proces biednym siostronom żony o posag. Jedna z tych sióstr umarła podobno z rozpacz, gdy otrzymała pozew. Zresztą wdowa była wyrodną matką. Dziecko mieli zostawić pannie Stefani. Biedna sierotka! Podobno Jamont tolerował gachów narzeczonej, jeśli przegrywali do niego w karty, w przeciwnym razie robił skandale, bo lubił przy tym głowę zalewać. Biedna ciotka, która go hodowała, z płaczem to opowiadała. Na nią ośmielał się rękę podnosić. Szalona Wojakowska, że idzie za niego. Powiadają, że jest tam druga żona. Ksiądz waha się ze ślubem i zatelegrafował do Algieru.

Gdy wyczerpano sprawę Kostusia, języki nie milkły. Był jeszcze Wiktor, ale tego się bano, bo miał mir między młodzieżą, policję swoją w osobie Józefa, język złośliwy i żenił się bogato. Więc tylko cicho, bardzo cicho i oględnie szeptano o nim.

Ożywiła się bardzo okolica. Kilka domów przyjaznych pokłóciło się wskutek tego życia, kilka powaśnionych podało sobie ręce, byle z nowin korzystać. Wszyscy perorowali w imię zasad, tradycji, dobrych obyczajów, idei.

A jednak omal do tych brudów nie domieszała się krew. Pewnego wieczoru pan Erazm czytał

spokojnie gazety, przysłuchując się zarazem muzyce Adasia i jakiejś wesołej dyspucie artystycznej Szymona i Rity, gdy wpadł Stefan.

-- Ciotka Felicja przysłała list bardzo pilny. Ten Żyd, co go przywiózł, powiada, że Kostuś u Kiwy wybił Zawirskiego z Malewicz. Aj, że mnie tam nie było! To komedia!

-- Ten zwariował! Robić skandal w zajeździe na dwa dni przed ślubem -- mruknął pan Erazm rozrywając kopertę.

Panna Felicja ze wzruszenia nakreśliła ledwie czytelne zygzaki:

„Kostuś ma się jutro pojedynkować! Mój Boże, ledwie żyjemy z rozpacz! Przyjeżdżaj pan!”

-- Niech no Jurek zaprzęga! Zbierz się, Szymku, pojedziemy. Jeśli przyjdzie do rozprawy, trzeba mu dwóch świadków.

W pół godziny pędzili do miasteczka. Przybyli tam nad ranem i znaleźli u Kiwy Kostusia śpiącego jak kamień.

-- Co się stało?

-- Nic. Przedwczoraj siedziałem tu sam i zły na Hele. Aż tu obok Zawirski, Wiktor i Józef zaczęli pleść niestworzone rzeczy. Cierpiałem, póki mogłem; potem, jak Zawirski zaczepił -- no, nie powiem kogo -- wszedłem do nich i powiadam mu: „Łżesz, wiesz o tym, cofnij, co powiedziałeś”!

On jeszcze lepiej i śmieje mi się w oczy. Więc dałem mu policzek, trochę za mocno, bo szczękę wytrąciłem, i powiedziałem, że jest podły. Potem zacząłem czekać na wyzwanie i oto trzeci dzień czekam. Moje kobiety trochę płaczą, a więcej -- się złością, bo to burda. Ale cóż miałem robić?

Przez całe życie nie słyszałem tych haniebnych oszczerstw i kłamstw, co przez to jedno lato.

-- A twój ślub?

-- Pojutrze, jeśli co nie przeszkodzi. Szkoda mi będzie życia teraz, ale też nie sposób znosić podłości.

-- Gdzież Zawirski?

-- Podobno wyjechał opuchnięty do Malewicz. Ale Wiktor i Janicki przyjechali stamtąd wczoraj wieczorem. Może się zgłoszą.

-- No, pójdę do nich zasięgnąć języka. Widzi mi się, że żyć będziesz.

Gdy wyszedł, Kostuś -- zwrócił się do Szymka:

-- Gdy stąd wyjadę, będę miał wrażenie, że wy dostał się z kałuży brudnej i cuchnącej.

Pan Erazm tymczasem wnet odnalazł Wiktora i zastał u niego Janickiego i Werbicza.

Miny mieli ponure i oburzone.

-- Co tu robicie? Wyzywajcież Jamonta! Przecie nie będzie się strzelał w dzień ślubu!

-- Po nim można się wszystkiego spodziewać, nawet że nas postrzela, gdy mu przyjdzie fantazja z kieliszka -- rzekł Wiktor.

-- Człowiek, który nie szanuje położenia naszego, niegodzien jest pojedynku -- dodał Janicki.

-- Nic was nie rozumiem! -- ruszył ramionami Różycki.

-- Nam między sobą waśnić się nie godzi! -- rzekł Werbicz. -- To będzie ostatnia klęska i wstyd!

-- Aaa! Z tego punktu bierzecie kwestię. Trudno mi będzie, to uczynić zrozumiałym Kostusiowi.

Wyłóżcie mu więc to dokumentnie; że u nas wolno tylko czekać i kąsać zza płota za to nikt nie powinien się obrażać ani ujmować. Wstyd zaś nosi ten tylko, kto oszczercę policzkuje. Tamten jest ofiarą i w imię idei chowa policzek do kieszeni. Czy zrozumiałem was?

-- Unosisz się -- rzekł Werbicz. -- Wedle mnie Zawirski okazał wiele taktu i dojrzałości.

Pan Erazm nie wrócił wprost do Kostusia.

Potrzebował ochłonać. Za nic nie wyznałby mu prawdy.

Gdy przyszedł wreszcie, zdobył się na wesołość.

-- Zawirski uznał swą winę. Sprawa skończona. Chodźmy uspokoić nasze panie. Jechaliśmy na sekundantów, będziemy świadkami na ślubie -- zawołał od progu.

Kostuś zdumiał,

-- Nie stanie do rozprawy ani on, ani Wiktor? -- spytał uszom nie wierząc. -- Żebym wiedział, że tak się skończy, nie podniósłbym nań ręki, ale laskę. Twardą mają skórę!

Roześmiał się szyderczo, aż pobladł Różycki z upokorzenia. -- Chodźmy do dworku, zapomnijmy o tym. Szymku, napisz słów parę z uspokojeniem dla Rity i wyślij konnego...

-- Po co? -- odparł Szymon ramionami ruszając. -- Ona była zupełnie spokojna.

Przepowiedziała, że sprawa nie skończy się prochem i ołowiem, ale śliną i winem!

-- Miała, jak zwykle, rację -- rzekł Kostuś. Nazajutrz cała okolica wiedziała, że Kostuś pijany zeszedł Zawirskiego u narzeczonej, że do niego strzelał, ale go ubezwładnił i za drzwi wyrzucił

Wiktor Tedwin. Inni przeczyli temu i dowodzili, że pokłócono się przy kartach. Jamont przegrał i nie chciał płacić, więc go Zawirski nazwał podłym, a tamten rzucił się na niego i omal nie zabił

lichtarzem.

Szcęściem wieści tych nikt nie doniósł do dworku, bo Konstantego ślub znowu by uległ

zwłóce.

Ale brudy nie przekraczały furty panny Stefanii, a zakochani unikają ludzi, więc w oznaczonym dniu, bardzo rano, po spowiedzi i mszy, Kostuś ukląkł z wdową u stóp ołtarza i przysięgli sobie wiarę do

śmierci. Twarda jego spracowana dłoń uściśnęła mocno jej pracowite palce i stary ksiądz im pobłogosławił.

W dworku panny Stefanii ciasno było od kufrów. Zebrały

się rzeczy panny Felicji, wdowy i wyprawka Jadwisi, zawarta w dwóch starych walizach.

Pani Zofia spieszyła do domu, bo nazajutrz miała sprawę w sądzie. Oddając Ricie walizy, córkę i klucze, zaraz opowiadała Różyckiemu proces i pytała o radę.

Na podwórzu panował ruch i rozgardiasz okropny. Kostuś rozrywał się na wsze strony, służba rogalska biegała, panna Felicja komenderowała obwiązywaniem pakunków i cichaczem ocierała łzy.

Nareszcie o południu otwarto na oścież bramę i uśmiechnięty, na swym wysokim koźle, w ramie z płótna budy, ukazał się zacny Alkone Krum targając lejce niesfornej czwórki.

Bryka stanęła przed gankiem, zaczęto ją wypełniać tłumokami. Kostuś i Rita pilnowali liczby i porządku.

-- Siedm kufrów naszych, dwa Jadwisi -- rachował młody człowiek.

-- W Rogalach przybędzie jeszcze ze siedm -- śmiała się Rita.

-- Kostusiu, wyjmijcie czarny kufer, znalazłam tu jeszcze trochę drobiazgów! -- zawołała panna Felicja.

-- Masz tobie! Kufer na samym spodzie. Ciocia nie ma nade mną litości!

-- To ja ją będę miała! -- odezwała się pani Helena. -- Wezmę cioci drobiazgi do swego tłumoka.

Jest szczęściem na wierzchu. Muszę go jeszcze otworzyć.

-- Mamo, ja chcę do tego białego domku! -- napierała się Tola ciągnąc ją za rękaw.

-- Rito -- wołał Różycki -- gdzie są papiery panny Jadwigi? Pani Zofia ci oddała

-- Chodźcie na śniadanie -- wzywała panna Stefania.

-- Muszę iść do rejenta! Zapomniałam wziąć weksli -- wołała pani Zofia.

Wśród tej wrzawy Alkone zapewniał Ritę o pośpiechu swych koni, a Szymon wydawał

rozporządzenia Jurkowi co do zaprzęgu.

Tymczasem Kostuś upakował ostatni kufer, wziął Tolę na ręce i poszedł za wdową do jej pokoju. Nagi już był i pusty. Drobiazgi ręczne leżały na stoliku i stała tylko maszyna do szycia, którą kobieta pogładziła ręką.

-- Żal mi ją zostawiać tę naszą karmicielkę -- rzekła -- żal dobrych ludzi w dworku!

Spojrzała na męża i spotkawszy jego gorące oczy, zarumieniła się.

-- Heluś, takim szczęśliwy! -- szepnął obejmując ją wpół. -- Mnie tylko żal, że cię nie poznałem wcześniej! Powiedz przynajmniej, że ci nie żal, żeś moja!

Uśmiechnęła się, a on ten uśmiech z ust jej scałował.

-- Kostusiu, Kostusiu! -- rozległo się wołanie panny Felicji. -- Nie znajduję pieniędzy! Co to będzie!

Jak niegdyś, w wagonie, on ani drgnął. Przypomnieli sobie tę scenę i roześmieli się oboje.

-- Jużem wtedy prosił ciotki, by jechać dalej z tobą. Oświadczyłbym się na drugiej stacji. Z jej winy straciłem znowu masę czasu!

-- Tatku, co to takiego rywal? -- zagadnęła Tola, o której zapomnieli.

-- Rywal! A ty gdzie to słyszałaś? -- zaśmiał się.

-- Ta pani -- paluszkami wskazała Ritę na dziedzińcu -- ta pani mnie nauczyła, żeby tatka nazywać rywalem. Co to rywal?

Małżonkowie spojrzeli po sobie.

-- Dzięki Bogu, że kochasz tego rywala -- rzekła matka.

-- Czy niebezpieczny? -- zagadnął z cicha Kostuś.

-- Boję się, że tak! -- odparła.

Po jednodniowym przystanku w Rogalach ruszono do stacji kolei. Jechano trzema powozami.

W pierwszym Kostuś z żoną i Tolą, w drugim Rita z Adasiem i Jadwisią, w końcu pan Erazm z panną Felicją i Szymkiem. Stefan wprosił się na kozioł do Kostusia, ale na drugiej wiorście wyniósł się do młodzieży.

-- Oni tam tacy nudni jak Żydy po szabasie! -- rzekł. Trafił do wesołości; aż się zdziwił, skąd Jadze się wziął dowcip i rozum, a dla Rity nabrał uwielbienia. Nawet Adaś był niezwykle ożywiony i rozmowny. Za to w ostatnim powozie nikt się nie śmiał. Pan Erazm wydawał różne polecenia Szymkowi, wykladał mu interesy i porządek.

Trochę rdzawych liści słało się już po drodze, łąki srebrnymi były osnute pajęczynami, niebo bledsze, chmur gęściej, a w powietrzu zapach ruszonej pod siewy roli. Panna Felicja milcząca rozglądała się wokoło, zapach ten wciągając w płuca; chwilami parę cichych łez spływało po jej twarzy. Nareszcie już i stacja się ukazała zieleniejąca dachami wśród szarego krajobrazu.

Stanęli na rozdrożu, wśród którego krzyż stary stał pochylony latami. Na jego ramieniu kilkanaście ptasząt wędrownych odpoczywało żałośnie świergocąc.

-- One tak odlatują jak i my -- rzekła panna Felicja -- tylko że one wrócą z wiosną, a ja już nigdy...

Powóz się zatrzymał, staruszka wysiadła i poczęła u stóp krzyża zbierać źdźbła rdzawych wrzosów i macierzanek.

Wysiadł za nią pan Erazm i tak stanęli oboje patrząc po tej szarej pustej równinie.

-- Dałby Bóg ją utrzymać -- rzekł.

-- Nie wiem komu z nas ciężiej: pani, co jej już ujrzyć nie ma nadziei -- czy mnie, co patrzę wiek cały, jak z rąk nam się wymyka, ginie, stacza się do ruiny...

-- Nam ciężiej -- rzekła -- bo lżej jest temu, kto jeszcze matkę ma, choć biedną j chorą, jak temu, co został sierotą.

-- Mój Boże, czy przyjdzie kiedy taki czas, że te dzieci, rozrzucone po całym świecie, tułacze i wszędzie obcy, zbiorą się z wami razem do jednego stołu i pracy, i ofiary? Już bym cicho leżała w obcej ziemi, żeby mi Bóg tę nadzieję dał, że Kostuś tu powróci.

-- Nie dajcie mu, kobiety, zapomnieć, to wróci -- odparł poważnie Erazm.

Wrócili do powozu i panna Felicja schowała jak relikwie rdzawe wrzosy i macierzanki i przeżegnała się raz ostatni, patrząc na krzyż pochyły. Ptaszyny wędrowne ruszyły także i zniknęły wnet w białych chmurach.

Na stacji zamęt i pośpiech odrzucał. A wnet i pociąg nadszedł. Jeszcze to nie było rozstanie.

Wsiedli wszyscy razem, tylko Stefan i Szymon stali na platformie przyjmując resztę poleceń --

ostatnie pożegnanie. Dzwonek zajęczał. Pociąg się zakołysał nieznacznie.

W oknach lżyło pełno głów, a wśród nich jedna stara kobieta, która nie mówiła nic, tylko patrzyła żałośnie w dal.

-- Żegnajcie! Szczęśliwej drogi! Piszcie często! -- rozległo się ze stron obu.

-- Do widzenia! -- krzyknął Stefan. Pociąg wybiegł za stację.

Wówczas Szymon się odwrócił i położył dłoń na ramieniu Stefana.

-- A my, bracie, wracajmy! Robota czeka. Weźmiemy się za bary!

Nota wydawcy

Powieść Marii Rodziewiczówny Jaskólczym szlakiem została wydrukowana po raz pierwszy w czasopiśmie „Wiek” 1892 nr 243-292, 1893 nr 1-103 pod pierwotnym tytułem Lew w sieci.

Pierwsze wydanie książkowe, także tak zatytułowane, ukazało się w 1893 roku w Warszawie.

Powieść drukowała, po zmianie tytułu na Jaskólczym szlakiem, również lwowska „Gazeta Narodowa” 1893 nr 224-297, 1894 nr 1-29, która wydała w 1894 roku książkową odbitkę.

Następne wydania: Warszawa 1910; Warszawa 1913; jako tom 11 edycji: Pisma. Wydanie zbiorowe jubileuszowe z przedmową. Z. Dębickiego, Wydawnictwo Polskie Lwów (1927); Poznań (1935) jako kolejne wydanie t. 11 Pism. Po wojnie wydała Jaskólczym szlakiem Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza w 1957 roku.

Niniejsze wydanie oparto na tekście t. 11 Pism. Zgodnie z ostatnim wydaniem powieści za życia autorki zachowano cechy językowe utworu, uwspółcześniając jedynie ortografię i nieznacznie interpunkcję. Poprawiono wyłącznie ewidentne błędy drukarskie. Ponadto, na podstawie zestawienia z pierwodrukami czaso -- piśmienniczymi (do pierwodruku książkowego nie udało się dotrzeć), wprowadzono do niniejszego wydania następujące, opuszczone prawdopodobnie w druku, fragmenty, których brak powoduje wyraźne zniekształcenie kontekstu i sensu wypowiedzi: na s. 26. w. 29 „Ośmieliła się wreszcie wziąć je do rączki.” („Wiek” 1892 nr 250); na s.86. w. 15-18:

-- To może, proszę jaśnie pana, za jednym zachodem i proboszcza zabrać. Tyle drogi, konie bardzo zhasane!

-- Nic rezonować! -- upomniał Różycki ostro.

Jurek zawrócił do stajni mruczając:” („Wiek” 1893 nr 4); na s.174, w. 29 „ -- Nic z tego nie będzie.” („Wiek” 1893 nr 75); na s. 192 w. 16-19: „ -- Chodźmy na teatr. Jest jakaś małoruska trupa i Cyganki! -- wołał Zawirski.

-- Pewnie Żydówki z Berdyczowa! -- śmiał się Zygmunt. -- Stare mięso!” („Gazeta Narodowa” 1893 nr 9).

Słowniczek

„...a j e ś l i m n i e - - s t ą d z m u s z ą u s t ą p i ć?” -- utrzymanie ziemi w polskich rękach było uważane na terenach zajętych przez zaborców za patriotyczny obowiązek.” *A v e r y g e n t l e m a n* (ang.) -- prawdziwy dzentelmen a b s y n t (z fr.) -- nalewka spirytusowa na piołunie (i innych ziołach aromatycznych); piołunówka

a d m o n i c j a (z łac.) -- napomnienie, nagana, pouczenie a l m e a (z arab.) -- tu: tancerka; tancerka indyjska, bajadera a l t e r o w a ć s i ę (z łac.) -- przejmować się, niepokoić, trapić a n t e n a t (z łac.) -- przodek, pradziad, protoplasta rodu a p o s t a t a (z gr.) -- odstępcza, odszczepieniec

a r i a n i z m -- kierunek w teologii chrześcijańskiej zapoczątkowany przez kapłana aleksandryjskiego Ariusza (IV.); tu: grupa religijna w XVI w. w Polsce odrzucająca niektóre dogmaty chrześcijańskie, zwierzchnictwo papieża, hierarchię kościelną, domagająca się tolerancji religijnej i reform społecznych (Bracia Polscy)

A r k a d i a -- historyczna kraina w Grecji opiewana przez poetów jako sielankowy kraj

„arkadyjskich pasterzy”

a s y g n a t y (z łac.) -- tu: banknoty, pieniądze papierowe *A t l a s* -- tu: góra w pn. -- zach. Afryce (pierwszy wspomina o niej Herodot w V w. p.n.e.).

Zdanie: „Więc pan tu do nas przybywa jak lew spod Atlasu, by szerzyć spustoszenie?” pozostaje w związku z pierwotnym tytułem powieści „Lew w sieci”.

b a c c a r a t (fr.) bakarat -- francuska hazardowa gra w karty *b a c h a n a l i a* (z łac.) -- tu przenośnie: hulaszce zabawy, pijatyki; starożytne misteria ku czci Dionizosa (Bachusa) -- boga wina, płodnych sił natury, plonów *b a ł a g o ł a* -- właściwie: bałagula, najęty woźnica, furman, najęty wóz z furmanem *b i r b a n t o w a ć* -- hulać

b r a m o w a ć -- tu: otaczać

B r z e ś ć -- położone nad Bugiem, jedno z najstarszych miast pogranicza polsko-rosyjskiego, XI-XII w. stolica księstwa, od XIV w. należał do Litwy, po III rozbiórce Polski został włączony do Rosji, w 2 poł. XIX w. był ważnym węzłem kolejowym i silną twierdzą, 1919-39 należał do Polski, obecnie wchodzi w skład Białoruś. SRR, znany z ważnych wydarzeń historycznych: kościelna unia brzeska 1596, brzeski traktat pokojowy 1918, proces brzeski 1931-32

c a p r i f o l i u m (łac.) -- wiciokrzew, pnący krzew o ozdobnych kwiatach *c e d r* (z gr.) -- drzewo iglaste z rodziny sosnowatych, wiecznie zielone, długotrwałe, rośnie w górach krajów śródziemnomorskich i w Himalajach

c ' e t a i t v u l g a i r e ! -- To było pospolite! (wulgarnie, niestosowne) *c h a n a n e j s k a* tu: żydowska; od starożytnej ziemi Chanaan (Ka -- naan) *c h e d e r* (hebr.) -- żydowska, podstawowa szkoła religijna *C h i v a p i a n o , v a s a n o* (włos.) -- przysłowie: Kto idzie wolno, idzie zdrowo *c h l e b ś w i ę t e j A g a t y*, -- wedle ludowego wierzenia chronił dom przed pożarem, św.

Agata to patronka od pożarów i wypadków z ogniem, w jej święto święciło się chleb, sól, wodę używaną do gaszenia ognia

c h w a l b a -- tu: przechwalanie się

c i ę t y -- tu: pijany

C o m m e i l f a u t (fr.) -- jak należy, jak wypada, w dobrym tonie *C o n c o r d i a r e s p a r v a e c r e s c u n t . . .* (łac.) -- ...discordia maximae dilabuntur -- zgodą małe rzeczy wzrastają, niezgodą największe się rozpadają (Sallustiusz) *Contes de veilles!* (fr.) -- Wieczne opowieści!, tu: Bajki!

Cre nom! (fr.) -- Do krośset!

c u g (z niem.) -- zaprząg składający się z czterech lub sześciu koni, często rasowych, dobranych w pary lub czwórki typem, wzrostem, maścią; tu także: ruch partnera w grze w krokieta c z a p l a z b a j k i -- mowa o czapli z bajki J. Krasickiego Czapla, ryby i rak c z y n o w n i k (z ros.) -- urzędnik

da r d a n e l -- głupiec, osioł dardanelski, właściwie: dardański, określenie spotykane w języku polskim od XVIII wieku, wywodzi się prawdopodobnie z legendy o koniu trojańskim (Dardania część Troady, dardański znaczyło trojański); forma dardanelski pochodzi zapewne od nazwy cieśniny Dardanele.

d ą b k o r k o w y -- jeden z ponad 200 gatunków dębu, drzewo do 20 m wysokości występuje w stanie dzikim w obszarze śródziemnomorskim i jest tam uprawiany, kora tego dębu dostarcza cennego surowca, korka

d e i u r e (łac.) -- wg prawa, zgodnie z obowiązującym prawem d e z e l o w a ć , d e z o l o w a ć (z łac.) -- psuć, niszczyć, rujnować d i a b e ł e k -- rodzaj gry hazardowej w karty

d o m i n i u m (z łac.) -- tu: posiadłość ziemska albo leśna należąca do jednego właściciela; w średniowiecznym prawie feudalnym -- własność podzielona, zawierająca prawo własności zwierzchniej pana feudalnego i prawo własności podległej chłopu d o p i l n o w a ć -- tu: dojrzeć, zauważyć

d r a b -- tu: sługa, lokaj

d r a k o Ń s k i (z gr.) -- surowy, okrutny, bezwzględny; od imienia Drakona, prawodawcy ateńskiego VII w. p.n.e.

d r o p i a t y -- upstrzony ciemno -- siwe -- czerwono (jak ptak drop), cętkowany; dropiaty koń d z i e g i e ć -- smar, produkt suchej destylacji drewna brzoźowego, o właściwościach konserwujących

e k l i p s a (z fr.) -- tu: zniknięcie

e n b o n n e f o r t u n e (fr.) -- w szczęściu, w szczęśliwym położeniu e n f a n t t e r r i b l e (fr.) -- dosłownie: okropne dziecko; przenośnie: dziecko źle wychowane, osoba nietaktowna, stwarzająca kłopotliwe sytuacje

e u k a l i p t u s (z gr.) -- drzewo lub krzew z rodziny mirtowatych; występuje w wielu gatunkach głównie w Australii, zawiera olejki eteryczne stosowane w przemyśle farmaceutycznym i spożywczym

f a c j a t k a (z włos.) -- mieszkanie na poddaszu

f a j e t o n , f a j t o n i k , f a e t o n (z grec.) -- rodzaj lekkiego powozu bez drzwiczek f a k t o r (z łac.) -- pełnomocnik, pośrednik handlowy

f a w o r y t y (z fr.) -- zarost na policzkach, bokobrody, baki f e b r a (z łac.) -- potoczne określenie

gorączki typu malarycznego, malarii lub w ogóle gorączki z dreszczami

f i k s a t (z fr.) -- człowiek dotknięty jakąś manią; dziwak, maniak f o l u s z (z hol.) -- maszyna do folowania tkanin, pilśniarka f o r n a l -- parobek stajenny, furman, woźnica

f o r t e l (z niem.) -- podstęp, wybieg

f r a z e s (z grec.) -- tu: zdanie, wyrażenie, zwrot konwencjonalny f r y c (z niem.) -- tu: nowicjusz, człowiek niebogaty, naiwny f u g a (z łac.) -- tu żartobliwie: ucieczka

F ü h r e r (niem.) -- : tu prawdopodobnie: przywódca duchowy młodzieży szkolnej f u n d u m (z łac.) -- tu prawdopodobnie: parcela, miejsce gdzie stoi albo stał dom mieszkalny f u n t (z łac.) -- dawna jednostka wagi w wielu krajach, od ok. 400 do ok. 560 g F ü r g e s u n d ! (jid.) -- Jedź zdrowo!

g a r d e - m a l a d e (fr.) -- osoba opiekująca się chorymi, pielęgniarzka g a t u n k o w a ć -- dzielić na gatunki, grupować, segregować, sortować H e r s t e (jid.) -- Widzisz ją!

h l a c z e k h l a k (białorus., ukr.) -- naczynie gliniane, butelka h o ł y s z (z ukr.) -- biedak, golec

h o m e r y c z n y ś m i e c h -- gwałtowny, niepohamowany, serdeczny; Homer pisze o

„nieugaszonym śmiechu” bogów (Iliada 1,599; Odyseja 8;326) i zalotników Penelopy (Odyseja 20,346)

h y m e n (z grec.) -- tu: małżeństwo, ślub; Hymen -- grecki bóg małżeństwa I l s s o n t r i d i c u l e s ! (fr.) -- Śmieszni są!

i n d a g a c j a (z łac.) -- wypytywanie, badanie, śledztwo i n f a m i s (z łac.) -- tu: oszust, niktzemnik; dawniej: człowiek skazany na utratę czci i praw obywatelskich z powodu wielokrotnie popełnianych przestępstw i n t e r c y z a (z łac.) -- umowa, przedślubna ustalająca sprawy „majątkowe przyszłych małżonków

i n t e r p e l o w a ć (z łac.) -- tu: pytać oficjalnie, tonem urzędowym i n t r o d u k t o r (z łac.) -- tu: osoba wprowadzająca, która objaśnia pochodzenie osób z towarzystwa i komentuje ich sytuację

„ J a k o r ” , „ W a r s z a w s k i e ” -- nazwy towarzystw ubezpieczeniowych J a n b e z Z i e m i -- John Lackland z dynastii Plantagenetów, król Anglii (1199-1216), syn Henryka II, wstąpił na tron po śmierci brata Ryszarda I Lwie Serce, zwany Bez Ziemi, gdyż nie uczestniczył w podziale terytorium Henryka

j a r m u ł k a (z tur.) -- mała okrągła czapeczka bez daszka, sukienna albo aksamitna, noszona dawniej głównie przez Żydów, mycka, krymka

j a r z m o -- drewniany zaprzęg dla bydła zakładany na kark albo na czoło i rogi K a b y l o w i e -- lud berberyjski, mieszkańcy Kabylii (północna Algieria) zajmują się rolnictwem, hodowlą owiec i rzemiosłem, zachowali dawne obrzędy magiczne, język berberyjski i arabski

k a l i k o w a ć (z łac.) -- pompować powietrze do miechów organowych za pomocą dźwigni, zwykle nożnej, w dawnego typu organach

k a p i t u ł a (z łac) -- rada zakonu, tu: przenośnie, ponure miejsce k a r a m b u l o w a ć (z fr.) -- zderzać się, potrać

K a r l s b a d -- niemiecka nazwa czechosłowackiego miasta Karlovy Vary, słynne i popularne zwłaszcza w końcu XIX w. uzdrowisko, położone w zachodniej Czechosłowacji, bogate w wody mineralne skuteczne w leczeniu chorób przewodu pokarmowego

k a r t a -- mapa

k a t e g o r i a (z grec.) -- tu prawdopodobnie: przepis prawa; także: artykuł, punkt pozwu sądowego

k l e j n o t f a m i l i j n y -- tu: herb szlachecki

k l e m a t i s (z łac.) -- powojnik, pnąca roślina o ozdobnych kwiatach kompromis (z łac.) -- tu: sąd polubowny

k o m p r o m i s a r z (z łac.) -- sędzia polubowny, arbiter komunard (z fr.) -- tu: członek komuny k o n c e p t (z łac.) -- trafny, szybki pomysł, projekt, myśl szczęśliwa; tu: żart, dowcip k o n f i d e n c j o n a l n y (z fr.) -- poufny

k o n s e r w a t o r (z łac.) -- tu: konserwatysta

k o n s e r w a t y w n a s ł u ż b a -- tu żartobliwie: zacofana, nie znająca swoich obowiązków k o n t e n t (z łac.) -- zadowolony, rad, wesoły

k o n t r a k t y (z łac.) -- w dawnej Polsce od XVI w. doroczne zjazdy szlachty w różnych miastach w celu zawierania umów gospodarczych, transakcji handlowych i kredytowych k r o k i e t (z ang.) -- gra towarzyska na płaskim boisku polegająca na przetaczaniu drewnianych kul przez drucziane bramki za pomocą uderzeń młotka

k r y n i c a -- źródło, źródł

k u ł a k o w a ć s i ę -- bić się na pięści

k u p l e t (z fr.) -- zwrotka dowcipnej i satyrycznej piosenki o aktualnej treści, zakończona zwykle refrenem

k w e s t a (z łac.) -- zbieranie datków pieniężnych lub w naturze na cele publiczne i a k o n i z m (z grec.) -- zwięzłość w wyrażaniu myśli (Wedle tradycji właściwa Spartanom, mieszkańcom starożytnej Lakonii)

l a m p a r t -- tu: hulaka, nicpoń

l a n d a r a (z niem.) -- karetka podróżna, kryty powóz podróżny, duży, niezgrabny l e k t o r k a (z

łac.) -- tu: osoba zatrudniona we dworze do głośnego czytania *l i b e r t y n* (z fr.) -- tu: człowiek rozpustny, niedowiarek; sceptyk w sprawach religijnych *l i k* -- dawniej: liczba, ilość, suma; dziś w zwrocie: bez liku *l i t e r a l n y* (z łac.) -- dosłowny

l o d o w n i a -- pomieszczenie chłodzone lodem, służące do przechowywania żywności *l o k o m o b i l a* (z fr.) -- przenośna machina parowa używaną do poruszania narzędzi rolniczych *ł a d z i e* -- porządkować; żyć w zgodzie, por. *p o ł a d z i ć Ł ę c z n a* -- miasto nad rzeką Wieprz przy ujściu Jagielnicy, w powiecie lubartowskim, na granicy z powiatem lubelskim; słynne jarmarki, zwłaszcza handel końmi *ł o z a , ł o z y* -- wierzba; krzewy nadbrzeżne

ł u b i a n y t o b o ł e k -- zrobiony z łąbu, kory drzewa (zwłaszcza lipy, wiązu, sosny) służącej w dawnej Polsce do wyrobu pudełek, miarek, siewnic, koszyków

ł y k -- tu: biedny mieszczanin, nazwa od noszonego kiedyś taniego ubrania z łyka (tj. z włókien konopnych)

m a c h e r e (fr.) -- moja kochana, moja droga

m a j o r a t (z łac.) -- sposób dziedziczenia własności ziemskiej, według którego cały majątek, nie podzielony, przechodzi -- na najstarszego syna lub krewnego *M a l e d i c t i o n !* (fr.) -- Nieszczęście!

m a n t y l a (z hiszp.) -- tu: krótka pelerynka damska, zwykle jedwabna *m e ł a m e d* (hebr.) -- nauczyciel w chederze

m e n t o r (z grec.) -- nauczyciel, wychowawca, mądry doradca; nazwa pochodzi od imienia wychowawcy Telemacha, syna Odyseusza

m i e r z y n (z ros.) -- koń roboczy

m i r (z ros.) -- tu: znaczenie, poważanie, uznanie

M i r , m a c h g i c h e r ! D e r g o i m a c h t a s k a n d a l (jid.) -- Prędzaj! Goj robi mi awanturę (goj -- żydowskie określenie innowiercy)

m i s z u r y s , m i s z u r e s (z hebr.) -- żydowski posługacz w zajeździe *m i z a n t r o p* (z gr.) -- człowiek stroniący od ludzi; odludek *m i e c z n i k , m l e c z n i a k* -- garnek, w którym przechowuje się mleko *m o t y l k o w a ć , m o t y l i ć s i ę* -- być zalotnym, płochym, trzpiotem; tu: kręcić się *m u r o w a n k a* -- budynek murowany, dom z kamienia lub cegły, kamienica; karczma *mutra* (z niem.) -- nakrętka; pierścień o gwintowanym otworze służący do nakręcania śruby na sworzeń *N e d i t e s j a n i a i s : f o n t a i n e , j e n e b o i r a i p a s d e t o n e a u !* (fr.) -- przysłowie: Nie mów nigdy: źródło, nie będę pił twojej wody!; przenośnię: nie zarzekaj się *n e j t y c z a n k a* (z niem.) -- bryczka, z tyłu nieco podniesiona, od nazwy miasta czeskiego Novy Jičín po niemiecku Neu Titschein

n e s t o r (z grec.) -- najstarszy zasłużony przedstawiciel jakiejś grupy, tu: powiatu; od imienia jednego z bohaterów Iliady, najstarsze go z wodzów greckich walczących pod Troją *n e r w u j ą c y* -- tu: podniecający

n i w e l a c j a (z fr.) -- wyrównywanie powierzchni terenu; pomiary geodezyjne określające wysokość punktów terenu

n o t a b e n e (łac.) -- wyrażenie zwracające uwagę na jakąś część tekstu albo wypowiedzi; do tego, w dodatku, nawiasem mówiąc

o d k o s z -- odmowa kobiety w staraniach o rękę; także: dać kosza oficjalista (z łac.) -- w dawnej Polsce urzędnik, szczególnie sądowy; osoba zatrudniona przy zarządzaniu majątkiem ziemskim (ekonom, pisarz itp.)

o k a z j a (z łac.) -- tu: wypadek, przygoda

o p o k a P i o t r o w a -- synonim Kościoła na podstawie biblijnego cytatu: „Iżes ty jest jak opoka, na tej opoce zbuduję kościół mój” (Ewangelia św. Mateusza, 16, 18) o r a n ż e r i a (z fr.) -- oszklony, ogrzewany budynek w ogrodzie, w którym zimą przechowuje się kwiaty

o r c z y k (z niem.) -- drążek u wozu, zawieszony poprzecznie, na którego końcach zaczepia się postronki dla zaprzężenia koni osada -- tu: oprawa oczu

o s z t r a f o w a ć (z niem.) -- ukarać

p a l i w o d a -- człowiek lekkomyślny, narwaniec, pędziwiatr p a n a m a -- letni jasny kapelusz o płaskiej główce i szerokim rondzie, wyplatany z odpowiednio spreparowanych liści palmy rosnącej w Ameryce Południowej (Panama -- kraj w Ameryce Środkowej)

„p a r ę a k o r d ó w m o t y w ó w n a r o d o w y c h ” -- chodzi zapewne o motywy pieśni patriotycznych, np. powstańczych

p a r o k s y z m (z gr.) -- napadowe wystąpienie lub zaostrzenie się objawów chorobowych; przenośnie: krótkotrwały, lecz silny przejaw jakichś przeżyć; tu: miłości p a r t y k u l a r z (z łac.) -- miejscowość odcięta od ośrodków życia umysłowego, zapadły kąt, głucha prowincja

p a t e n t (z łac.) -- tu: świadectwo nauczycielskie

p e r e g r y n a c j a (z łac.) -- dłuższa podróż, wędrówka; pielgrzymka p e r l i c e -- ironiczne określenie dziewcząt pochodzące od słowa perła lub perliczka p i e n i ą c s i ę -- procesować się, prawować się zaciekle, często o drobne sprawy p i g u ł k i M o r i s o n a -- dawniej stosowany ziołowy lek o działaniu gwałtownie przeczyszczającym

p l a t f o r m a (z fr.) -- tu: peron na dworcu kolejowym, przy torze p o b i e l a n i e r o n d l i -- pokrywanie żelaznych naczyń kuchennych polewą cynową p o d w o d a -- wóz, furmanka z zaprzęgiem

P o l e s i e -- rozległa płaska równina, pokryta lasami, leżąca po obu stronach Prypeci między Bugiem a Dnieprem; akcja powieści rozgrywa się na Polesiu Lubelskim w okolicach Brześcia nad Bugiem

P o l i k r a t e s -- bogaty kupiec z Samos, który ok. 538 r. p.n.e. wykorzystując niezadowolenie ludu z rządów arystokracji zdobył władzę przy pomocy nielicznej drużyny, był władcą bezwzględny, o dużej energii, zdolnościach i szczęściu, łączył w sobie cechy perskiego despoty i greckiego filozofa

p o ł a d z i ć -- uporządkować, przysposobić; tu także: pogodzić, ułożyć por. ładzie **p o p u l a r y z o w a ć s i ę** (z fr.) -- tu pogardliwie: spoufalać się **p o s e s o r** (z łac.) -- posiadacz, właściciel; dzierżawca **p o t r a w** -- trawa i siano z drugiego albo trzeciego pokosu **p o z ó r** -- tu: wygląd

p r e m i o w e p i e n i ą d z e -- opłata pobierana przy ubezpieczeniu **p r ę g i e r z** (z niem.) -- w średniowiecznych miastach słup, do którego przykuwano przestępców, aby wystawić ich na publiczne pohańbienie

p r o p i n a c j a (z łac.) -- w dawnej Polsce wyłączne prawo pana feudalnego do produkcji i sprzedaży trunków w obrębie jego dóbr

p r o w i z j a (z łac.) -- tu: żywność, zapas, zaopatrzenie **p r o z e l i t y z m** (z gr.) -- dążenie do nawracania innych na' swoje wyznanie **p r y n c y p a ł** (z łac.) -- dawniej: zwierzchnik, szef, właściciel firmy w stosunku do swego personelu

p s a l m o d i o w a ć (z gr.) -- śpiewać psalmodię, czyli melodię psalmu wraz z specyficzną intonacją

p u d (ros.) -- dawna rosyjska jednostka ciężaru odpowiadająca 40 funtom, czyli 16,38 kg **p u r y t a n i n** (z łac.) -- tu: człowiek o surowych zasadach moralnych **p u s t a k** -- wesołek, lekkoduch, narwaniec, pędziwiatr

p y t e l (z niem.) -- urządzenie mechaniczne we młynie służące do przesiewania zmielonej już mąki; także młyn posiadający takie urządzenie

q u ' i l l a i l l e s e f a i r e p e n d r e a i l l e u r s (fr.) -- niech go inni wieszają **r e d u t a** (z fr.) -- tu: publiczny bal maskowy, zabawa karnawałowa rozpowszechniona w Polsce od poł. XVIII w.

r e f l e k t o w a ć (z łac.) -- tu: hamować, mitygować

r e g e s t r r e j e s t r (z łac.) -- tu: rachunek; spis, wykaz **r e j t e r a d a** (z niem.) -- odwrót, cofanie się, ucieczka **r e k u z a** (z łac.) -- odmowa, odmówienie starającemu się ręki panny

„**R e v u e d e s D e u x M o n d e s**” (fr. „Przegląd dwóch światów”) -- czasopismo założone w Paryżu w 1829 r., od 1831 r. jako własność F. Bulozy stało się jednym z najświetniejszych w XIX

w. pism w Europie, o charakterze literacko -- artystycznym (prace Musseta, Balzaca, A. de Vigny, V. Hugo, G. Sand i in.). Obecnie dwutygodnik literacki.

r e z o n (z fr.) -- pewność siebie, rezolucyjność, śmiałość **r e z y d e n t** (z łac.) -- ubogi krewny albo oficjalista przesiadujący „na łaskawym chlebie” u zamożnej rodziny we dworze szlacheckim, odwdzięczający się za dobrodziejstwa usługami domowymi

r o g a t k a -- w dawnej Polsce posterunek miejski na granicy miasta, gdzie przeprowadzano kontrole przyjezdnych i pobierano opłaty za przejazd i przewożenie towarów r o g o ż a -- mata pleciona z łyka albo z sitowia

r o z h o w o r (z ukr.) -- rozmowa ruda -- mokra łąka, na Ukrainie nazwa bagnistych terenów, w których lęgą się lisy; ruda lęgowa ptactwa; tu: żartobliwe określenie „naturalnego” sposobu wychowywania dzieci przez panią Zofię

r z e s z o t o -- przetak, rodzaj sita z plecionego łyka, drutu, dziurkowanej blachy albo skóry *S a i d g e s u n d*! (jid.) -- Bądźcie zdrowi!

S a p r i s t i! (fr.) -- Do diabła!

s ą ż e ń -- staropolska naturalna miara długości, oparta na odległości od siebie końców środkowych palców rozkrzyżowanych rąk (ok. 178 cm);

s ą g , dawna sześcienna miara drewna opałowego

S e i s z t y l! (jid.) -- Bądź cicho!

s e r w i t u t (z łac.) -- służebność, prawo obciążające nieruchomości; w dawnym prawie polskim prawa przysługujące chłopom na gruntach dworskich, np. prawo do wypasu bydła na łące, prawo do zbierania drewna na opał.

s k l e p -- tu: podziemie kaplicy, piwnica, krypta grobowa s ł u s z n y w ł a ś c i c i e l -- tu: właściwy, prawowity *S p r u d e l* (z niem.) -- źródło, zród; nazwa naturalnej wody mineralnej jednego z gorących źródeł leczniczych w Karlsbadzie (por. *K a r l s b a d*)

s t a j e stajanie -- staropolska miara długości różna w różnych okolicach i czasach s t a n c j a -- tu: pokój, izba

s t e l w a g a (z niem.) -- przednia część wozu lub powozu, w której jest umocowany dyszel i przyłączone orczyki, por. o r c z y o k

s t o i c z n i e (z grec. od stoik -- zwolennik filozoficznej doktryny stoicyzmu) -- tu: ze stoickim spokojem, opanowaniem,

s t r a ż a -- dom strażnika leśnego, część lasu będąca pod dozorem jednego podleśnego sukurs (z łac.) -- pomoc, wsparcie, odsiecz

s u r d u t (z fr.) -- wierzchnie okrycie męskie na przełomie XVIII i XIX w., w końcu XIX i na pocz. XX w. długa dwurzędowa marynarka wizytowa z ciemnego sukna s y n d y k (z grec.) -- w dawnej Polsce: urzędnik miejski; tu żartobliwie: syndyk kościelny, osoba pozostająca w -- ścisłych kontaktach z kościołem

S z a , s z a , p a m e l a c h! (jid.) -- Spokojnie, spokojnie, powoli!

s z a b a s , s z a b a t , s a b a t (hebr.) -- świąteczny dzień siódmy po sześciu dniach pracy, dzień odpoczynku obchodzony przez Żydów w sobotę (rozpoczynający się w piątek wieczorem i trwający do zachodu słońca w sobotę)

s z a f a r k a (z niem.) -- w dworach szlacheckich zarządzająca gospodarstwem; ochmistrzyni s z a l e t (z fr.) szwajcarski -- domek wiejski budowany na wzór szwajcarskich s z m a t e k -- tu: kawałek pola

s z p a r k o -- szybko, prędko; także: mocno

s z t a m o w e r ó ż e -- róże pnące (prawdopodobnie z niem. Stamm -- pień) s z u m i ą c e p r o s z k i -- prawdopodobnie jakiś lek z dodatkiem sody s z w a r g o t -- mowa nieprzyjemna i niezrozumiała

t a b l i c z k a ł u p k o w a -- tabliczka z łupkowego kamienia używana dawniej przez uczniów do pisania

t a ł a t a j s t w o -- motłoch, hołota”

T a r t a r i n -- typ południowca, sympatycznego fanfaron wyobrażony przez A. Daudeta (1840-1897) w cyklu powieści satyrycznych *Tartarin et Tarascon*; tu: żartobliwe uznanie popularnej powieści francuskiej za źródło informacji o świecie

t o n i e -- tu: gatunek sieci

t r a k t o w a ć -- porozumiewać się, pertraktować, negocjować; także: częstować t r a p i s t a -- członek zakonu o bardzo surowej regule, nakazującej milczenie, oddawanie się rozmyślaniom, ciężkiej pracy, czuwaniom i postom; przenośnie: człowiek milczący, surowych obyczajów

t r y k -- baran zdolny do zapładniania

t u z -- as w kartach, tu przenośnie: dygnitarz, znacząca w towarzystwie osoba T y f l i s -- dawna nazwa gruzińskiego miasta Tbilisi, obecnie stolica Gruzji

u l t r a m o n t a n i n (z łac.) -- zwolennik, propagator ultramontyzmu -- poglądu o wyższości władzy papieża nad władzą świecką

u ł o g a -- schorzenie nogi, którego następstwem jest chromanie, ułomność u t o p i s t a -- marzyciel, fantasta, człowiek mający nierealne pomysły u w a ż a ć -- tu: uznawać, poważać

V e n i , v i d i , v i c i (łac.) -- Przyszedłem, zobaczyłem, zwyciężyłem -- słowa Juliusza Cezara zawiadamiającego senat o swym zwycięstwie nad królem Pontu Farnacesem w 47 r. p.n.e.

v i s - à - v i s (fr.) -- naprzeciwko

v o l a p ũ k (niem.) -- sztuczny język międzynarodowy utworzony w 1879 r. przez J. M.

Schleyera, składający się z elementów łaciny, języka angielskiego, niemieckiego i francuskiego, tu

przenośnie: osobliwy język dziecka

w a g a b u n d a (z łac.) -- włóczęga, tramp

w a l e t a -- pożegnanie, rozstanie

w e k s e l (z niem.) -- dokument kredytowy stanowiący pisemne zobowiązanie do zapłaty pewnej sumy pieniężnej oznaczonej osobie lub okazicielowi przez osobę podpisaną na tym dokumencie

W e s t a -- rzymska bogini ogniska domowego

w ę d l a r n i a -- miejsce w pomieszczeniach gospodarczych przeznaczone do wędzenia mięsa w i ę c i e r z -- kosz z wikliny lub sieci służący do połowu ryb w i o r s t a (z ros.) : -- dawna jednostka miary odległości (1066,78 m) w i s t (z ang.) -- pochodząca z Anglii dawna gra w 52 karty na 4 osoby grające parami w ł a d n i -- ludzie rządzący, tu: carscy urzędnicy

w o l a n t (z fr.) -- lekki, resorowy pojazd na czterech kołach, bez budy lub z budą składaną w o l t a -- szybki, zręczny obrót, tu: oszustwo

w ó z e k w ę g i e r s k i -- rodzaj powozu, bryczka

w y s a d a -- tu: park, aleja wysadzana drzewami

w z g l ę d n e z d a n i e -- tu: stosowne, odpowiednie do okoliczności z a m c z y s t a f u r t a -- opatrzona zamkiem

z a t a r t a k l a c z -- wycieńczona, wyniszczona

z b i e r a ć -- tu: zastanawiać się

z b ó r -- tu: kościół, ariański dom modlitwy

z b r a k o w a ć -- odrzucić jako brak, wybrakować, wysortować; tu: odrzucić, odtrącić z m i t r ę ż y

ć s t a c j ę -- tu: przegapić, nie zauważyć z n a j d a -- rzecz znaleziona, znalezisko

Table of Contents

[Rozpoczni](#)